

1

13

OLSKA MAGIERŹ 3244
Zofia Młosa-Rosomko

~~25~~ ~~10~~ 19/11

236

169/11^a

INTERESA FAMILIJNE.

CZYTELNIA
bezpłatna
330000
i 1.000
mieszkań
m. Radom

17
187.6
in 236
189⁰⁰
11

INTERESA
FAMILIJNE.

P O W I E Ś

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO

TOM III.

L. Novakovich

PETERSBURG

NAKLADEM B. M. WOLFFA.

1853.

285

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cen-
zury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exem-
plarzy.

W Warszawie, d. 5. (17.) Czerwca 1852. r.
Starszy Cenzor,
Radca Dworu, L. T. Tripplin.

30

W Drukarni J. Unger, w Warszawie.

1692
II

POLSKA MACIERZ SZKOŁ
Kolo miasta Radomia



Kasztelaniec, mimo wzruszeń dnia tego, w niczém przeciw ustanowionemu porządkowi nie zgrzeszył: cofnął się o swojej godzinie do sypialni, rozebrał, położył i kazał rozcierać; ale choć pracował nad uspokojeniem siebie, wrzawa niezwykła, wysiłek w rozmowie, jakieś wzruszenie mimowolnie dozna-
ne, które bardzo się zbliżało do utajonego gniewu, osłabiły go i widocznie znużyły nad miarę. Ku wie-
czorowi już, chociaż przy świecach nie bardzo kto mógł dostrzedz zmiany na twarzy jego, gospodarz znacznie podupadł. Świeżość pozorna i nadrobiona rzeźwość z którą wystąpił rano, opuścili go rychło,

Inter. Tom III.

stał się ociężały, postarzał w oczach. Jak gdyby tylko sztucznemu jakiemuś podtrzymującemu środkowi winien był trochę siły chwilowej, — starzec wszedłszy do sypialni już był zwiedłym i zużytym grzybem. Twarz jego naciągniona upadała w fałdy, marszczyła się, oczy gasły, częste ziewanie zdradzało cierpienie nerwowe, wyraźniej jeszcze objawiające się dreszczem.

Powiódł okiem po pokoju i usiadłszy na krześle, w które ciało jego wpadło i osunęło się bezsilnie wyciągnął rękę do stojącego tuż dzwonka. Na pierwszy słaby dźwięk jego, Terminiński, po cichu, ostrożnie, jak wąż wsunął się do pokoju na palcach; doświadczenie bowiem nauczyło go, że trzeba było chodzić jak najostrożniej, gdy stary cierpiał cokolwiek, każdy szelest go niecierpliwił. Wszedł kamerdyner, nie otwierając zda się drzwi, nie dotykając podłogi, nie czyniąc najmniejszego hałasu, rzekłbyś nie cieleśne jakieś zjawisko. Twarz jego tylko martwa zdradzała, w tej chwili żywą, czującą istotę; baczące oko wyczytać na niej mogło ziemskie namiętności, podłość posunioną do najostatniejszego stopnia poniżenia, chciwość niecierpliwą i ciekawość gorącą.

Kasztelaniec, z głową spuszczoną na piersi, nie pa-

trząc na niego, podał mu obie ręce. To znaczyło że trzeba go było rozebrać. Trudno sobie wystawić jak wprawnie, jak cudownie prawie Terminiński zsunął z niego suknie, nie zdejmując go z krzesła, i uwolnił od wszystkiego co na sobie miał we dnie. Nie potrzebował on nawet zmieniać pozycji i raz tylko uniesiony nieco na rękach sługi, znalazł się w szlafroku. Terminiński milczał i patrzył; cieszyło go to co widział i zgadywał — kochani krewni zmęczeni, znudzili, rozdrażnili starego.... tego pragnął. Westchnął; było to preludium rozmowy.

— A! cóż to za dzień straszny! — odezwał się wpatrując w pana i badając czy mu mówić pozwolą (głos jego nieraził ucha; niżony był, jednostajny i płynął jak mruczenie niewinnego wiatru) — co to za najazd! jakie utrapienie! — O nas to mniejsza, mniejsza o wydatek — dodał — ale....

— Mniejsza Wasanu! — odezwał się stary — ba! nie dziwię się, ale wieleż wydudlili?

— Około czterdziestu butelek, jeśli się nie mylę.

— A co zjedli! — mruknął Kasztelaniec — tysiąc rzeczy przedziwnych, którebym ja był sam zjeść powinien.... Strasburgski pasztet dobrze nadszarpany... uważałem.

— To prawda, ale to nie w porównaniu jak Jaśnie Pana znudzili.... Gdybym był mógł, tobym ich porzucił.

— O! dobrzebyś zrobił—rzekł Kasztelan—ale niechaj siedzą, niech jedzą.... tyle tego....

Termiński te wyrazy pamiętne usłyszawszy i zapisawszy sobie z radością, pocchwycił i mówił dalej.

— Boć to Jaśnie Panie, nie co innego jak ta obrzydła chciwość ich prowadzi.... śni się im już sukcesya ale niewiedzą kto z brzegu. Masz Pan więc sił od nich.

Kasztelan się uśmiechnął.

— Sił! diabła tam.... ale rozumu to pewna, bo ich gospodarnie używam.

— Otóż to jest—dodał Terminiński....—toć to jedno. Ja z Panną Anielą cały dzień tylkośmy prze-mysłiwali nad Jaśnie Panem, a gryźli się, że oni nam tak Jaśnie Pana namęczą. Bo to niedarmo taki zjazd, to jakiś spisek.

— O! o! jaki dyplomata!—cicho rzekł stary.

Terminiński się uśmiechnął, i zawiązując głowę Kasztelanowi, ciągnął dalej:

— Nie ręczę żeby to nie był spisek na życie.....

— O! o!

— A cóż! myślą sobie, Pan przywykł do spokojności, jak tak poczną utrudzać, to zamęczą.

— E! e! na taki wymysł machiawelski ich nie stało—odparł Szambelan—wąchali tylko czy trupem nie śmierdzą; alem im pokazał, że nie jestem tak zgrzybiałym jak myślą... niech mi dadzą pokój!

— Ja i Panna Anieli...

— A! a! czemuż to Anieli nie wyszła—zapytał stary chmurno—to kaprysy niepotrzebne.... Lubie żeby ludzie widzieli, że mi przecież jeszcze i ładna kobiątka nie obojętna.... Anielą się przecież pochwalić można... niczego i znaleźć się umie.

— Ale bo Jaśnie Pan nie wyobraża sobie—rzekł Terminiński—jak to jest kobieta wstydliva, skromna i łatwo się trwożąca; schowała się dziś aż za firanki żeby jej nikt nie widział.

— Hm!—uśmiechnął się stary—myślałby kto Terminiński, żeście sobie słowo dali wzajemnie się wychwalać.

— Ja, Jaśnie Panie! ja!—zawołał sługa—szczerze powiedziawszy, gdyby nie przywiązanie Jaśnie Pana do niej, co mi ją szanować każe, nie bardzo bym był za Panną Anielą; wołałbym dla Jaśnie Pana co

młodsze, żywsze, bo to dla dojrzałego człowieka lepiej przypada! ale co prawda, to prawda; Aniela to rzadki klejnot, bo żeby się tak przywiązać....

— Oj! oj! do kogo?

— A! Jaśnie Panie, to się już nie godzi.

— Ba! Jakiś ty dziś czuły Termiński; co ci to jest?

Termiński zmieszał się, uciął i zamilkł.

— A no! gadaj bo — rzekł po chwili stary — mnie to nic nie szkodzi że bredzisz — lubię i przywykłem wieczorem słuchać twojego głosu, to mnie trochę usypia.... gadaj! gadaj!

— Jaśnie Pan znowu w żart obróci.

— No! to ci korona z głowy spadnie? — spytał stary szydersko.... — Cóż tedy twoja Panna Aniela?

— Nic, tylko co prawda to prawda, że to najwierniej do Pana przywiązana istota.

— Ha! naturalnie po tobie! — zaśmiał się Kasztelan — nie żałuj — że i sobie.

Termiński znów z tropu zbity stanął.

— Pan ciągle żartuje.

— Ale bo któż widział o sobie zapominać!

— To pewna, że i z tych krewnych, żaden lepiej Pana od nas nie kocha — kończył zawsze cichut-

ko kamerdyner.... — ale gdyby mi było wolno szczerze mówić, Panna Aniela, jeśli nie bardziej, to przynajmniej inaczej kocha Pana, i zapewne po kobiecie-mu, więc gwałtowniej odemnie....

Kasztelanic stłumił uśmiech gorzki.

— W tém coś jest — rzekł do siebie — krewni napędzili im Piotra, już się powąchali.... Myśli mi ją swatać! o! jakież głupi! jaki głupi!

Głośno jednak nic nie rzekł stary, tylko stłumionym uśmiechem powitał pochwałę.

Termiński, widząc że mu się nie wiedzie, urwał i począł ślać łóżko, z nieporównaną sztuką przebijając puchówki i poduszki tak, by najmniejszego nie zrobić hałazu, na chwilę nie zapomniał się i nie stąpił głośniejsz, a w pół kwadransa posłanie było gotowe. Natenczas ujął starego pod ręce i z lekka przesadził go na łóżko.

Stary długo zwykle usnąć nie mógł, było więc w porządku dniowym, że gdy się położył, Termiński przywoływał Panny Anieli, która siadała przy nogach jego, i siedziała dopóki sen nadchodzący nie zwołał znowu Termińskiego, mającego dopomódz uspieniu nacieraniem i lechtaniem. Łóżko starego sybaryty było może najlepszym dowodem, że cały cel jego ży-

cia na wypieszczeniu ciała polegał.... Było to stare, nadzwyczaj obszerne łoże, niskie, wiszące na pasach, które wyteżyć lub opuścić było można lekkim palca pociśnięciem; obszerny pawilon okrywał ją do końca. Niewielki stoliczek pod niem ukryty mieścił wodę i czego tylko mógł w nocy zażądać. Lampka za umbrellką paliła się w nogach, a dzwonka pas z kółkiem oszytym w sukno, ukryty był w posłaniu tak, że trąceniem nogi leżący mógł przywołać służbę. Ułożenie i kształty poduszek były budową ściśle obrachowaną i bardzo misterną; pokrycie wreszcie z kilku oddzielnych składające się kap i kołder, tak urządzono, żeby je leżący mógł łatwo zastosować do stopnia ciepła, jakiego potrzebował. Wgłębi, w ścianie przy której stało łoże, długie, na pozór niepotrzebne, mieściło się zwierciadło.

Gdy stary utonął w puchu, a z pod kołder tylko blade-żółta głowa jego, straszliwa znużeniem, z obwisłą wargą, na wierzch się wydobyła, Terminiński otuliwszy go, wyszedł, i prawie w téjże chwili, drzwiami od swoich pokojów, wsunęła się na palcach Panna Aniela.

Rysy jej nie okazywały ani znużenia, ani wstępu, ani żadnego silniejszego uczucia, tylko jakiś smutek

przybrany po nich się rozlewał; strój miała na sobie wieczorny, wolny, obszerny, lekki, pokrywający zręczną jej kibić; głowa była odkryta i we włosy ubrana. Śmiało i bez wahania, wprost zbliżyła się do łóżka starca, którego oczy zabłysły, i usiadła na niem, milcząca.

— A! musisz Pan być okrutnie zmęczony — zaczęła po chwili dobierając także najlagodniejszego głosu — nie potrzeba Panu czego?

— Nic, nie Anielusiu, tylko trochę się odegrzać patrząc na ciebie, popieścić z tobą... to mnie ukoi i uspi. — To mówiąc tak okropnie uśmiechnął się, wyciągając swą białą rękę zimną i suchą, ku Anieli, że ta, gdyby nie siła jaką miała nad sobą, byłaby się cofnęła z przestachu i obrzydzenia... Uśmiech zmuszony nagroził ruch jej mimowolny, którego starzec nie postrzegł... wysunęła rękę i podała ją rozpustnikowi, który do ust ją przyciągnawszy pocałował.

O! gdybym mógł odmalować ten obrzydliwy całus trupa, w którym chorobliwy zawrzał płomień, — całus szatana, w którym nie było szalu miłości, ani jej wdzięku, tylko żądza piekielna, upojenie szkaradne, samolubne, ohydne... Od pierwszego pocałunku,

tęgo *nektaru boskiego* poety, od tych dwóch lutni zgodnego dźwięku co się zlewa w jedną całość — do namiętnego dotknięcia co ma zmarłe zmysły rozbudzić — ileż to przejść musi człowiek stopni, nim tak spadnie, że w suchej łupinie szuka rokoszy ostatka, wysysa próżno nektar co go upajał. Ten pocałunek sam już był grzechem.

Wzdrygnęła się wewnątrz kobieta, ale uśmiechnęła po wierzchu; westchnienie aktorki wyrwało się z jej ust, które obrzydliwość krzywiła a uśmiech pokrywał.

— O, jak mi Pana było żal dzisiaj! — zawołała niby z uczuciem — ta zgraja, ten szum, tyle ciekawych oczu... i to uczucie jakim napawać musiała chciwość dziedziców — znużyć Pana i zniecierpliwieć musiały okropnie.

— A! a! — kaszlnął stary — trochem się to ja zmęczył, ale wiecie jakiego doznałem najwięcej uczucia — rzekł pochylając się ku niej, tak, że głową dotykał sukni.

— Jakiegoż proszę? o! to ciekawe.

— Uczucia zaspokojonej zemsty... wszystkich ich z kwitkiem odpawię, choć wszyscy pójdą z nadzieją. Uśmiechnąłem się im ślicznie..... ale zjedzą diabła!

— Stary zgrzytnął zębami. — Głupi! głupi!

Oczy mu błysły czémś piekielném.

Aniela uśmiechała się tylko; ta nowina tak dla niej była pożądaną! Jeśli oni szli z kwitkiem, ktoś przecie musiał z tego korzystać, czemuż by nie ona?

— Zasłużyli bo na to natrętni ludzie — dodała — to wyraźny spisek!

— O! spisek i ślicznie im się udał... Piotruś niewinny robaczek — szydził Szambelan — podjął się widzieć parlamentować... Doskonale! Chce mnie nawrócić; jaż tak bardzo jestem pobożny do ślicznych oczek Anieli! Głupcy! głupcy! — powtarzał z cicha ze złością.

— I z kądem im ta śmiałość wdzierać się w cudze sprawy?

— A! zachciałaś Panno Anielo — pieniądze zawsze cudów dokazują, gdy się ich bardzo zechce; każdy myśli o nawracaniu, sądząc, że może pobożny pokutnik przez wdzięczność zapisze co apostołowi! podli! podli!

— Co za nikczemność!

— Dość tego! — urwał stary — dość — mówmy o czém weselszém. Czemuś to nie przysłała do stołu?

Aniela zarumieniała się nagle jak piętnasto-letnie dziewczę, co jej jeszcze dosyć łatwo przychodziło.

w potrzebie; spojrzała błagając na starca i ciszej szepnęła:

— A! Panie, możnaż po mnie tego wymagać.. w tym tłumie! Myślisz Pan, że ta biedna sierota. dlatego żeś ją kupił, już ci i wstyd sprzedała, i nie ma czucia, nie zna swego położenia! A! któż wie serca ludzkie! w najzepsutszém jest może iskra z której coś dobrego rozpalic się może... Myślisz Pan, że Aniela jest ostatnią z ostatnich... mylisz się... Przywiązałam się do ciebie serdecznie, namiętnie, boś ty był pierwszym coś mnie przygarnął, alem ci nie poświęciła reszty wstydu....

— Pierwszym? — podchwycił ironicznie nieporuszony, nielitościwy Kasztelaniec.

Aniela porwała się: — Wątpisz Pan o tém?

— Siadaj-no tylko i oddaj rękę; niech będzie że niewątpię, ale co się tycze namiętności, przywiązania!!

— Myślisz Pan, że bez niej wytrwałabym w tém położeniu, spodleniu, gdy wszędzie tyle a może więcej znalazłabym co tutaj.

Stary zamyslił się, [zdawał się na wpół wierzyć, na wpół rachować. Aniela sądziła, że go już dotknęła — raptem parsknął śmiechem.

— Anielko kochanie — rzekł — przysuń się no bliżej, a mów ciszej... Kiedy mnie tak namiętnie kochasz, to dobrze, rywalki nie znajdziesz.... masz mnie całego, wszystkie kości i trochę skóry.

Ta okropna odpowiedź zmieszała na chwilę kobietę, ale z przytomnością niezwykłą grała dalej rolę swoją; z westchnieniem podniosła oczy na starca i odezwała powolnie:

— Ludzie są niewdzięczni! o! niewdzięczni, nie wierzą przywiązaniu, nie wierzą sercu: wszędzie szukają interesu....

— Bo wszędzie jest interes tylko, otwarcie lub skrycie — odpowiedział Kasztelaniec — nie wierzą przywiązaniu, bo każde przywiązanie zdradza, nie wierzą sercu, bo serce to kawałek mięsa przez które się krew sączy... nie wierzą, bo kłamstwo jest wszędzie.

— Kłamstwo prędzej czy później daje się poznać — odpowiedziała kobieta — a nie wszystko, o! nie wszystko kłamie. Pan należysz do tych ludzi, których świat okrutnie doświadczyć musiał, gdy wszelką im odebrał wiarę — to okropne!

Kasztelaniec skrzywił się boleśnie, rozpaczliwie prawie; oko mu błysło zapalone, ale rychło poskromił wzruszenie i dodał:

— To trudno! trzeba mnie przyjąć jakim jestem, bo innym nie będę.

— Ale co za męka dla tych, którzy go prawdziwie kochają!

— Niech nie kochają! — zaśmiał się starzec.

— Jakto? — spytała Aniela.

— Niech tylko udają kochanie, to daleko taniej ich kosztować będzie; niech robią co ja chcę, i nie krzywią mi się pod nosem... a zresztą to mi wszystko jedno.....

Aniela z przestrawieniem prawie spojrzała na tego trupa, który przy niej leżał, i zamilkła, ulegając chładowi wiejącemu z ust jego. Nieodstąpiła jednak od myśli raz powziętej: znać było w jej zaciśniętych ustach, w rzucie oka bystrym i śmiałym, że spodziewała się przemódz Kasztelanica i przebojem wejść do zamkniętego serca, które starość bezsilna otworzyć jej miała. Uchylmy ten obraz szkaradny, którego nie bez wstrętu skreślić bylibyśmy zmuszeni.

II.

Znijdziem teraz w jaśniejszy wejrzeć kątek, na uśmiechnięte, spokojne w Horoszkach ustronie, na dziedzińczyk i ogródek Hieronimostwa, gdzie pocziwa praca słodzi sobie znójrezygnacyą i nadzieją w Bogu. Tu kilka dni różowych, pamiętnych, spłynęły Stasiowi, zdaleka jak na obrazek cudowny spoglądającemu na Zosię. Staś, jak każdy prawdziwie rozkochany, został by na nią patrzeć tylko, nie śmiejąc, nie myśląc się nawet przybliżyć.

Ta pierwsza miłość jego życia była jeszcze prawdziwą, anielską, niewinną, sielankową, z której, niestety! śmieją się później często ci co nad nią pla-

kali. Biedne i rokoszne życia chwile! ich przeznaczeniem otworzyć serce człowieka, podnieść go, uszlachetnić, zbohaterować, rzucić w świat ideałów; téj chwili owocem często bywa żywot cały, z niéj się rodzą poeci, rycerze, artyści, z niéj także wylęgają się podli i niekzemni. Jest to szal porankowy ze snu nicości budzącego się człowieka, który marzy rokosznie, by otrzeźwiony później snom się swoim urągał. Ale wartaż jawa późniejsza tych marzeń pierwocin?

Staś był nieepsutém dzieckiem; pierwsze w nim serca rozbudzenie było popędem szlachetnym, poetycznym, uczyniło go natchnionym, podniosło w świat nieznany. Unikał jednak wylania się ze swém uczuciem na zewnątrz, bo instynkt szlachetny niedozwalał mu objawić tego, czego trwania i siły nie był pewnym. Domyślał się, że miłość wypróbować się powinna, nim będzie miała prawo odezwać się za sobą.

Ale tyle jest rokoszy w sercu młodziana, zajętem, oblaném tém uczuciem, tak ono ze wszystkimi męczarniami wystarcza samo sobie! tak w myślach i dumach płyną chwile uroczu, strzelisto!!.... Staś chodził na polowania z Hieronimem, latał po polach

niby się ucząc gospodarki i herboryzując, wieczorem dopiero najczęściej powracał do ubogiego domu, i to chwil kilka szybko ulatujących spędzał z przełkłą, strwożoną, a wzruszoną Zosią. Krótkie to były chwile, ale mgnienie jedno oka na tak długo nasycić tę miłość, co z drobnego ziarenka umie wysnuć światy! Dość mu było spojrzenia, słówka, ruchu, jednego nic, by tém niczém wyżyć, by sobie z tych niców, jak ptasze, co gniazdko z puchów buduje, zlepić cały gmach wspomnień i szczęścia.

960
Piękna bo piękna jest niepokalana młodość, gdy z nią, z tym skarbem Bożej ręki, wychodzi na świat człowiek, którego dziewictwa nie skażył oddech za-truty, nie zbrukało dotknięcie starych i zamarzłych ludzi;—piękna i wielka i silna jest młodość, a żaden wiek jéj potędzie nie zrówna. Ozłaca, zolbrzymia wszystko czego dotknie, tworzy z niczego, kruszy rzeczywistość twardą, trątuje nogami zwyciężoną, podściela ją i depcze.... a na jéj gruzach piętrzy złote stropy swoje, i aniołami zaludnia.

Mój Boże! mój Boże! dla czego nie ma dwóch młodości przynajmniej, na początku i na życia końcu.— Jakby po ciężkiej próbie środka żywota człek spieszył do jego ostatka, jakby się ochłodził w téj kąpie-

li, jakby orzeźwił do niebios!.... A! ale jakby mu stokroć ciężej umierać było! Prawda! prawda! nie trzeba nam dwóch młodości, na szczęście dość miejsca w jednej, na zaludnienie wspomnieniami wystarcza, a gdy się zakrwawi, i téj jednej odboleć trudno!

Staś i Zosia byli, rzec można, ideałem dziewiczej pary; oboje tak czyści, oboje tak piękni, tak od pierwszego wejrzenia należeli do siebie, że choć Zosia ani wiedziała w prostocie ducha że kocha, już jój myśl rozstania jak całun czarny migała przed oczyma.

I pocieszała się powtarzając sobie:

— Zobaczę go znowu! — Ale sama nie wierzyła swym słowom i łzy płynęły po jój twarzyczce.

Były w tych trzech dniach, jak w życiu każdego człowieka, długie godziny, ale dni piorunem minęły; zadrżał Staś, przypomniawszy że ojciec ma wrócić co chwila.

Zosia krzątała się jak zawsze przy pracy, w milczeniu, z tym uśmiechem pół smutku, pół wesela, który jest kwiatem cnoty niewieściej, który zamyka w sobie rezygnacyę, nadzieję, spokój i miłość. Cały jój dzień upływał na modlitwie i pracy co za modlitwę stała. Wyręczała matkę, oszczędzała kłopotu ojcu; a odpoczynkiem była jój przelotna chwila, w któ-

rój klękała przed ukrzyżowanym. Teraz jednak praca i modlitwa nie potrafiły zająć ją całą, stawiała często zamyśloną i pytała się siebie z niejakim przestachem; — Co to się stało, że serce jój biło, że nie tak była spokojną, nie tak jak dawniej wesołą? Nie śmiała zapytać matki, a nie pojmowała co się z nią działo....

Ani Staś do niej, ani ona nie śmiała się zbliżyć do niego — szukali się oczyma, witali skinieniem, rozumieli milczący.... Staś przy niej był wesół, rozmowny i widocznie usiłował się podobać, choć ta zalotność, na którą się składały miłość i miłość własna, nie na wiele była przydatną. To już pierwsze wejrzenie zrobiło wszystko.

W domu nikt nie postrzegł skłonności dwojga młodych; Hieronim nie miał czasu myśleć o tém, matka nie mogła nic podobnego przypuścić.

Ale nigdzie jak u Państwa Pawłów pobyt Stasia nie zrobił większego wrażenia. Jak się tylko dowiedzieli że miał pozostać (bo wiedzieli wszystko zawsze) osnuły się różne projekta. Julia chciała pociągnąć ku sobie młodzieńca i zwabić go do Petry — Petra nie zdawała się temu przeciwną, a przyjemna i wymowna Panna Hiacynta podawała środki ku temu.

Ale dzień upływał, a Stasia ani złapać; użyto podstępów i otwartych zaprosin, od których wylamać się nie mogąc, poszedł Staś markotny, zabawił chwilę, udał ból głowy i uciekł.

Julia, która nie wierzyła w bóle głowy w ogólności, a szczególnie w bóle głów młodych, chyba po dowiedzioném uderzeniu o ścianę z towarzyszeniem dobitnego sińca — znaczącego zrobiła marsa. Hiacynta milczała, Petra się dąsała, ale Staś tymczasem uciekł. Szpiegi donieśli, że wesoło potem wiodł w ganku rozmowę z Państwem Hieronimostwem i Zosią; Julia zagryzła usta i zapłonila się od gniewu.

— Co on tam robić może? — zawołała przy córce — Chyba chłopczyk rozumny, bałamuci tę kluczniczkę Zosię! Rozumiem! myśli że to nie za sobą nie ciągnie! — I w duchu dodała: — Głupi, co mu to z tego przyjdzie! nie sądziłam by do tego był skłonny; tak na pozór zimny! — Potem skończyła głośno:

— Trzebaby jeszcze spróbować!

Ale wszystkie próby były nadaremne; wychodząco na przechadzki umyślnie by się spotkać ze Stasiem, dla miłości jego zbliżono się nawet do Hieronimostwa, zapraszano ich — wszystko się nieudawało. Julia byłaby się wściekała z gniewu gdyby jej do o-

statka nie podtrzymywała nadzieja, która nareszcie zupełnie zawiodła. Zachowała ją jednak choć zwiędłą i zeschlą na późniejszej.

Tych dni kilka miały w sercu Stasia pozostać pamiętnymi na zawsze — były to dni uroczyste, dni święte jego życia. Takich kilka ma z nas każdy; przeżył je najuboższy i schował do podróżnej sakwy pielgrzyma — schował żywymi kwiaty; by je wyjąć później zeschlą trawą.

Ostatniego wieczora, niewiem jakim przypadkiem, dwoje dzieci pozostali sami w ganku; Hieronim na chwilę odszedł, Hieronimowa z okna przez które patrzyła usunęła się, wywołana przez swoich chłopców. Staś stał oparty o słup ganku i wlepił wymowne oczy w Zosię — Zosia nieśmiała uciec, choć wielką miała ochotę, bo jako gospodyni bawiła gościa — ale rumieniec żywy pokrył jej śliczną twarzyczkę aniołka i wejrzenie zażawione upadło ze strachem na ziemię; tak obawiało się wygadać z wielką tajemnicą, tak było pewne że mówić musi.

Stała zmieszana, skłopotana, przebierając w rękę niedostępne kluczyki i różowymi paluszkami wiążąc i rozwiązując ich węzeł. Śliczna tak była w jasnej swjej sukience, która osłaniała jej kibić i wyrażała

ją liniami dziwniej prostoty, przypominającemi Flaxmanowskie rysunki do poezji Hezyoda. Karczek jęj białły wygiął się jak szyja łabędzia, krew oblewała twarzyczkę, czoło i ramiona; drżała cała, a usta nie-me uśmiechały się z przywyknienia do łagodnego uśmiechu — bo w sercu była nieopisana trwoga.

Staś, śmielszy myślą choć sercem tchórz jak ona, wybierał się coś powiedzieć wielkiego, czulego, pięknego i słowa zdawały mu się jak farby malarzowi, który spojrział na słońce. Słońcem jego było własne serce i przy jego uczuciu bladły wyrazy, czerniały myśli i rozsypywały się w proch.

Nareście gdy szelest wewnątrz domu nastraszył go przerwaniem téj chwili nieopłaconej, serce zabiło gwałtowniej i otworzyło usta.

— Kochana moja kuzynko — rzekł wzdychając — wszak to mój ojciec dziś pewnie nadjedzie; nie uwierzysz jak mi żal będzie ciche Horoszki porzucić! tak mi tu z wami było dobrze, tak miło!

— A! mój Boże! — odezwała się Zosia nieśmiało — na cóż mówić te grzeczności, czyż my nie-wiemy, że tam kuzynkowi lepiej w domu; bo tam mama i siostry.....

— Ale nigdzie, nigdzie, proszę wierzyć, nie było i nie będzie mi lepiej jak tutaj!

— Bo Pan Stanisław grzeczny! — odezwała się Zosia po cichu.

— Ja! ale ja wcale nie jestem grzeczny — żywo odparł Staś — dałem tego dowody u Państwa Pawłów, można mi tedy wierzyć. To nie prosta grzeczność, to wyraz uczucia.

— Doprawdy! cóż Panu odpowiem za nas wszystkich, chyba podziękuję tylko.

— O! nie! nie, proszę mi powiedzieć, że Staś pojechawszy przypomni się kiedy, że nie będzie jak pospolity gość, o którym ledwie odjechał zapomina się jutro... bo ja... nigdy tych kilku dni niezapomnę.

— Ale i my i my! — odpowiedziała Zosia (instynktem *my*, mówiąc zamiast *ja* wyraźniejszego). *My* mówiło w potrzebie za wszystkich, a *ja* znaczyć miało dla Stasia.

— Hieronim, bratowa i ty kuzyneczko — i ty? podchwycił Staś zbliżając się nieco.

— I ja! i ja! — naiwnie ale ciszej odpowiedziała mu podnosząc oczy.

O! w oczach całe jest życie! Usta je wyrzec mogą, piersi wyrazić westchnieniem, ale co usta, co piersi przy wzroku, tym promieniu wewnętrznego światła, który wprost płynie z serca! Wzrok jest

światłem duszy..to emanacya samego żywota. Wzrok mają tylko ludzie — zwierzęta widzą, patrzeć my umiemy tylko. O ile mowa nasza przewyższa głos niemy zwierzęcia, o tyle wzrok nasz góruje nad zwierzęcém wejrzeniem. Tam jest tylko namiętność, u nas gra myśl sama.

Zosia spojrzała i nie mówili już więcej.

Staś cicho tylko szepnął jój jeszcze:

— A więc, mam drogą obietnicę że o mnie nie zapomnisz?

Ona nic już nieodpowiedziała, niemogła, głos związał w piersi... weszła matka.

Staś zasiadł na ławce dumać, bo Zosia szybko znikła z ganku. — Zestarzał, w chwili tak gorąco patrzył w przyszłość, w której obok siebie chciał widzieć Zosię. Widząc go tak srodze zadumanym, jak tylko młody i starzec dumać umieją, jeden, że chce życie zwyciężyć, drugi, że myślą tylko żyje już cały — usunęła się dyskretnie Pani Hieronimowa, a młody chłopiec został sam z sobą.

— O! ja ją kocham na wieki! — zawołał w myśli. — Czuje że to nie chwilowy szal, że to coś, co musi być wieczném. Bez niej nierozumiem życia; ona będzie moja! Ale wieki, wieki czekać mi na to

potrzeba... A! będę czekał! A ona? — Tu się zatrzymał. — I ona czekać mnie będzie! — rzekł w pierwszej chwili, ale rozważa smutniejsze mu przyniosła przypuszczenia. — Ona! tak śliczna, tak niewinna, tak dobra i pracowita! ją pochwycą, le-dwie dojrzewającą ktoś porwie przedemną. Powie-działbym ojcu — nie! ojciec mój śmiać się będzie; poczekam jeszcze, nie mam dziś prawa odezwać się; później nie będę się tail.

I bił się z myślami, aż ostatnia zabłysła mu różowa, jasna, szczęśliwa.

Klasnął w ręce i poskoczył z ławki.

— Ja jadę za granicę, więc mnie nikt nie posądzi żebym to robił dla siebie. Czyżby rodzice nie-mogli wziąć Zosi do sióstr moich? Oneby ją uczy-ły, oneby jój dały z serdeczną radością wszystko, czego w oczach ludzi braknąć jój może. Ja ją tak kocham jak ona dziś jest, ja ją tak wolę... to ideał raju, to Ewa nim się wąż ukazał, Ewa Miliona, śpiąca snem niewinności, dzieło czyste Bożej ręki, co dopiero oczy otwierać poczyna ku światłu dzien-nemu, tchnąc jeszcze Stwórcą, z którego wyszła dłoni... Ale potrzeba, by nikt nie miał prawa po-wiedzieć jój: — Tyś niższa odemnie w czémkolwiek.

Inter. Tom III.

Trzeba tego aniołka oprawić w złote ramki, w których mu będzie tak ciasno! Rodzice moi wzięsby ją mogli — powiem o tém ojcu, on to zrobi! To myśl jedyna, wybrana, złota! pocałowałbym siebie za nią gdybym mógł.

I poskoczył do góry, jak student wypuszczony z ławki szkolnej, gdy Pan Hieronim ukazał się z uśmiechem na ustach.

— Co to ci Stasiu?

— A! nie! krew mną rzuciła! — rzekł rumieniąc się młody chłopak.

— Jak to? tak po dniu cię rzuca? — rozśmiał się starszy.

— Bywa to! czasem w miejscu ustać nie mogę i tak mnie coś świerzbi w pięty, że muszę poskoczyć. Zdaje mi się nawet że taniec musieli wynaleźć tacy jak ja młokosy, w celu ukrycia podobnych mimowolnych rzutów.

Hieronim rozśmiał się z téj nakręconej teoryi; usiedli, w tém — o cudo! Hieronim aż zdrętwiał prawie: w dziedzińcu ukazała się cała czereda Pawłów, wprost i najwyraźniej dążąca ku dworowi, którego od dawna nieodwiedzała. Gospodarz patrzył i oczom swoim nie wierzył, powstał i poleciał po żonę.

Staś odwrócił się i skrzywił — Pani Pawłowa mocno wysznurowana, Petra z minką kwaskowatą i Hiacynta, wyczupurzona i oblana wonnościami, nabalsamowana cała — z wolna zbliżały się ku gankowi. Przestraszeni i zdumieni tą wizytą tak niespodziewaną, Hieronimowie oboje czekali na nią z należną gościnnością w progu, podeszli nawet, by uczcił bratową, która z wyrazem źle ukrytej niechęci i wyższości, zbliżała się ku nim.

— Przyszliśmy bratową — (ten wyraz Julia wymówiła cichuteńko) — odwiedzić. Dobry wieczór! Nasz gość — dodała z przyciskiem — tak o nas zapomina, że my sami go szukać musimy..

Staś nisko i arcy - poważnie się uklonił.

Hiacynta dodała?

— Jakże Panu w téj sielskiej zaciszy?

— Co Pani? — spytał młody chłopiec otwierając oczy ogromne i udając że nierozumie, lub może niezrozumiawszy w istocie.

— Jak Pan się czuje w téj sielskiej zaciszy? — powtórzyła Panna Hiacynta, z uśmiechem któryby szatan odstraszył.

— Ja! a! nadzwyczaj szczęśliwym? — żywo odpowiedział młody chłopiec.

— A! nawet, szczęśliwym! — z przekąsem przerwała Julia, siadając w ganku choć ją usilnie proszono do pokoju — ten wyraz mówi wiele....

— W mojem przekonaniu tylko to co powinien.

— Może więcej niż powinienby mówić! bo się nie wszystko mówi! — rzekła znów Julia szydersko prawie.

— Owszem Pani — płomieniem obłany rzekł Staś — wszystko się mówi, gdy się nic złego nie myśli.

Odpowiedź była niezmiernie ostra, ale uleciała niezrozumiana, i rozmowa zerwana umyślnie, poczęła się w inny sposób.

— Pan na nas nie łaskaw — mówiła Julia — a podobno już powrót papy bliski; nie będziemy więc i my mieli szczęścia pocieszyć się bliższą jego znajomością?

— O! bo Staś — przerwał łagodząc Hieronim — najbliższą znajomość zabiera z zajęciami w polu, i kwiatkami, które zbiera i suszy.

— Jakto? — przerwała Hiacynta — Pan dla ulgi cierpiącej ludzkości.... zbierasz i suszysz zioła?

— Nie ze wszystkiemi — odpowiedział uśmiechając się Staś — bo rumianku i mięty nie suszę, ale bawie się herboryzacyą.... to jest nauką o roślinach.

— Wdzięczne to, uroczę zajęcie! — odparła Panna, czując się poniekąd obowiązana do utrzymania rozmowy, gdyż się miała za najmędrszą z całego grona — zajęcie tak stosowne dla młodości, która jest sama kwiatem!!

— Znałem profesora bardzo okularowego, który mu się z zapalem oddawał — rzekł Staś oburzony, że go spychają do kurteczki i krézki, z której dawno wyszedł.

— Tak? ale jestli co wdzięczniejszego — rzekła Panna nie dając się zbić — nad to połączenie młodości z kwiatami? Jedno tak do drugiego podobne!

— W istocie — podchwycił Staś — oboje więdniję tak prędko!

Nie było to bez intencji, ale intencya poszła nieschwycona w morze zapomnienia, a Panna Hiacynta zwiędnięcia nie biorąc do siebie, mówiła dalej:

— Myśl trafna; zapiszę ją w sztambuchu swoim, w którym notuję wszystko co posłyszę pięknego. — Tę zdobycz będę Panu winna.

— A! Pani! — zawołał Staś — proszę na mój karb nie kłaść téj myśli, bo bym mógł uchodzić za złodzieja. Jest to myśl, którą przynajmniej tysiąc pisarzy ukradło u tysiąca innych, a pierwszym jęj autorem

musiał być niezawadnie stary Adam, jeśli w jesieni kiedy zebrało mu się na zły humor

Wszyscy się zrozumieli, Julia tylko nie, bo była nie rada kierunkowi rozmowy już odbiegającej od obecnych spraw i teraźniejszości, w której kółku lubiła ją trzymać.

— Co tam Państwo mówicie o kwiatach—poczęła—mówcie lepiej o ludziach. Jakże się wieś podobna Panu i nasze proste życie?

— Pani wie że i ja jestem wieśniak!

— Ale nie, tyle lat spędziłeś Pan w mieście!

— Tęskniąc za wsią.

— Ale tu—z przyciskiem dodała Julia—jesteś Pan już w sercu wsi; jest to co najbardziej być może wiejskiego.

— W sercu wsi!—szepnęła Hiacynta — co za wyrażenie szczęśliwe!

— O! o! i serce wsi bardzo mi się podobało! — odpowiedział Staś.

— A Pan się nie znudził bez fortepiana, książek muzyki i tańców?

— Tańców zupełnie nie lubię, książki mam z sobą, a bez fortepiana przywykłem się często obchodzić. W dodatku miałem strzelbę i ciągle tak miłe towarzystwo.

— Aleś Pan z niego mało korzystał, kiedy jak Pan Hieronim powiada, kwiatki i zające składały zwyczajną jego kompanię.

— Kwiatki i zające były tylko rozrywką, boć bym przez te trzy dni i Państwa zanudził, siedząc im ciągle na głowie.

— Na głowie! — pomyślała Hiacynta — to wyrażenie nieszlachetne, obraz nieprzyzwoity nawet! Brak wychowania widoczny!

— My się na to przynajmniej skarżyć nie możemy — rzekła Julia z przekąsem,

Staś spuścił oczy, uczuł się winnym, udał nawet że niedosłyszał; w tém zaturkotało opodał na drodze, wszyscy zwrócili oczy, i ujrzano szybko ku dworowi Pawłów jadącą znajomą najtyczankę żółtą gospodarza, a na nią rozpartą, a raczej w pół leżącą jechał spieszenie mąż Julii. Przejeżdżając mimo pokornego dworku Hieronimów, spojrzął i z podziwieniem poznał w ganku żonę, córkę i Hiacyntę. Widok to był dla niego zdumiewający; zdało mu się w początku że się omylił, przetarł oczy, kazał jechać powolniej, nareszcie niemogąc wytrwać, stanął przed bramą i pieszo wszedł w dziedzińcyk. Oczy go niezwodziły — żona, córka, były u Hieronimów — Cóż

się to stało? — pomyślał — one co tak ich nie cierpią serdecznie.... to coś doprawdy dziwnego.... Ale ba! — dodał w myśli — tam jest Staś! rozumiem wszystko. — Kuta baba! kuta! — powtarzał w duchu, ciesząc się przebiegłością żony.

W téj chwili jednak kuta baba, bardzo nie wswowim była humorze, powitała męża zimno, Staś, któremu Paweł zwiastował powrót ojca, także smutno bardzo nań spojrział i westchnął po cichu, reszta towarzystwa przyjęła go ceremonialnie.

— A ojciec mój? — spytał nieśmiało Stanisław.

— Dziś tu będzie niezawodnie! — odparł Pan Paweł.

Zły humor gościa nie uszedł wprawnego oka Julii; powstała żywo, pożegnała skinieniem głowy pogardliwém przytomnych i pospieszyła z mężem do domu.



III.

Dziwnie słabi są ludzie; miłość własna tyle ma władzy nad niemi, że często najrozumniejszym odbiera moc zdrowego sądu o uczynkach i tém co się ich samych dotyczy. O drugich wyrokują trafnie, o ich obrotach umieją wyrzec zimno i sprawiedliwie; gdy przyjdzie do siebie samych, myślą się najzupełniej, a jeśli sumienie podpowie im szczerą prawdę, to miłość własna tyle ma do zarzucenia, tak uśmierza i łagodzi wyraz sumienia, że w końcu przerobi go na swoje kopyto. Nigdy może w znacznej gromadce ludzi różnych, ta prawda tak jasno na wierzch nie wyszła, jak teraz, gdy się wszyscy

poczęli ze Strumienia rozjeżdżać. Przyjął ich wszystkich zarówno grzecznie, uprzejmie, dworacko Kasztelanica; dla każdego znalazł słówko pochlebne, każdemu coś powiedział miłego, nikomu jednak wyraźnego nie okazał pierwszeństwa. A choć się żaden z tego nie chwalił, wszyscy, każdy z osobna, wywieźli to pocieszające przekonanie, że Kasztelanica szczególnie łaskawe zwrócił na nich oko. Nawet najrozsądniejsi od tego uprzedzenia nie byli wolni, tak stary dworak umiał ich omamić przemawiając do wszechwładnej miłości własnej. Jeden tylko Dziadunio, którego przecież Kasztelanica ze szczególnym przyjmował szacunkiem, rubasznie mu ciągle odpowiadał, nie dał się ugłaskać i założył do wózka starą szkapę, jasno widząc, że się te wszystkie zabiegi na nic nie przydadzą. Ale dziadunio znowu był z tych ludzi, którzy z obawy, by niewidzieli rzeczy zbyt dobrze, zawsze je widzą nadto czarno. Dziadunio znał ludzi i tak się lękał fałszu, tak kochał prawdę, że ją nawet samemu sobie umiał w potrzebie powiedzieć, co najrzadsza. Wielu drugim powie surowo co im należy, ale nie sobie. Dziadunio właśnie był jednym z tych rzadkich ludzi, co z sobą samymi nie wchodzą w kompromissa i sądzą się bez

litości. On też jeden wyjechał ze Strumienia, widząc jasno jak szły rzeczy i nie uwodząc się wcale. Reszta, pobywszy z sobą na osobności, rozmyśliwszy się o przyjęciu, rozważywszy każde słowo Kasztelanica i stosunek jego do siebie, najdziwniej się łudziła.

Najrozsądniejszy Pan Piotr; uległ także tej zarazie i wyjeżdżając tak mówił do siebie: — Biedny Samuel zbyt czarno go sobie maluje; zresztą i to prawda, że nie przed każdym człowiekiem się gotów odkryć. Czulem jednak, że co mi mówił, mówił szczerze, z serca... Widzę i ledwie nie boleję nad tem, że ten człowiek wyraźnie ma szczególną do mnie sympatię... dlatego nikomu jeno mnie się zwierzył ze swoich cierpień dusznych. Mam jakiś wpływ na niego... Boję się, by w swym testamencie nadto nie pomyślał o mnie... byłoby to prawdziwe nieszczeście, bo niechciałbym skrzywdzić rodziny.... Nie myślę się, szczególniejszy widziałem pociąg jego ku mnie... a jak to przyszło nagle, niespodzianie! Biedne człeczysko, nie miał może dotąd nikogo, przed kimby się odważył wypowiadać z prawdą, ku której serce go pociąga...

I Pan Piotr mówił sobie dalej:

— Nie mogę tych stosunków przerywać; może

też będę tak szczęśliwy, że go całkowicie nawrócę, że go wesprę i uwolnię od téj zgrai pijawek co go otacza... Poznał się na mojem sercu! Biedny człowiek! żal mi go szczerze! wiek co zepsuł, serce naprawić może.

Ten sam temat z różnemi waryacyami obrabiali niemal wszyscy wyjeżdżający ze Strumienia, każdy po swojemu.

August Pobiałą uśmiechał się w głębi kocza i marzył także:

— To człowiek dobrego towarzystwa, znać na nim że bywał na dworach, otarty... Pojeśliśmy się oba, zrozumieli zaraz; uważałem jak za każdym dniem zwracał się do mnie, niby mojego zdania żądając o potrawach. Miły, wcale miły starzec, trochę zepsuty! no! wiek XVIII. zafarbował go i cóż dziwnego. Dwór Stanisławowski, Warszawa, Francya, jak go nie miały podpuścić? Zdaje mi się, że ze wszystkich na mnie szczególniej, wyłączniej uważał. U stołu ciągle był do mnie zwrócony, pytał, rozpytywał o familię, zagadywał kilka razy, przyciągał... Prawdziwie śmiesznieby było, żebym go tak sobie wejrzaniem, magnetycznie pozyskał... ale to mi się już trafiło. A! a! nie gniewałbym się! choć familia naturalnie-

by krzyczała. Juściż jeśli ma komu obojętnemu zostawić, lepiej żeby krewnemu zapisał... Wybierze kogoś, z kim sympatyzuje! Człowiek z gustem!

Pan Tomasz, który jechał obok, trochę rachował na swój dowcip.

— Nie mam wątpliwości — mówił — że m się staremu podobał. Śmiał się aż za boki biorąc z każdego konceptu mrugał na mnie stary filut! A! a! i sam nie głupi, jeszcze ostry dowcipiek w nim jest! Żal mi moich braci, że go sobie pozyskać nie umieli, ale widzę że z nas trzech, najwięcej szansy dla mnie. Ha! ha! gdyby mi zapisał wszystko toć i to dla nich! Ożenie się już nie ożenię... (westchnął czegoś) alebym trochę pohulał, a reszta dla Augusta i Józefa.

Józef też choć gderliwy, choć kaszlący i milczący, miał pretensyjkę do podobania się.

— Magnat! — mówił jadąc i klnąc trzęską drogę — magnat co się zowie, ale zbyt już hula! Jest tam nieco rachunku i widać ład, ale po co dla swoich, dla familii ten występ? Liczyłem butelki szampa, wypili kilkadziesiąt, minimum tysiączek złotych, a rocznego procentu złotych pięćdziesiąt! Ale dobry człek, i choć tak występuje czasem, jednak ostro się słyszę trzymać z pieniędzmi... Jest ład! jest!

Szczególna rzecz, ale my we dwóch zgodzilibyśmy się najlepiej, uważałem to z jego mowy: lubi porządek i oszczędność. Jakem mu mówił o mojem gospodarstwie, to mu się oczy świeciły. Żeby tak mnie zapisał Strumień zobaczyłby, co bym ja z niego w lat dziesięć zrobił, i ileby kapitału leżało. A! a! myślę, kto wie! gotów to zrobić, bośmy się coś bardzo pokochali.

Pan Antoni także na wózku jadąc śpiewał piosnkę podobną.

— E! e! nie tak czarny diabeł jak go malują. Kasztelaniec ma serce, ma... kto go nie wart nie zobaczy; ale zemną był, już się poskarzyć nie mogę, prawdziwie serdecznie; nawet mi delikatnie dał do zrozumienia, że mnie nad innych preferuje. Byłaby fima Samuelkowi tego, żeby nam wszystko wałnął! Ale ba! krzywdy jego nie chcę, dałbym mu część... część pewną... tak... jakąś część... częsteczkę, na złagodzenie bólu, reszta dzieciom. Ale bym im jeszcze pogospodarował na większym i pokazał co umiem. Daj mu Boże zdrowie, Kasztelaniciowi, ale to człowiek co się na ludziach zna! ba! ba!

Nie będziemy powtarzali reszty tych piosnek, które zresztą nadzwyczaj grzeczne i układne przyjęcie

Kasztelanica wywołało — wszystkie tym były podobne, wszyscy, aż do Sobockiego, który posądzal Kasztelanica że na żonę jego rzucił nie obojętnym okiem — ludzili się nadziejami, bawili orzechami pustemi.

Skutkiem tego było, że wszyscy po odwiedzinach pamiętnych, poczęli przemyśliwać, jakby utrzymać i powiększyć pozyskany sentyment Kasztelanica i afekt jego tém sobie pomnożyć. Łamali głowę czémby przypodobać się mogli, i każdy wedle usposobienia, usiłował przypominać się jakimś datkiem lub posługą. Kasztelaniec niczego się bardziej nie lękał, niczem bardziej nie brzydził, jak listami, na które odpisywać musiał, przerywającami spokojny i uregulowany byt jego. Gdy zaraz potem zaczęły płynąć sarny, szczupaki, owoce, przysmaki i podarki różne od krewnych, a za każdy dziękować przyszło, a każdemu coś odpisać, stary o mało się nie wściekł. Zważywszy jednak, że gniew i zniecierpliwienie niebezpieczną policholią wywołać mogą, że niepolitycznym byłoby obrażać tych którzy się dla niego na grzeczności zmagali, zaciął tylko usta, zasadził Jasia do smażonych respensów i uzbroiwszy się wytrwałością, przebywał już te nasłania tak ciężkie dla siebie ze stoicką rezygnacją.

Jaś bacznie ciągle wpatrywał się w stryja i chwycił ledwie dostrzeżone na twarzy jego błyski gniewu i rozjątrzenia — w duchu myślał z nich korzystać. Terminiński także, w interesie Panny Anieli, chciał na nich coś zbudować, gdyż i przed nim nie mogły się ukryć starca gniew i niecierpliwość. Oba jednak zapaśnicy milczeli, dając czas uczuciu żeby się w duszy starca rozrosło i wkorzeniło.

Tym czasem Panna Aniela codziennie była czulsza, smutniejsza i troskliwsza; Terminiński coraz gorliwszy w usługach, powoli gdy tylko mógł rzucał słówko za swoją protegowaną. Kasztelanic te słówko dotąd w milczeniu połykał, i ani się zżymnął — Aniela i jej adwokat byli najlepszych nadziei, nie tając przed sobą że to powoli iść musi.

Jaś patrzył, czekał, i doczekał się tego, że potrafił zręcznie podchwycić rozmowę spiskowych. Był już na drodze, klasnął w ręce... Wygrana moja! — rzekł do siebie! Począł rachować nad swój wiek bystro i trafnie.

— Stary stryj znudzi się ich naleganiem. — Aniela mu się sprzykrzy, Terminiński mu daje klepiąc jedno a jedno. Naówczas schwyć porę i wyforuj oboje: potrzeba mi tylko mieć drugą Anielę na pod-

stawkę i drugiego Terminińskiego na przypadek, i o to wartoby się wcześniej postarać. Za pierwszém syknieniem starego na nich, muszę ich mieć gotowych pod ręką. Aniela, chwała Bogu! sama sobie interesa psuje: on chce wesołości, ona go karmi sentymentem, w któren on nie wierzy. — Wszystko dobrze, cicho! czekajmy!

Niecierpliwie jednak Jaś czekał, badał, wypatrywał chwili, gdy wybuchnie znudzenie i niecierpliwość stryjowska. Wiedział on z góry, że przed nim stary się nie poskarży, ale postanowił sam śmiało wywołać wyznanie, gdy pora na nie przyjdzie.

Gdy tak czycha, Aniela i Terminiński pracują, ciągle się łudząc nadzieją, że się ta praca ich na coś przydać może. Kilka miesięcy panna przychodziła ciągle z jedną mową, czułą, kamerdyner przy każdej zręczności rzucał słówko za nią, Kasztelanic tylko brwi podnosił, usta mu drżały konwulsyjnie — ale milczał. Terminiński rachował na słabość i dobijał, ale wśród dzieła postrzegać zaczął, że pan coraz dla niego zimniejszym się stawał. Widział to już i Jaś, radując się w milczeniu, że tak dobrze wszystko na-przód rozrachował.

Jednego wieczora, po skwarnym dniu ostatków,
Inter. Tom III.

lata, Kasztelanie siedział w fotelu, ciężko dysząc i nie mogąc znieść upału, którego wieczór przepowiadający burzę nie zmniejszał. Termiński związał się koło niego szczebiocząc.

— Jaśnie Pan uważał, jak Panna Aniela mizernieje — rzekł cicho.

— Mizernieje — powtórzył stary — tak i starzeje, co nie na awantaż.

— Tego nie uważałem — rzekł Termiński — owszem, zdaje mi się, że dziwnie się trzyma... nawet to zmizerowanie uczyniło ją więcej zajmującą... O! smutna i cierpiąca; mówiła mi że chciałaby pojechać poradzić się do rodziny.

— Doktora tu można sprowadzić — rzekł stary.

— Nie wiem z resztą co to za projekta; mówiła tylko że chciałaby pojechać.

— Czemuż mi nie o tym sama nie mówiła?

— Nie śmie! a mnie z płaczem już od kilku dni nagli, żebym Pana o to prosił — i ma powód słuszny.

— Powód? cóż nowego.

— Nieśmiem mówić, bo mi zakazała żeby Jaśnie Pana nie zmartwić, ale w istocie ważny powód.

— No! to nie bądźże głupi, nie strasz mnie, rakawiczek nie kładnij, a mów od razu.

Termiński, jak człowiek co chce szeroką przeskoczyć przepaść i obawia się upadku, zawahał się.

— Nie bądźże błaznem a gadaj — powtórzył stary żywo — to mnie nudzi!

— A więc! — wzdychając rzekł Termiński — kiedy Jaśnie Pan każe, to muszę, ale to historia! Gdybym był mógł przewidzieć co się stanie, nigdybym nie narażał Jaśnie Pana na to...

— Ale cóż się tam u kaduka stało?

— Gdyby tylko Pan się nie gniewał, a pozwolił mi opowiedzieć...

— Słyszalesz, że nietylko pozwalam, ale każę; gadaj i nie męcz! — zawołał Kasztelanie.

— Rzecz się ma tak — odezwał się jękając trochę sługa — że Panna Aniela, o czém ja zresztą niewiedziałem — ma brata.

— Choćby dwóch, a cóż to mi ma szkodzić? — rzekł stary.

— Jaśnie Pan pozwoli mi skończyć; brata tego jeszcze w dzieciństwie oddano do kadetów, i tak zginął z oczów rodziny, że niemal o nim zapomnieli. Teraz licho mu nadało powrócić; zle języki słyszę doniosły mu coś o siostrze... naturalnie że go to obeszło mocno...

— Ba! ba! już i brat z komedy! stary koncept — rzekł z przymuszonym uśmiechem Szambelan — no, i cóż? zapewne chce co utargować?

— A! Jaśnie Panie, to dziś podobno pułkownik i człek bogaty; on grozi całemu innemu... chce zmusić procesem do ożenienia... przynajmniej tak się odgraża.

Staremu oczy krwią zaszyły, ale od śmiechu parsknął.

— Terminiński! — zawołał — i ty temu wierzysz, a myślisz że ja dam wiarę?

— Ale to prawda, Jaśnie Panie, to najistotniejsza prawda! Panna Aniela truchleje na wspomnienie brata, boi się jakiegóż awantury, myśli uciekać.

Stary głową pokiwał, — rzekł — cóż to myślisz o tem, Terminiński?

— Co ja myślę? — rzekł oburącz chwytając ostatek odwagi sługa... — Czy Jaśnie Pan przywiązany jesteś do Panny Anieli czy nie, w tem kwestja; czy bez niej się obejść możesz?

Kasztelaniec spojrział na niego z pod oka, skrzywił usta.

— To pytanie zuchwałe — rzekł powoli — przywiązany!! ha! ha! człek się i do fotelu przywiązuje

nałogiem. W moim wieku zmiana choć się jej czasem zachce niebezpieczna, zbyt irytuje, zbyt pobudza, wycieńcza — póki się człowiek przyzwyczai, dopóki pozna, oswoi, czas się drogi traci; niechciałbym nikogo zmieniać przy sobie... ale...

— Ale co, Jaśnie Panie?

— Ale cóż mam począć z tym bratem, kiedy taki zuch.

— Jaśnie Panie, z westchnieniem rzekł Terminiński, grając rolę poważnego doradcy. — Gdzie Pan znajdzie tyle przywiązania, tyle serca, tyle pocziwości, taką łagodność i charakter jak Panny Anieli — to trudno! To perła! Uczciwa, pobożna!

— Nie chwalże jej tak Terminiński; będę myślał że ci co za to obiecano...

Sługa się zaczerwienił, i oburzył niezmiernie.

— A! Jaśnie Pan nieznasz sług swoich! godziź się takim słowem ich kaleczyć?

— No! no! dalej, do czego szedłeś?

— Mam wszystko powiedzieć?

— Rąb a śmiało.

— Na miejscu Jaśnie Pana — wyrzucił Terminiński jak z procy... — ja bym się z nią ożenił.

Kasztelaniec nieznacznie się uśmiechnął, ruszył ramionami, dobył tabakierki.

— Umhu! — rzekł — i jaby to zrobić, gdybym był na twoim miejscu...

Termiński zbladł.

— A nawet — dodał stary — to projekt niczego. Gdy się z nią ożenisz, brat nie powiedzieć nie będzie mógł; honor będzie ocalony.

— Ale Panna Aniela nie zechce pójść za mnie...

— Nagle pomiarkował się Termiński. — Wątpię przynajmniej — dodał — bardzo wątpię, a z mojej strony toby była ofiara...

— Wszak ty mnie tak kochasz, Termińsiu — szyszcząc wyraźnie rzekł Kasztelan — mógłbyś nie chcieć się ożenić z tą, którą mnie swatasz?

— Jaśnie Panie, co to mówić — wikłał się Kamerdynier — toby było zbyt jawne... to by było.....

— To by było doskonałe... i wilk syty i koza cała, a w testamencie znalazłby się posazek dla obojga.

— Al Jaśnie Panie — wzdychając z głębi piersi zawołał Termiński — spodziewamy się setnych lat dla Jaśnie Pana; na Testament serce nie pozwala się oglądać....

— Ba! wołałbyś żywca? — rzekł Kasztelan.

— Co to o tém mówić, wysokie progi na moje

nogi — odparł Termiński. — Panna Aniela na mnie i nie patrzy — ona szlachcianka, brat pułkownik, dobrego rodu, a ja wyznawszy prawdę, at! Ale czemu by Jaśnie Pan nie pomyślał o tém co ja mówię?

— Ja!... a to tyś widzę zawarował Termiński? — zawołał stary odwracając się — co ci to?

— Jaktó Jaśnie Panie? jaktó? — niespokojnie zapytał sługa, widząc że poszedł złą drogą.

— Chcesz mnie widzę gwałtem żenić?

— Alboż co, Jaśnie Panie.

— Z Panną Anielą?

— Ja! ja mówię tylko co myślę... to moja wina... Zresztą co mnie do tego. Jeśli się temu jakoś nie zaradzi, ona pewnie wyjedzie....

Stary słowa już nie rzekł; Termiński niespokojnie go badając oczyma, pokręcił się chwilę jeszcze i wysunął zakłopotany.

— Ha, — rzekł do siebie w sieni — to pierwszy szturm, nie dziw że odparty! Powoli się może z tą myślą oswoić. Ale prawdę mówiąc, nie najlepiej to poszło! Ostrożnie potrzeba, ostrożnie.

Coś szmyrgnęło w ciemnym kurytarzu; Termiński się obejrzał, nie było nikogo.

— To pies — pomyślał — ale jak się tu zakradł do zamczystej sieni?

Nie był to pies jednak, ale Jasek, który od niejakiego czasu codziennie pode drzwiami sypialni rozmów Termińskiego podsłuchiwał. Zręcznie wysnuł się na podwórze, a ktoby był ujrzał bladą twarz jego ożywioną jakimś uczuciem dziwnym, poznałby, że się w głowie chłopca wielkie gotowały zamiary.

Jaś poleciał do swojej ubogiej izdebki z zaciśniętymi ustami, z bijącym sercem, zacierając ręce, dodając sobie odwagi, cicho coś szepcząc do siebie. Całą noc biegał jak nieprzytomny, obrachowując, zasnawiając się, licząc, a słowa, które się z ust jego wyrwały, dowodziły że wielka odbywała się w nim walka. Nadedniem dopiero, ukołysany jakąś nadzieją, rzucił się nierozbierając na swój barłóg i gorączkowym snem spoczął na chwilę.

W pokoju Pana Termińskiego nie lepsza noc była. — Sługa z brwią namarszczoną, ze spuszczoną głową, z założonemi w tył rękami chodził i dumał posępnie. Czuł on, że się porwał na rzecz wielką, może przedwcześnie, ale kość była rzucona, cofnąć się niepodobna — strach go przejmował chwilami, dreszcz przebiegał, czarne mary snuły się przed oczyma.

Całą jego nadzieją była słabość Kasztelanica, nie-dołęztwo, w które samolubstwo wpędziło, nałogowe

przywiązanie równie do ludzi jak do godzin. Ilekroć uląkł się, powtarzał sobie po cichu:

— Ba! ba! a jakby się on obszedł bezemnie? a kto mu pościele? a kto go położy? To być nie może! nie może! Ożeni się czy nie, a ja zostanę na miejscu! nie ma się co obawiać!

Źle spał i Kasztelanic po rozmowie z Panną Anielą, w której na skutek spisku, także ów bajeczny brat jej, pan pułkownik wystąpił. Widział on doskonale ośnowę roboty, zamiary i środki, był pewien że się nieda nieostrożnym intrygantom, ale go trapiła myśl, że mu roboty te pokój zatrują, życie zmieszają i krew żywiej popędzą. Potrzeba było walczyć, a Kasztelanic na bój taki ostatka sił żałował. Przewracał się więc całą niemal noc niespokojny, a we śnie łajac Termińskiego, Anielę i Jasia, zmęczył się marami.

Jak skoro zaświtał ranek, Jaś zniknął ze swjej izdebki i we dworze nigdzie go nie było widać. Termiński miał go za zbyt nieznaczące stworzenie, by kroki jego śledzić, i niezwrócił na to uwagi. Tymczasem Jasek zasiadł na strychu dworu, wkradłszy się tam o świcie, przez składy od których klucze bywały mu powierzane, i szukał téj części sufitu, która

odpowiadała zamkniętej, tajemniczój izbie Kasztelanica. Szczęściem dla niego, w starym dworze nie wszystkie pokoje miały sufity narzucane! w bocznych było tylko stolowanie z tarcic, wyklejone papierem, i takie właśnie okrywało pokój Szambelana, w którym zwykł był kilka godzin dnia zamknięty przepędzać.

Jaś potrzebował się upewnić, co zawiera ten pokój, i co w nim robi Kasztelanica; zasiadł więc na strychu, rozpatrzył się dobrze w położeniu, rozrachował szerokość i długość, odrzucił trochę gliny, dobrał się do tarcic i począł po cichu świdrować dziurę w suficie.

Robota, którą potrzeba było prowadzić bardzo ostrożnie, szła nie łatwo na zawiedlém drzewie; ale po półgodzinném dłubaniu zaświtał promyk przez wykreconą dziurkę i Jaś chciwie do niej oko przyłożył. Nic widać nie było jeszcze, musiał ją rozszerzać, musiał rozrobić ukośnie, co niemało zabrało mu czasu, ale nareszcie pożądany otrzymał skutek.

Oko jego, drżące niepokojem i ciekawością, przylgnęło do tego otworu, którego teraz odkrywał mu już tajemnicę dla wszystkich dotąd osłonioną i nieodgadniętą.

Pokój, w którym Kasztelanica zamknięty część dnia samotnie przepędzał, miał dwoje okien od podwórza zakratowanych. Jedno z nich zabite było okiennicą na zawsze, drogie od dołu grubą zasłonię fi-ranką, i wpół przezroczystym zapuszczane storem. Jaś ujrzał wpół mroku kilka naprzód szaf i kufrów zamkniętych, do koła ścian ustawionych. W pośrodku był wielki stół, zasłany suknem zieloném, a przed nim wygodny fotel i krzesło. Na stole leżały rzędami stopy kart, taliami poukładane bardzo porządnie, kilka arkuszy papieru i marki jakieś. Na ścianach cztery wielkie obrazy w przepysznych ramach złożonych przedstawiały o ile mógł dojrzyć nagie jakieś postacie w rozmaitych położeniach....

Zresztą, nic tu nie zwracało uwagi, a Jasia najbardziej zajęły karty,—których celu i potrzeby nie mógł zrozumieć, bo Kasztelanica nigdy w nic niegrywał—i papiery jakieś z kałamarzem i piórami w drugim końcu stołu. Długie godziny samotne, które tu przepędzał Kasztelanica! jeszcze dla niego były tajemnicą. A że mu wielce zależało na dowiedzeniu się jak ich i na co używa, postanowił zatrzymać się, doczekać jego przyjścia i wypatrzeć co tu robił.

Wcześniej więc oko przyłożywszy do dziurki, sta-

rając się najmniejszego nie zrobić szelestu, układował się na górze i czekał. Godziny szły nadzwyczaj powolnie, i już Jasiek niecierpliwić się poczynił, gdy usłyszał klucz chodzący w zamku, skrzypiące drzwi, i nie bez drżenia ujrzał Kasztelanica wsuwającego się powolnie do pokoju.... Twarz jego była zmęczona, zbladła, oko nabrzękle, postawa malująca utrudzenie. Wszedłszy zaryglował się natychmiast, postąpił kilka kroków powolnie, zamysłony, spojrzął na zegarek i przybliżwszy się do stolika przerzucił naprzód papiery jakież, które zdawały się rachunkami zapisane.

Jaś oddech i życie w sobie wstrzymywał jak mógł, cały będąc okiem, cały wejrzeniem. Chwilę trwał przegląd papierów powolny; Kasztelaniec poszedł do jednej z szafek, za której otwarciem ukazały się w niej stosy kart, książki i różne drobne buteleczki; wziął parę talij, obejrzał bacznie i zasiadł z niemi w fotelu.

Tego wszystkiego dotąd Jaś nie zrozumieć nie mógł—stary począł karty tasować, mieszać, przygotowywać, wreszcie spojrzął na próżne krzeselko, jak gdyby na niem kogo widział (stało ono z boku) i począł grę dziwną.

Rzucił karty na trzy dzieląc je kupki, z krwią zi-

mną, z uwagą wielką, ale bez oznaki najmniejszego wrażenia; niekiedy tylko okiem na próżne krzesło skinął, zastanowił się chwilę i znowu ciągnął. Gdy się talia skończyła, zaczął coś pisać kredą, wziął inne karty i znowu rzucał, znów rachował, zastanawiał się, zdawał coraz rozogniać, ożywiać, nawet uśmiechnął parę razy i w przestankach zatarł ręce.

Jaśkowi zdawało się to wszystko niezmiernie do szaleństwa podobnem, i całej téj roboty tajemniczej z kartami zrozumieć i wytłomaczyć sobie nie mógł.

Tym czasem jednostajne to zajęcie przeciągało się coraz dłużej, bez żadnej zmiany, i znużony chłopiec z trudnością wytrwać mógł w położeniu, na którym go w początku utrzymywała ciekawość. Kasztelaniec grał z próżnem owém krzeselkiem, pisał, mazał, ciągnął i niebyło temu końca. Głos bijącego zdala zegara obudził go nareszcie: podniósł głowę, położył talie, spojrzął na swego nieodstępного Bregueta i szybko dokończył talii. Potem zdawał się pilno jakiś robić rachunek, odsunął karty i skierował się ku drzwiom, coś zapisawszy na papierze.

Wszystko to co tu widział, było dla Jasia niezbadaną tajemnicą, a czego najbardziej pragnął, tego wysledzić nie potrafił. Co się zawierać mogło w sza-

fach i kufrach, co były za papiery na stole, czy gdzie nie leżał przygotowany testament? tego nie wybadał a nawet domyslić się nie umiał.

Gdy drzwi za Kasztelanicem się zamknęły, Jaś powstał szybko, zamknął otwór zrobiony, narzucił go gliną i starém drzewem, a sam pospiesznie zbiegł do składów, przez które przemknął się do sieni i niepostrzeżony uciekł do swój izdebki.

O zwykłej godzinie, poprzedzając Kasztelanica, synowiec już był w salonie i odpowiadał na jego pytania codzienne, wpatrując się w twarz zgrzybiałą i znużoną, na której czytał ślady niepokoju.

— Chciałbym stryja dobrodzieja prosić — rzekł pokornie całując go w rękę — o pozwolenie na parę dni do miasteczka.

— Po co? — zapytał Kasztelanic.

— Jestem trochę niezdrowy; prosił mnie przytém Sobocki, żebym ich odwiedził.

— Z Sobockim bardzo się wdawać nie życzę — rzekł stary wpatrując się w Jaśka — to łajdak — a doktora nie zdajesz mi się potrzebować.

— Chciałbym się z siostrą zobaczyć — dodał chłopiec.

— Wiem że to wszystko kłamstwo — spokojnie

przerwał stryj — prawdy mi nie powiesz, ja jęj na ten raz odgadnąć nie mogę, ale pamiętaj, że jak sobie pościelesz tak się wyśpisz.... Jedź na dni trzy i powracaj....

Jaś w rękę go pocałował, nie próbując nawet się tłumaczyć.

Przy stole Kasztelanic rzucił słowo wyprostowanemu Panu Bulwie o koniach dla Jaśka, i rozdysponował sam, jakimi go posłać miano. Terminiński i Aniela spojrzeli po sobie znacząco! odjeżdżający Jasiek dosyć im był na rękę, bo choć się go nie lękali, zawadzał.

Ale po namyśle głębszym pierwsza Aniela pomiarkowała, że ten wyjazd może nie być obojętny i ukrywać jakieś zamiary. Myśl ta przelotnie tylko mignęła jęj i innemi zagłuszona, w natłoku ich znikła.

Przy poobiednych warcabach, Kasztelanic nim począł drzémac, przypomniał jeszcze Jaśkowi żeby jak najprędzej powracał, najmniejsze bowiem złamanie porządku dziennego, do którego potrzebnym był młody chłopak, już go niemile dotykało.

Ku wieczorowi zaprzężono bryczkę, cicho zabie-

gły konie przed oficynę i Jaś, otulony płaszczykiem, z oczyma iskrzącemi, radością jakąś i niepokojem, nakazawszy jechać żywo, pospieszył do miasteczka.



IV.

Tymczasem, pod niebytność Jasia nowe poczęto przypuszczać szturmy, zawsze do nich owego bajecznego używając pułkownika, którego dosyć żywo i trafnie malowano starcowi, tak że choć w niego nie wierzył w początku, wpadł już na myśl, że wynajdą jakiego zawadykę, którego nasadzić nań mogą.

Aniela pracowała udanym strachem, sentymentami, uczuciem, łzami, do ostatka niecierpliwiećmi starca, ukrywającego jednak uczucie które nim mია-
tało; Terminiński powoli starał się w niego wlewać strach, grożąc zaburzeniem i rozstrojem całej pracowicie usnutój budowy regularnego życia. Kasztela-

nic obojgu opierał się jedyną swą bronią, szyderstwem, ale już ta codzienna walka, ten niepokój niestanny, poczynaly go nie cierpliwieć do niewytrwania. Z każdą godziną zwiększał się gromadzący gniew, od którego wybuchu wstrzymywał tylko egoizm, przerażający starca odmianą żywota, a więc cierpieniem, a więc skróceniem tego życia, które rozmierzał i wyważał, po odrobinie je czerpiąc by na dłużej stało.

Termiński ośmielony pozorną martwością Pana, jego milczeniem, choć widział zniecierpliwienie, miarkując że było nieuchronne; coraz się go mniej obawiał i zapalczywie docierał. Kasztelanie odwracał napaści, zawsze z nich żartując tylko i puszczając mimo siebie. Ale co chwila napady były gorętsze i nieznosięjsze; ów wymarzony pułkownik wyrastał na rzeczywistość, zbliżał się, groził, pisał, nacierał. Aniela wchodziła zalana łzami, i doskonale odgrywając wszystkie uczucia, które ukazać potrzebowała, męczyła starca codzien okrutniej.

To też twarz jego nosiła już ślady walki, do której nieprzywykły, znieść jej nieumiał, ani odwrócić. Widział jak na dłoni co z nim i dlaczego robiono, a na odparcie tych szturmów miał tylko broń jedną,

zimne szyderstwo, niewiarę i daleką groźbę. Serce jego niebyłoby płakało za nikim, ale nałóg samolubny wiązał go do tych katów, dla których ani szacunku, ani przywiązania nie miał. I oni też nie mieli nad nim litości, choć pozornie otaczali przesadzonemi oznakami współczucia. Terminiński wpatrywał się w zbladłą i uwiedłą twarz starego, śledząc w niej postępowy znużenia i wyglądając rychło się podda utrapiony starzec; — kierował on Aniela, dyktował jej każde słowo, wskazywał co mówić miała i co robić.

Po wyjeździe Jaśka, nazajutrz rano, Terminiński który na wszystko się ośmielony ważył, wpadł do sypialni, okazując fizyognomią przestrach i jakieś rozjątrzenie nadzwyczajne. Kasztelanie postrzegł to od razu, ale odwrócił oczy przewidując scenę której chciał uniknąć.

Sluga, widząc że Kasztelanie na niego nie pogląda, umyślnie nie czekając dłużej zaczął mówić.

— Jaśnie Pan zapewne się domyśla...

— Nic się niedomyśla...

— Tak jestem wzruszony...

— Rób swoje, rób swoje — wyciągając ręce do szlafroka odparł starzec.

- Ale, bo... tracę prawdziwie przytomność...
- Staraj się ją złapać, bo coraz miślujesz gorzej.
- Człowiek nie jest panem siebie.
- A powinien nim być!
- Gdyby Jaśnie Pan wiedział...
- A może niepotrzebuję wiedzieć...
- Ale bo to rzecz nieobojetna — nalegał Ter-

miński — tu potrzeba radzić.

— Cóż się stało u kaduka? — grmiałym głosem, niezwyczajnym, zawołał starzec podnosząc z gniewem głowę.

Termiński, który w życiu głosu takiego niesłyszał jeszcze, struchlał, zadrżał, ale widząc że od odwagi jego zależeć może wszystko, ciągnął dalej:

— Panna Aniela będzie musiała wyjechać.

— Cóż tam znowu?

— Co! ten przeklęty pułkownik grozi jój, że tu przyjedzie i zrobi awanturę.

— A! to znowu pułkownik! — uśmiechnął się złośliwie stary... — Cóż tak strasznego? czegożes się tak przeląkł Termiński? damy mu rady przecie.

— Ale jak Jaśnie Panie? co począć?

— Poczekaj tylko dni parę, zobaczysz znajdzie się rada na wszystko, nawet na pułkownika.

Głos starca, gdy to mówił, znacznie był złagodniał, uśmiech nawet, którego wyrazu niezrozumiał kamerdyner, przebiegał usta; pomyślał więc, że stary zgodzi się nareszcie na wszystko dla kupienia sobie spokoju.

— Ale jakaż rada, proszę Jaśnie Pana? — spytał ciszżej.

— Jaka rada! ha! bardzo bo jesteś ciekawy! Poczekaj ino trochę, a zobaczysz że niezła i taka może której się niespodziewasz... poczekaj.

Kasztelaniec wciąż się uśmiechał, ale uśmiech jego był złośliwy i gorzki.

— Pułkownik grozi że tu przybędzie...

— Możecie go tam wstrzymać jaki dzień nie tém, to owém — rzekł Kasztelaniec — nieprawdaż?

— Ja niewiem — wczoraj list odebrała Panna Aniela, i służąca mi mówiła, że dziś całą noc płakała i lamentowała, a rano sama prosiła mnie, żebym o tém doniósł Jaśnie Panu...

— Powiedźże jój, niech odpisze, niech parę dni przewlecze, tydzień gdy można, a na wszystko poradzim... rozumiesz?

— Rozumiem — odparł Termiński nalegając znowu — ale jakże się poradzi?

— Mówilem ci że do zbytku jesteś ciekawy — rzekł stary — a ja nie lubię się spowiadać nikomu. Rób co mówię i basta.

— O! boby też to była wielka dla Jaśnię Pana strata — dodał kamerdyner szybko — gdyby się trzeba było rozstać z osobą takich zalet jak Panna Aniela. Trudno takięj drugiey, trudno!

— To mi codzień powtarzasz, umiem na pamięć... darmo gębę studzisz.....

— Jak niémam powtarzać co myślę?

— Gadaj sobie po cichu! kiedy cię język świerbi... — To mówiąc ubrany zasiadł do czekolady.

Gdy się to dzieje w Strumieniu, Jaś spieszy do miasteczka z równie śmiałym jak Termińskiego i Anieli przedsięwzięciem. Przez czas jakiś dobrze się przypatrzył ich obrotom i wrażeniu, które czyniły na starcu; postrzegł jego zniecierpliwienie, obrachował, że wkrótce ostatnim szturmem zgubić się muszą. Zdało mu się, że wszystko teraz pochwycić będzie mógł, gdy tylko zechce. Myśl którą powziął nyla zuchwałą w istocie i tylko niedoświadczenie Jasia a zepsucie jego usprawiedliwić ją mogło. Przewidując chwilę w której Kasztelanie odepchnąć będzie musiał Termińskiego i Aniela, chciał zawczasu

przysposobić dla nich godnych zastępców, którychby był całkiem pewny. Téj myśli nie chciał się jednak zwierzyć Sobockiemu, nie całkiem mu ufając, i pozornie tylko działając z nim razem. Teraz otwierać się zdawało pole zrobienia czegoś samemu przez się. Na miejsce kamerdynera i ulubienicy chciał wsadzić ze swéj ręki, posłuszne sobie i niemogące mu szkodzić stworzenia. Sprawę testamentową oddzielił od téj, na wszelki tylko wypadek podrobiony przygotowując dokument. Dojeżdżał więc do miasteczka wielce zajęty trudnością zadania, niewiedząc jak mu podołać bez pomocy ludzi, obawiając się jéj z drugiej strony, snując i porąc wnioski najdziwniejsze, ale z mocnym postanowieniem dokonania co zamyślił.

Na młode chłopię, ubogie, bez doświadczenia i bez wychowania, były to zamiary olbrzymie, charakter a raczéj siła woli potężna im odpowiadała; podlegało prócz tego zepsucie i chciwość, w dali ukazując jako nagrodę, bogactwa i świat im posłuszny pod stopami zwycięzcy.

W tych myślach wjechał do miasteczka Jasiak, z rozognioną twarzą, rozmarzoną głową i niespokojnie bijącym sercem.

Był to wieczór jesienny, chmurny, wilgotny, smut-

ny, a wiatr nad miasteczkiem kłęby dymów unoszący, najdziwniejszą wonią napelniał powietrze. Dzwony odzywały się z różnych stron na Anioł Pański jęcząco i smutnie; drogą wlokły się z trochę słomy i pijanym ludem wozy powracające z targu; szli pieszko śpiewając mieszczanie napili także, żołnierze, jakieś kobiety nad miarę wesołe; przelatywały bryczki brzęczące dzwonekami szlei, słowem, ogarniał powoli przybywającego hałas miasteczka i jego życie, tak różne od porządnego, wiejskiego, powszedniego trybu. Zaledwie zjechał z mostów i grobli wiodących ku przedmieściom, i zapuścił się w błotniste uliczki wązkie, żydostwo czarne i brudne jeło go otaczać i naciskać.

— Jaśnie Panie! Wielmożny Panie! niech Pan zajedzie! niech Pan każe zajechać! — O! tu! o! tu! Tu staje Pan Marszałek! tu zajeżdża Pan Sędzia! Stacya frontowa! — poczęli krzyczeć żydki uwijając się i łapiąc za bryczkę.

— W mieście wszystko zajęte! wołali inni.

— Tak przeprowadzony między pierwszym rzędem domów zajezdnych, w których oknach płonęły na znak niezajęcia świeczki łojowe! — Jasiak niewiedział spełna dokąd się udać i co z sobą zrobić, gdy nagle dało się słyszeć:

— Stój! stój!

Chrypliwy, śmiejący się głos je wymówił i postać jakaś, trudna do rozpoznania o mroku, zbliżyła się do wózka. Był to Sobocki, pod dobrą datą powracający z szynku, zwanego winiarnią, do domu, w towarzystwie dwóch godnych koleżków.

— Jak się masz Janie?

— A! to ty!

— Cóż to? niepoznałeś mnie.

— Ale jakżem miał poznać po nocy?

— Co ty tu robisz?

— Jak widzisz, za interesem przybyłem do miasteczka.

— Nie do mnie? — szepnął Sobocki.

— Trochę i do ciebie — odparł Jaś — ale o tém potem.

— Ba! ty widzę czując odemnie winko, myślisz żem nie trzeźwy! O! niewierna istoto! Daj ci Boże zawsze taką, jak moja przytomność! Człowiek ma najwięcej rozumu jak go trochę podleje.

— Ale to nie o to chodzi! Powiedz naprzód dokąd mi radzisz zajechać?

— A! do Arona! dobry dom i nie odra jak u innych; ja tam do ciebie przyjdę się rozmówić, albo odsyłaj konie a idź do mnie.

Jaś, schwytany tak, wcale nie był rad wypadkowi; chciał on naprzód sam postarać się o najpotrzebniejszych mu zastępców Anieli i Terminińskiego, a potem dopiero zobaczyć się z Sobockim; ale projekt był złamany, bo go szwagier odstąpić nie chciał, trzeba było zmienić plany.

Odesłał więc konie do owego Arona, a sam pieszo poszedł z Sobockim do znajomego nam dworku. W oknach jego jeszcze nie było światła i na dziedzińcu panowała cisza smętna, tylko z miasteczka dochodziły do tego kąta odgłosy wrzawy, dźwięk dzwonów i głuchy turkot wozów; przed dworkiem na dwóch kupkach cegieł niewykwindnie położonych, i brusie, który za rodzaj ławki służył, siedziała Antosia z dzieckiem na kolanach, sama jedna smutna jak ten opuszczony dworek, we łzach cała; z piersią dyszącą gniewem i rozpaczą prawie.

Sobocki już trzy dni pił bez ustanku, chwilami tylko zaglądając do domu, by się z żoną ujadać—brakło chleba, brakło drew na kuchnię, sługi pouciekały, Antosia została samą i w głowie jej się przewracało.

Widząc zbliżających się z mężem gości, których z daleka poznać nie mogła, porwała się biedna kobi-

ta z ławki i uciekła do domu, zatraskując drzwi za sobą; Sobocki śmiał się dziko.

— Zjész kroćset diabłów!—mówił po cichu do siebie—tylko ja cię nagnę na swoje, i oduczę borukania się ze mną. Nie na tom ja ciebie wziął, żebym przed tobą tańczył, ale żebyś ty mi skakała. I do stu tysięcy czartów! będziesz mi skakać jak zagram.

Tu mruczący wpadł z krzykiem do dworku, wołając zaraz od progu.

— Hejże światła! samowar! Jest tam kto? Antosia!

Ale nikt się nie odezwał.

Pijani towarzysze tymczasem popadali w prawo i w lewo na kanapy i krzesła, podśpiewując, wtórując gospodarzowi i ziewając głośno. Jaś przypatrywał się nieśmiało od progu.

Sobocki, widząc że nikt mu nieodpowiada, ze złością podszedł do trzeciego pokoju, w którym się zamknęła żona i poczał bić w drzwi zamknięte.

— Cóż to jest? co to ma znaczyć?—wołał!

— Idź spać gdzieś się upił!—odpowiedział głos z za drzwi—a daj mnie spocząć i dziecięciu...

— Otwieraj!

— Nie otworzę!

— Drzwi każe wylamać...

— Rób co chcesz, ale jeśli mnie doprowadzisz do ostatka... nie odpowiadam za nic.

Raz i drugi stuknął ręką i nogą we drzwi rozzłoszczony pisarek, ale widząc że im nie podoła, dał pokój i powrócił przeklinając.

— Co tu robisz?—rzekł do Jaśka—twoja godna siostrzyczka tak się ślicznie jak widzisz zemną obchodzi.... Niechże ją wszyscy diabli wezmą! rozprawim się kiedy indziej; proszę cię z sobą do starego Nysona...

Jaś niewiedzial co zrobić, spuścił głowę i obrócił się ku drzwiom; tymczasem Sobocki od jednego do drugiego chodząc; łapał towarzyszków już po części drzemiących w mroku i wyciągał ich z sobą. Ci rozmarzeni trunkiem, niedobrze wiedząc co się z nimi działo, bijąc się w ciemności o piece i węgly, wychodzili omackiem nieprzytomni. Cała gromadka wytoczyła się nareszcie nie bez trudności na podwórze.

Ze wszystkich, Sobocki, pomimo że miał głowę dobrze zalaną, najwięcej okazywał siły i panowania nad sobą, bo śmiejąc się jednym podtrzymywał, drugich złośliwie popychał, a wszystkiemi kierował.

— Trzeba te kury spać pokłaść—rzekł do Jasia

— musimy z sobą pomówić sam na sam, a choćby nas podsłuchać nie byli w stanie, jednak zawsze lepiej być ostrożnym.

To mówiąc, towarzyszków swoich zgarnawszy jak mógł, wyszedł z niemi w uliczkę i na chwilę opuściwszy Jaśka, zajął się rozkwaterowaniem opojów, którzy co chwila gorzej rozmarzali się. Spotkani żydzi dopomogli mu do tego i wkrótce zostali szwagrowie sam na sam. Sobocki acz cięty, acz widocznie wesół nad miarę, miał jednak całą swoją przytomność; chwycił Jasia pod rękę i kierując się z nim ku staremu miastu do winiarni, nieopodal zajezdnego domu Arona będącój, począł go usilnie rozpytywać.

— Tyś darmo nieprzyjechał—rzekł natarczywie—coś jest, gadajże mi co tam? Czy stary gorzej? czy myślisz że pora mu zrobić testamencik? jak ci się zdaje, czy on zapisze co? No! mów a otwarcie?

Właśnie otwarcie miał najmniej ochoty mówić Jasiek, i myślał co powiedzieć; niechciał bowiem wspomnieć o tém co go sprowadzało do miasteczka, a czuł, że bez Sobockiego nic nie zrobi, i co gorzej, ukryć się przed nim nie potrafi.

— Ja—rzekł trochę zająkując się i udając jak dawniej począł gapiątko—ja sobie tu tak przyjecha-

łem tylko, pilnego nic nie ma; a co się tycze testamentu....

— No! no! otóż to! mów co się tycze testamentu, czy pora go ulepić?

— Albo ja wiem!

— A z czémże przyjechałeś? mów bracie, my z lubą ręką w rękę.... otwarcie; nie rób daremnie sekretów.

— Ty wiesz, że żadnych sekretów dla ciebie niemam; chciałem się tylko poradzić z tobą co dalej począć. Stary coraz się więcej poddaje Anieli, Terminiowskiemu.

— No, to ich zasekwestrujemy.

— Narobią krzyku!

— Niech krzyczą; gorzej gdyby się stary pogniwał, domyśliwszy się zkąd to poszło. Jak myślisz?...

Jaś milczał, ważąc jeszcze czy mówić, czy się tacić widząc niebezpieczeństwo pierwszego, niepodobieństwo drugiego; szczęściem wchodzili w tej chwili do winiarni Nysona, i miał czas w przerwie rozmowy, głębiej się z sobą naradzić.

Ciekawa to była ta winiarnia małego miasteczka, miejsce schadzek całej niegdyś palestry, która za kołnierza nie przywykła była wylewać, dziś sądowych i kancelistów.

Dom choć w rynku, niepozorny, stary, ciasny, ale sławny lochami, nad któremi stał, zawierał kilka izdebek na przemiany przez przyjezdnych i przez pijanych zajmowanych. Winiarnia bowiem była razem domem zajezdnym. Kiedy brakło gości ze wsi, wszystkie izdebki stały otworem dla miejskich amatorów węgrzyna, którzy w razie przybycia ich, wynosili się z kieliszkami i butelkami na tyły, do coraz lichszych betami przyozdobionych klitek, zostawując tylko po sobie plamy po stołach i kwaskowate zapachy maślaczu.

Utrzymanie winiarni wcale nie było wytworne; prócz zegarów, które oddawna nie szły, kilka stołów potrzebujących podpórek, kanapy włosieniem wybitą, a dalej idąc ku tyłom, coraz większej ilości żydowskich pościeli, sprzętów i wyziewów — nie było nic więcej. Dom na ten wieczór właśnie był pusty; wszystkie stancyjki stały otworem, od ulicy palły się łojowe świeczki z długimi knotami, a gosposia małeńka, czarniawa, żywa i uśmiechnięta żydowica, zapraszała bardzo Pana Sobockiego do frontowego pokoju. On jednak dla przyczyn sobie zapewne wiadomych, bojąc się być wyrugowanym lub podsłuchanym, zabrał się z Jasiem dobrowolnie do najdalszej izdeb-

ki, zwykle dla ekonomów przyjeżdżających po sprawy i na postój przeznaczonój. Kazał przynieść butelkę węgryna na złotych dziesięć, i zasiadł ze swoim gościem u stoliczka z warcabnicą, na prostym zydlu drewnianym!

Posługacz, z uśmiechem poglądający na Jasia, którego miał za niewinną jakąś ofiarę Sobockiego, z dziwiony tём że kancelista częstował, wniósł wino, sér holenderski i bułki.

Sobocki obejrzał drzwi, przekonał się że nikt ich podsłuchać nie może, i przysunawszy się do Jasia, nalał naprzd dwa kieliszki, zmuszając szwagra by swój wychylił za jego zdrowie. Nastąpił drugi i trzeci rychło, niedając odetchnąć ni przemówić Jasiowi, który był głodny i zmęczony — Sobocki nie wprzd poczał egzaminować szwagra, aż go podpoił, co nie przyszło trudno, bo Jaś nie przywykły pić, a na czczo prawie, podchmielił się nim postrzegł że to go spotkać może.

Sobocki lał jak w beczkę, zajadał sérem i kazawszy robić herbatę, do której przyniesiono butelkę rumu, tak się wreszcie odezwał do szwagra:

— No, Jasiu, kochanie, terazże mi powiedz szczerze, co ty myślisz? co robić nam trzeba?

Jaś, skutkiem konieczności trochę, trochę skutkiem wychylonego napoju, myślał tylko od czego zacząć, postanowiwszy najszczerzej się wypowiadać. Drżał on używając Sobockiego, ale tłumaczył się przed sobą tём, że się bez niego nie obejdzie.

— Oto cała historia! — zawołał rzucając oczyma do koła — posłuchaj tylko uważnie, a potem poradzimy się....

Te słowa wyrzeczone były tak odmiennie, tak dobitnie malowały przebiegłość młodego chłopca, taki spryt błyskał mu z oczów, że Sobocki, który go zawsze widywał gapowatym, wstrząsł się tajemnie, mówiąc w duchu: — O! chciał mnie podejść! poczekaj oddam ci sowicie tę chętkę! Po pijanu wyciągnę z niego co zechcę... Mam go w ręku.

— Gadajże — rzekł głośno przysuwając się — nikt nie słucha, co tam nowego?

— W dwóch słowach — odparł Jaś — ten matacz Terminiński zrobił widocznie jakiś układ z Anielą; dokuczają staremu chcąc go doprowadzić do tego, żeby się z nią ożenił. Zdaje mi się, że Kasztelanowici oboje tak dojedli, iżby się ich rad pozbył, gdyby tylko można.

— A cóż mu trudnego?

Inter. Tom III.

— Widzisz stary niewolnikiem jest nałogów, a kto mu tych państwa zastąpi! Gdyby tak.... — Jaś się zaciął i spojrzał. Sobocki myśl odgadł.

— Gdyby, mówisz zapewne, znaleźli się inni na ich miejsce—o! o to łatwo!

— Nie tak jak ci się zdaje; stary zmiany nie lubi, trzeba mu wyuczonego jak Terminiński sługi, i drugiego Anieli. Gdyby sprytnego znaleźć człowieka, jabym go służby nauczył, a kobieta jeśli się znajdzie zdalna na miejsce Anieli, to jej uczyć nie będzie potrzeba....

Sobocki się rozśmiał; patrzył w oczy Jasiowi i dziwił się temu, co w nim odkrywał.

— Po toś przyjechał? — spytał.

— Tak, z tobą się poradzić, czy niemożnaby....

— O! można, sługę już mam....

— Jakto?

— I zaraz ci go pokażę, zobaczysz, lepszego ani żądać, co się tyczy panny, o tém jutro pomyślimy. No! ale testament? pisze on?

— Tego dotąd dojść nie mogłem—rzekł Jaś—wiem tylko, że w swoim pokoju zamknięty godzinami, nie innego nie robi, tylko sam z sobą.... gra w karty....

— Jakto? sam z sobą?—zakrzyknął Sobocki.

— Tak jest! Bóg go wie czemu nie grywa z nikim; ale widać nałogu pozbyć się nie mógł i sam z sobą codzień kilka godzin musi diablować.

Kancelista śmiał się na całe gardło.

— A to! pół waryata! — zawołał—możnaby mu tego dowieść, i jako szalonego zamknąć do Bonifratrów; ale coby nam z tego przyszło?

— To pewna że nie—odparł Jaś—lepiej go swojemi otoczyć.... Wiem, że Terminiński i Aniela straszą starego jakimś pułkownikiem, niby bratem Panny, który powrócił z wojska i za honor siostry chce się ująć, zmuszając Kasztelanica do ożenienia. Wszystko to wierutna bajka, bo, o ile wiem, Aniela brata nie ma, a gdyby go miała, nie mógłby wyjść na pułkownika; potrzeba mi formalnego świadectwa, że Aniela była jedynaczką....

— Dobrze! dobrze! sprytnyś! — zacierając ręce zawołał Sobocki.—Świadectwo będzie: wyjmę ci *posiemiejny spiszek!* (spis familijny). — No! a co więcej?—spytał szwagier korzystając z usposobienia do wywnętrzeń Jasia.

— Ba! alboż to mało! wyszukać następców dla tych państwa! to nie fraszka!

— Dla mnie łatwiej niż dla ciebie—odpowiedział

Sobocki—mogę ci zaręczyć, że sam z tém radybyś sobie nie dał, nikogo niemając.... Dobrześ zrobił, znosząc się zemną.

Jaś zrozumiał przymówkę, Sobocki bowiem dawał mu uczuć, że nie zaraz i dopiero po pijanu mu się zwierzył; podchwycił więc zaraz:

— Albożbym to ja bez ciebie co zrobił? — zawołał z uśmiechem.

— Bezemnie i niepowinieneś i niemożesz — zawołał Kancelista — niemasz stosunków, niemasz sposobów; choćbyś coś wymyślił nie będziesz wiedział jak dokonać.

— Zapewne! zapewne! — popijając mruknął młody chłopak. — Ja to wiem! ja to wiem!

— Ot zaraz zobaczysz, jakiego ci nastreczę Terminińskiego! — rzekł zacierając ręce.

— Ciekawym doprawdy!

— Hej! Myszures! — krzyknął Sobocki — Myszures! — i począł bębnić o stół.

Wpadł żydek, przestraszony nagłością wezwania.

— Co Wielmożny Pan każe? — mrugając okiem po próżnych butelkach.

— Ty znasz Puślikowskiego?

— Nu! a kto go nie zna! — zawołał Myszures — a na co Panu Puślikowski?

— Na co, to mnie wiedzieć; poszukaj mi go i przyprowadź.

— Jakto? po nocy? tak zaraz?

— Zaraz, po nocy!

— A gdzie ja go znajdę?

— Gdzie? w piekle czy w szynczku, gdzie ci się podoba, byleś znalazł; weźmiesz za to dwa złote.

Żydek poskrobał się, podrzucił jarmułkę i wyszedł.

— Ale cóż to za Puślikowski? — spytał Jaś zdziwiony.

— To bardzo ciekawe stworzenie — odpowiedział popijając Sobocki. — Wystaw sobie człowieka, który od dziecka po wielkich dworach służywał, i ostatni raz był u książąt B. w ...yńcu. Stary książę tak się przywiązał do niego, że mu dwadzieścia tysięcy zapisał. Ale cóż to zapis, zwłaszcza gdy głodni dziedzice nie bardzo mają ochotę zapłacić? Puślikowskiego nie lubili, bo ich do starego księcia nie puszczał, często nawet drzwi przed nosem niegrzecznie im zamknął; uwzięli się na niego by mu nie oddać legatu. A że byli naturalnymi spadkobiercami, a testament zawierał same rozporządzenia im szkodliwe, zarzucili mu nieformalność. Puślikowski, który so-

bie trochę grosza uciulał, uwziął się wyprocosować sumkę. Piąty już rok żyje w miasteczku, wyciera kąty w kancelaryach, ostatki traci, i z kąd zarwie dwuzłotówkę, puszcza na papier stemplowy. Póki miał pieniądze, nieźleśmy go doili, teraz goły — bo nic nie można mu było zrobić. Z tamtej strony płacą, a on niemal żebrze. Nie stracił jednak nadziei i siedzi w miasteczku, a że umie grać na skrzypce, zarabia sobie muzyką, żeby od gęby odejmując żywie kancelary! o! o! przedziwny człowiek.

— Z tego, co mówisz, miarkuję tylko — rzekł Jaś — że mu piątą klepki brakuje, kiedy się porwał na proces z B..., a mnie potrzeba człowieka zwinnego i nie głupiego.

— Bo się też mylisz bardzo, sądząc że głupi — odezwał się Sobocki. — Każdy człowiek ma swoją słabość, a broń Boże się na czém uprze, choćby najwięcej na tém tracił, będzie się odegrywał do ostatka. Puślikowski dla nas perła droga; drugiego takiego nie znaleźć — przywykły do starych, bo kołysał księcia, który w ostatnich latach gorzej wrzoda był niedotykalny; zna służbę, trzeźwy i przebiegły... Zobaczysz. W jeden dzień go ułożysz jak zechcesz.

— Ha! zobaczmy twojego Puślikowskiego — rzekł Jaś — ale myślę i o drugim.

— O! to sęk — zadumany popijając mruknął Sobocki — ale nie desperuję!

— Tu trzeba Panie szwagrze i twarzyczki i dowcipu, i manieri nie lada, jak Panny Anieli, tonu lepszego — słowem, nie wielkiej pocziwości, bo o tej niema co mówić na taki biorąc obowiązek; a powierzchowności uczciwej, co rzadko z sobą chodzi.

— Znajdzie się to wszystko! znajdzie! — mówił Kancelista zapalając fajkę. — A długo tu możesz zabawić?

— Najdalej dni dwa, trzy....

— Będzie czasu dosyć! niema się czém turbować; dobrze żem Puślikowskiego wymyślił; Aniela jutro będzie, niechno podumam.... Ale pomówmy o testamentie — zagadnął Sobocki.

Tych słów domawiał, gdy drzwiczki się otworzyły, i żydek wprowadził jakąś postać, w mroku jeszcze nie widoczną. Jaś porwał się z krzesła, domyślając Puślikowskiego i żywo podbiegł ku przybyłemu.

Był to mężczyzna lat może czterdziestu, wcale pięknej postawy i szlachetnej twarzy, rysów regularnych, bystrych oczu piwnych i podniosłego czoła. Na skroni podłysiały, na wybladłym licu znać było troskę, która go jadła, z którą dniował i nocował, a razem męstwo

z nią walczyło niezłamane. W istocie, niepospolitą potrzebą było odwagi, by z możnymi panami bić się o chleba kawalek, którego mieli siłę mu wydrzeć, a on nie miał siły obronić. Puślikowski tak był pięknych rysów i przystojnej fizygnomii, że strój ubogi wydawał się na nim jak przebranie; bo i postawa i układnie zgadzały się z nim wcale. Obok Jaska wybladłego, obok Sobockiego z najeżonym włosem i pokrzywioną twarzą, człowiek ten niemal idealnym zdawał się typem. Smutnie widzieć było na nim wyszarzane do nitki i polatane odzienie, opięte jednak starannie i czysto. Surdut oliwkowy niegdyś zachodził mu pod szyję, na której była resztką czarnej chustki i dziurawej, buty i reszta sukni kilkoletnie zużycie okazywały. Pomimo tego stroju, pomimo położenia swego, wszedł śmiało, skłonił się pokornie, ale bez poniżenia, i rzucając okiem po przytomnych, czekał wiadomości, na co go sprowadzono, z pewnym uczuciem godności.

— Słuchaj Puślikowski — zawołał Sobocki przystępując do niego, wyprawiwszy żydka — chcesz ty wygrać swój proces?

— Al! wielmożny panie! — składając ręce odezwał się z westchnieniem sługa — toć to mojego życia cel jeden; a cóżbym ja chciał więcej!

— No! to go wygrać możesz!

Puślikowski wyraźnie się nastraszył i zafrasował, przewidując że mu ciężkie podyktują warunki.

— Ale byka za jedyka; potrzeba żebyś i ty mnie coś zrobił.

— Cóż ja mogę panu-zrobić? — z przestraciem poglądając na obu spytał przybyły.

— Pójdiesz w służbę dobrą, spokojną i nie darmo, do starego i grymasnego człowieka, dla którego szukają właśnie kogoś, a ja za to wezmę twój interes i dam ci na piśmie zaręczenie, że go w pół roku przeprowadzę...

— Do kogo? do kogo? w służbę! — zawołał Puślikowski — a jakże ja się mogę z miasta oddalić!

— Do kogo, to ci powiem później, co od ciebie chcemy dowiesz się także; namysł się tylko czy się na to zgodzisz, a z góry sobie powiedz, że inaczej przepadł twój interes.

Puślikowski głęboko westchnął, głowa mu opadła na piersi, zamyślił się i zamilkł. Zdawał się dumać i ciężko widać mu było rozstać się z życiem, które wiódł, dla nowej pracy, może bezkorzystnej.

— Nędzę cierpisz — rzekł Sobocki nalegając —

sprawy nie wygrasz, czas stracisz; nie lepiejże sprawę oddać w moje ręce, a ja ci za wygraną ręczę, i samemu pójść w dobrą służbę; może nawet na niedługo?..

— Dośćbo już miałem służby — smutnie odezwał się Puślikowski — człek się przywiezuje, o sobie zapomina, i zostaje potem bez chleba kawałka. Zresztą i siły już nie po temu, a tam nie małych potrzeba... W ostatku, jakto panie tak proces opuścić?

Biedny człowiek, już się był zrół z tą swoją sprawą, dla której tyle poświęcił.

— Służba, która ci się trafia, niedaleko — odparł Sobocki — dowiadywać się będziesz mógł; zresztą, ja ci dam zaręczenie, że się zajmę i że wygram.

— Ale możeż to być? — z niedowierzaniem spytał ubogi.

— Jak ja zechcę wszystko być może! — rzekł Kancelista z pewną dumą — o co chodzi zresztą, kiedy daję na piśmie zaręczenie.

Przez cały czas tej rozmowy, Jaś śledził i badał człowieka i coraz go widział stosowniejszym do miejsca, które mu przeznaczali. — Powierzchnowość była nad spodziewanie, chodziło tylko o przekona-

nie się, jakie miał usposobienie i zdatność. O tych Jaś sądzić nie umiał, czekając z bliższem badaniem, ażeby mu Sobocki ułatwił największą trudność i nakłonił kandydata do przyjęcia służby.

Puślikowski zdawał się niepewny i więcęć wzbra-
niał niż spieszył; znać doświadczenie nauczyło go niedowierzać. Mina jego głębokie zamyślenie i nieledwie strapienie malowała. Sobocki wciąż nalegał.

— Ha! — rzekł wreszcie wezwany podnosząc głowę — proszę mi dać do jutra czasu, żebym się rozmyślił; w służbę iść nie chciałem, głowa zajęta czém inném; potrzeba się wprzód dobrze naradzić z sobą...

— Pamiętajże — dodał mu Sobocki na ucho cicho odprawiając go — że od tego twoja sprawa zależeć będzie...

Długo jeszcze trwała rozmowa między szwagrami, którzy do nocy pili herbatę, zajadali i badali się wzajemnie. Sobocki mocno był tém uderzony, że Jaś mu w początku nie pokazał się czém był w istocie i dla niego udawał głupowatego — oburzyła go ta chętka oszukania; zapisał ją sobie, żeby za nią zapłacić. Nie pokazał jednak bynajmniej bratu żony, że się na tém poznał.

O testamencie mowy nie było, nie pewnego nie postanowiono jeszcze, ale Jaś skłaniał się na przygotowanie go, by w razie potrzeby mógł być podrzucony; zdawało mu się bowiem, i nie bez przyczyny, że charakter Kasztelanica nie pozwala przypuszczać wczesnego obmyślenia testamentu.

Późno już Sobocki odprowadził Jasia do izdebki jego u Arona i pożegnawszy, powrócił do domu, by tam nową z żoną odegrać scenę. Pomimo niezmierniej ilości rozmaitego trunku którą pochłoniął, kancelista był prawie zupełnie przytomny i idąc uśmiechał się nadziejom, co po nad nim wlatywały.

Jaś tymczasem wielkimi krokami mierzył swoją stancję, niespokojny że się wygadał i zdał na łaskę człowieka, którego w duszy najmocniej się lękał. Wspólnictwo czyniło go niewolnikiem Sobockiego, a podolać mu chytrą nie czuł w sobie odwagi i siły. Uspokajał się rozmaicie, cieszył, ale lekarstwa nie działały wcale; sen uleciał, strach oswlądzał i ze dniem dopiero zasnął, nierozebrany rzuciwszy się na posłanie.

Obudziło go silne do drzwi stukanie: był to Sobocki, któremu godzina spoczynku wystarczyła, któremu oddawna był już na nogach, i z papierami pod

pachą spieszył pokazać się w kancelaryi, by się od niej pod jakim pozorem na resztę dnia uwolnić.

— A co ty śpiochu leżysz? — zawołał spoglądając ciekawie na Jaśka, który mu otwierał zaspany, w pomietém i zwalaném odzieniu. — Kładłeś się widzę nierozebrawszy nawet?

— To skutek twojego przyjęcia zbyt gościnnego — rzekł Jaś usiłując znowu po trzeźwemu odegrywać rolę głuptaszka tak, aby spryt spadł na trunek.

— Przyjdzie tu zaraz Puślikowski — szybko dodał Sobocki — rób z nim co chcesz, ja go już zupełnie skłoniłem do przyjęcia służby; powiesz mu do czego ma się wcześniej przygotować; mnie spieszo do kancelaryi i w drugie jeszcze miejsce, bo podobno i na urząd Anieli już kogoś mamy...

— Jakto? już i to zrobione? — rzekł zdumiony Jasiek.

— Ze mną tak — czwaniąc się trochę odparł Kancelista, z ukosa spojrzawszy na Jaśka... — i prędko i dobrze!.. do zobaczenia. — To mówiąc wymknął się z uśmiechem zadowolenia.

Jaś został w rozmyślach głębokich, w których go zachwylił wchodzący z pokorą i bojaźliwem wejściem Puślikowski.

Zmierzyli się oczyma, a młody chłopak przez powłokę smutku i cierpienia, okrywającą twarz sługi, dojrzał teraz na niej wyraźniej roztropność i dobroć.

O ostatnią najmniej mu chodziło, bo chciał tylko cierpliwości i zręczności od swojego kandydata.

— Czekam na pańskie rozkazy! — odezwał się Puślikowski z westchnieniem rezygnacyi....

— Więc Waćpan wiesz już zapewne u kogo służyć będziesz? — rzekł Jaś.

— Nic a nic.

— A zatem, słuchaj i dobrze pomnij co mówić będę; zapłatę otrzymasz dobrą, może wynagrodzenie w przyszłości, ale pierwszym warunkiem posłuszeństwo mnie, wierność i spełnienie rozkazów na skinienie.

— To ja Panu mam służyć?

— Nie mnie, ale stryjowi memu. Jest to starzec przywykły do najregularniejszego porządku; nie tylko godziny, kwadransa, ale minuty i sekundy chybić u niego nie można. Życie jego porządkuje i rządzi nim zegarek.

Puślikowski słuchał uważnie, a Jaś rozpoczął najdrobniostkowsze opisanie całego trybu bytu Kasztelanica, od pierwszej godziny przebudzenia, do

ostatniej chwili przed spoczynkiem, nic nie opuszczając, powtarzając obficie i usiłując tak nauczyć nowego sługę, aby na wszelki wypadek był zupełnie gotów.

W czasie téj mozolnej instrukcyi, która dosyć długo trwała, Puślikowski rozjaśniał twarz nieco i niezastraszył się bynajmniej trudnością służby, która go czekała.

— Pojdziesz? — spytał Jaś — i będziesz pamiętał?

— Pan mi to jeszcze raz z łaski swojej powtórz — odparł pokornie kłaniając się sługa — potem ja opowiem Panu co spamiętam, i będę gotów, jestem pewny siebie, choć w téj chwili. Dobrego też miałem nauczyciela w Księciu B.... nieboszczyku, niech Bóg świeci nad jego duszą! — dodał. Fraszka to stryj pański, u którego wszystko pewne i niezmiernie, a na każdą rzecz jest reguła; u księcia pana dzień do dnia wcale niebył podobny! Biedak borykał się ze swoją starością, która go zaskoczyła niespodzianie! Co godzina to nowina; trzeba było zgadywać co chwila, co sekunda z miny, ze stanu zdrowia, czy książę pan zechce być młodym, czy starym dnia tego, szaleć czy stękać, przyjmować czy

odpędzać ludzi. Tam to była robota! a tu, Panie, żadna sztuka, wyuczyć się swoich godzin!

Jaś się uśmiechnął z radością; nauka szła dalej i z nadzwyczajną swoją pociechą około południa był pewien, że Puślikowski doskonale Terminińskiego zastąpi. Nadszedł też i Sobocki, bez papierów, z twarzą już ozognioną śniadaniem obfitem i jakąś radością wewnętrzną; rzucił się na krzesło, potarł włosów, zagryzł palce i krzyknął:

— A cóż! kontent jesteś z mego Puślikowskiego?

— Bardzo!

Puślikowski się nisko uklonił.

— Teraz — rzekł Jaś — na przypadek, potrzeba go oporządzić, żeby był gotów na pierwsze skinienie moje, i niech czeka.

Sobocki dobył sakiewki i pomyślał, porachował i jako zadatek dał kilka rubli odchodzącemu, mówiąc: Pójdiesz do krawca Abramka, niech ci miarę weźmie na suknie porządne.

Po chwili sami z Jasiem zostali, który pałał ciekawością dowiedzenia się czegoś o drugim zastępcy, o kandydacie na pannę Anielę.

— Wspomniałeś mi — rzekł — o jakiejś pani, czy pannie.....

— Właśnie chcę cię do niej zaprowadzić — odpowiedział Sobocki — bo jużem się z nią widział i coś jej napomknął o tém..... Ale ty znasz lepiej gust stryja; powiesz mi czy umiałem wybrać.

— Naprzód, jestże to co przyzwoitego?

— O! ba! spodziewam się! — zawołał Kancelista — tak dalece że aż nadto nosa zadziera.

— Zmiłuj się, któż to taki? co to za jedna?

— Kobieta czy diabeł, z pewnością powiedzić nie mogę — rzekł po chwili Sobocki — ale to pewna, że jak żyje anim widział podobnej, anim sobie wyobrażał, żeby pod słońcem była. Zkąd to wyszło, niewiem i nikt dotąd niedoszedł; ale wychowana jak księżniczka, piękna jak królowna, a sprytna jak żydówka, kiedy chce utargować. Lat temu będzie trzy, jakiś magnat jadący do Warszawy z tą panią, rozchorował się tutaj i umarł. Została tedy, bo krewni jącyś przypytali się po nim do sukcesyi, tak, że grosza słyse przy duszy jej nie zostawili, i nie było czém opłacić na stancyi, bo z jakiegoś wielkiego gniewu, obrali ją nawet do fantów. Od tego czasu, żyje ta Jéjmość tu na bruku, w porządnym domku, z czego i jak niewiadomo; przyjmuje ogrom młodzieży, trzepiocze się, czasem podbałamuca studentów.

tów i starych wisusów, od wszystkich musi coś wydurzyć; a wesola, a pewna siebie! Zobaczysz! Co się tydzie wychowania, talentów i znalezienia się, daleko pannie Anieli do niej: twarz jakby miała lat dwadzieścia kilka, choć dużo podobno więcej pamięta, a sprytna jak brzytwa.

— O! o! żeby tylko nie była nazbyt znowu przebiegła, bo by nas wszystkich mogła daleko zapędzić? — zapytał Jaś niespokojny.

— A! to trzeba w istocie rozważyć! bo jęj do wierzać nie można, kogo zechce usidli, jaką chce odegra rolę.... i co zechce to dokaże, zwłaszcza ze starym rozpustnikiem jak stryjasek dobrodziej.

— No, ale czyżby się podjęła na wieś, do takięj pustyni, na wieczne nudy jechać?

— Są bo widzisz okoliczności różne, które ją do tego zmuszą — rzekł Sobocki — coraz jęj tu gorzej się wie dzie; brak ludzi, co jest to hołysze, uważałem że koło niej kręto bardzo i coraz ciaśniej. Tymczasem buziaczek może obkwitnąć, trzeba o sobie pomyśleć....

— Wspomniałeś jęj co o tém?

— Tak, trochę napomknąłem.

— I cóż?

— Odpowiedziała ni to ni owo, ale ją mam w ręku, to pewna.

— No! przyznać ci muszę, że z ciebie człowiek jedyny — odparł Jaś — jeśli się tu tak uda jak z Puślikowskim, wart jesteś żeby cię ozłocić. Ale chodźmy zobaczyć twoją panią, jak że się nazywa?

— Bóg wie, znają tu ją pod nazwiskiem Pani Tryze.... Zobaczmy tylko która godzina, bo nam, się kazała stawić na dwunastą.... dochodzi... możemy ruszać.

To mówiąc, z domu Arona powiódł Sobocki Jasia na jedną z bocznych ale najczystszych uliczek. Tu, przyparty do starych opustoszonych murów dawnego zamku, stał domek z ogródkiem maluteczki, nie nowy, ale wesolą mający fizygnomią, bo go otaczała zieloność i drzewa. Sztachety oddzielały maleńką przestrzeń, zajętą kwiatkami nie bardzo wykwiłtnemi, ale pielęgnowanemi starannie; domek miał minę uczciwego mieszkania urzędnika lub właściciela. W jego okienkach z dala misterne widać było firaneczki, wazoniki i pieska, który w szyby patrząc, wartował. Pusto tu było i cicho.

Weszli przez maleńką sionkę czystą, umiecioną i utrzymaną z widoczném staraniem. Z téj do poko-

ju zakrawającego na salonik, ciemnowego, nie bardzo przystrojonego; w którym ubóstwo klóciło się z pretensją wytworności.

Mebłe były tych oklepanych kształtów właściwych miejscu, które zobaczysz wszędzie, aż do zajezdnych domostw, kanapa do nich podobna, ale pokrycie smakowne choć tanie, nieco je podnosiło.

Pod oknem stał lichy fortepianik, a na półce byłły graciki, między którymi niektóre kosztownością zastanawiały.

Na wielkim okrągłym stole, okrytym wypłowiałą ale drogą makatą, stał bukiet przywiedły. Smutno tu było czegoś, ponuro, bo wszędzie przez szpary kłamanej elegancyi, wyglądało piszczące ubóstwo. Ale dywanik wyścielał drogę do drugiego pokoju, i poduszki haftowane suto zdobiły niewykwintne siedzenia. Obejrzeni się ledwie przybyli, gdy niedając im czasu do rozmyśłu i wniosków, ukazała się pani domu.

Jaś ciekawe oczy w nią wlepił i stanął osłupiały.

Wyobraźcie sobie państwo co ją znacie, loretkę paryżką, zmuszoną do życia w jednym z naszych najlichszych miasteczek, upadłą, zgnębianą, przygniecioną położeniem, a usiłującą miną nadrobić i nie dać się zwyciężyć ani poprawić nieszczęściu.

Pani Tryze była tak śliczna, tak urocza, jak gdyby piękniejsza dusza mieszkała w téj postaci, na wzór dla malarza, na ideał dla kochanka stworzonej. Życie przeszło po niej, jak wieki płyną po marmurowych Grecyi posągach, nie nadwreżywszy jej wdzięku, nie odjąwszy jej promieniającej piękności nie zgasiwszy ognia co z oczu jej strzelał dziś jeszcze. Ślusna, wysmukła, cienka i zręczna, wyszła w ubrańniu ułożoném z największém kobiecém mistrzostwem.

Miała prostą płócienną sukienkę, ale ta leżała na niej jak ulana, białe kołnierzyk i jedną za całą ozdobę bransoletę, ostatek może dawniej zamożności, przepysznój roboty, ze starożytną kameą. Na głowę niewłożyła czépka, włosy zaczesane gładko, a warokcz gdyby go rozpuściła, byłby ją okrył jak płaszcz królewski. Włos ten miał rzadką barwę czarno-kruczą, łuk brwi zdawał się zarysowany tuszem, a oczy z pod nich szafirowe prześliczne, patrzyły niesłychane przybierając wyrazy i jak Kameleon wszystkie biorąc barwy uczucia. Biała pleć, przepyszne ramiona, ręce malutkie, starannie okryte ciasną rękawiczką, dopełniały obrazu téj całości, która zdumiała tak Jasia, że w ustach mowa mu zmarzła ze strachu i podziwu.

Spodziewał się on czegoś bardzo pospolitego; znalazł co nie marzył i prawie się przeląkł.

Pani Tryze, ledwie okiem spojrzawszy po gościach, wskazała im krzesła a sama rzuciła się na kanapę.

Rozmowa przez nią poprowadzona, poszła z największą łatwością, po przedmiotach, które nie będąc oklepiane, były jednak wszystkim dostępne. O treść podobną tak łatwo w małym miasteczku!

W ciągu jój, Jaś, który się mało mieszał do żywych rozpraw o sąsiadach miejskich owych państwa, ciągle z oka nie spuszczał zachwycającej gospodyni. Niepoczuwał dotąd, jak Sobocki potrafi się odważyć mówić z nią o tém co ich tutaj przywiodło. Ze swjej strony pani Tryze, nie okazując wcale że się wpatruje w Jasia, egzaminowała go bacznie, i dziwiła się pewnie, co może znaczyć u niej tak niepoczesny wysłaniec. Odkryła w nim wprawdzie przebiegłość, chytrłość i zepsucie, ale ubogi strój ją zraził, i minka niechętna dostatecznie to okazywała.

Po chwili, Sobocki spojrział na zegarek, przypomniał sobie jakiś interes i pochwycił za kapelusz.

— Ja tu zaraz powrócę — rzekł szybko — zostawiam pod opieką Pani mego szwagierka, proszę mi go tylko nie zbałamucić.

A Jasiowi szepnął:

— Śmiało rozmów się o wszystkiém, we troje to nie idzie; za godzinę powrócę.

Jaś usiadł zmieszany, niewiedząc od czego począć, ale ledwie się drzwi zamknęły za Sobockim, przysunęła się ku niemu Pani Tryze, do reszty dobiła go wzrokiem swoim i sama, widząc jego nieprzytomność, zaczęła:

— Niechże mi Pan powie — słodziuchnym odezwała się głosem — któż to jest ten stryj pański? Trochę słyszałam o nim, ale radabym wiedzieć więcej?

Powiedziała to tak po prostu, niez mieszana, nie zarumieniona, że Jaś języka w gębie zapomniał.

Pierwszy to raz w życiu znalazł się w obec tak zachwycającej kobiety, pierwszy raz uczuł siłę wzroku który zna co może i umie spętać gdy zechce; krew zawrzała w nim i wszystkie namietności, wywołane przykładem, mową, osamotnieniem gorącym, zburzyły się w nim gwałtownie. Jaś nie był panem siebie, w głowie mu się mieszało, serce biło w piersi, myśli rozpierzchłe leciały wściekle jak chmury na burzę; Pani Tryze spostrzegła to widząc, rada była wrażeniu znamionującemu jój zwycięstwo, i powtórzyła nalegając:

— Któż to jest stryj pański, ten Kasztelanicz Zawilski?

Zadanie było trudne, a Jaś nieprzytomny, zle się z niego wywiązał, i choć mu pomagała kobieta, nie-dobrze zdał sprawę z zamiarów które go sprowa-dziły, ale domysłność Pani Tryze dopełniła czego brakło. Uśmiechała się ona zmieszaniu młodego chłopca, zgadywała i podchwytowała myśli jego, które bojaźliwie wyrażał, wyjaśniała je sama zadzi-wionemu, i choć Jaś niewiele jéj potrafił powiedzieć, domyśliła się wszystkiego, nawet namiętności którą wzbudziła w pośle.

W istocie, szatan to być musiał ta kobieta —oko jéj zabłysło jakimś ogniem strasliwym, niepokona-nym, strzeliło jakąś potężną nadzieją, i po chwili zasunęło się mgłą łzawą, smutkiem kapryśnym, za-myśleniem dziwaczném... Cały tam świat dumań, szybko jak błyskawice przelatujących, musiał się zmieścić między jednym a drugim wejrzeniem. Wsta-ła milcząca, spuściła głowę, przeszła się po pokoiku, któren szydorczyń teraz objęła wzrokiem i zbliżyła się do zdziwionego Jasia, wracając do zalotności po-wszedniej z którą go powitała.

Prawdziwie — odezwała się — ze wszystkich wy-

padków mojego życia, bogatego w wypadki, to mo-że najdziwniejszy. To mi daje miarę mojego upadku! Na co zesła biedna Eliza! — wpół serio, wpół żar-tem zawołała łamiąc ręce... — ale są okoliczności — spojrzęła dwuznacznie — w których się wiele robi!!

— Mogę się więc spodziewać? — spytał Jaś.

— Że pojedę na ochmistrzynię do waszego Kasz-telanica — dorzuciła szybko — a tak! tak! muszę! Wolę to, niż gnić w tém małym, przemierzłm mia-steczku, gdzie żyje wśród szui, i gdzie mnie sądzą ludzie po sobie... Bądź pan spokojny: ze starym ka-pryśnym rozpustnikiem dam sobie rady; nie boję się go wcale, nie będę mu płakać i scen czułych ode-grywać, ale go śmiechem i szyderstwem dobiję... Zresztą! tu! tam! niżéj czy wyżéj! gorzéj czy lepiéj! — zakrzyknęła z jakimś dziwnym wyrazem — byle skończyć, byle żyć póki wątku staje i dograć téj głupiej komedyi do końca.

To mówiąc ruszyła ramionami; Jaś nic nie rozu-miejąc, spoglądał na nią ciągle zdumiony i coraz bar-dziej wdziękiem téj oryginalnej postaci przejęty.

Niewiém, czy ta rozmowa tak dziwna, czy przy-kre położenie kobiety, czy wspomnienia jakie roz-drażniły mocno Panią Tryze; była widocznie podnie-

coną, rumieniec tryskał jój z twarzy, ruchy szybkie, rzuty oka ogniste, oddech przyśpieszony, dowodziły niezwykłego stanu duszy. Na przemiany to uśmiech, to wyraz bólu i dzikiego szyderstwa, prześlizgał się po jój ustach, a słowa towarzyszące im, płątały się dziwaczną tkaniną niezrozumiałych utyskiwań i odgrózek.

— Nieprawdaż — mówiła — że to los godzien zazdrości! Ochmistrzynią u stoletniego starca, co kocha z rzędu wszystkie swoje ochmistrzynie dla rozrywki! Cha! cha! cha! to wyborne! Godnam była tego końca! śliczny wieniec życia! Tak być musiało! tak być powinno! A musi być miły stryjaszek? nieprawdaż?

Ruszyła ramionami. — Pani Eliza Tryze ochmistrzynią! Al! juściż to lepsze, niż Pani Eliza w małej mieścinie niewiedzieć czego siedząca i po co? którą palcami pokazują jaką kochankę wszystkich co u niej raz byli!... To lepiej!... A więc, jadę do tego Strumienia.

Jaś przerwał mowę kilką słowy.

— Nie przedzój — rzekł — aż dam znać i przyszlę po Panią, to jest gdy wszystko gotowe będzie na jój przyjęcie.

Uśmiechnęła się dziwnie.

— Wiercie mi, niecierpliwie czekać będę; to coś nowego w życiu, któremu tak brak zajęcia i nowości — to bardzo ciekawe dla mnie i zabawne; pragnę, żeby to było jak najprędzej....

— I ja się o to starać będę....

— A więc umowa zawarta! — zawołała klaskając w ręce — to wybornie! to wybornie.

I śmiała się do rozpuku.

W tém nadszedł lisiem okiem mierząc ich oboje Sobocki; Pani Tryze poskoczyła przeciwko niemu.

— Dobiliśmy targu — odezwała się śmiejąc ciągle — jadę do Strumienia na klucznice!

— No! to i dobrze! — rzekł Kancelista — spodziewam się że wszystkim z tém dobrze będzie.

— A mnie — spytała kobiéta nagle — i mnie myślisz, Panie Sobocki?

— Dłaczegóż nie — odparł cynicznie przybyły — spokojny i dostatni kawałek chleba.

— Zapewne — robiąc minkę śmieszna piszczącym głosem staruszki odezwała się Pani Tryze — kawałek chleba z miłosierdzia! dla mnie i to dobre! O! jak to pocieszenie! jak to pocieszenie — dodała — okracając się po pokoju.

Tych słów domówiwszy rzuciła się na kanapę, zakryła oczy, zamilkła, a gdy dłoń po chwili podniosła i obejrzała się, zdając nie wiedzieć co się z nią działo — oczy jej były dziwnie czerwone.

Wszystkie jej ruchy, miny, wyrazy, nagle zmieniły głos i twarzy, były dla Jasia zagadką; ale ta istota kapryśna, dzika, niepohamowana, zrobiła jednak na nim wrażenie tak silne, że gdy pożegnawszy ją wyszli z małego domku, uczuł się jakby pijanym. Świat mu się kręcił i tańczył w koło, a z każdej strony, kątka, zdawały się nań patrzeć te czarodziejskie oczy szafirowe, z których tryskał gniew, uśmiech, miłość i smutek, jak gdyby w duszy co się niemi tłómaczyła, wszystkiego było do brzegów....

— A co, albo nie śliczna i nie miła kobiątka? — spytał poklaskując Sobocki i zaglądając w oczy Jasiewi — a co? nieprawdaż?

— Śliczna to prawda — odpowiedział po chwili zapytany — ale dziwne stworzenie! Boję się o starego, żeby go kaprysami nie zamęczyła.

— Strach to próżny — rzekł Sobocki — potrafi z siebie zrobić co zechce, byle chciała! Bądź spokojny; to główne że przyrzekła pojechać. A zatém, Pannie Janie, mamy już na miejsce Termińskiego do-

skonałego kamerdynera, na miejsce nudnej Panny Anieli, ochmistrzynię i — dodał wyjmując papier z kieszeni — świadectwo urzędowe, że żadnego brata nigdy Panna Aniela nie miała, ani przyrodniego, ani stryjecznego nawet. Teraz możesz jechać i działać, a ja tu tymczasem — rzekł spoglądając z ukosa — wszak przygotowuję testamencik?

— Tak! ty przygotuj testament! — szepnął roz-targniony Jaś — a ja postaram się o resztę....

— I fortunka nasza! — krzyknął Kancelista podskakując choć byli na ulicy.... dopieroż zahulamy!



OLSKA MACIEJ SZKŁO
Kole miasta Radomia

V.

Gdy się te intrygi knują w miasteczku, w Strumieniu pozostawieni spiskowi, spieszą z dobiciem swego, rachując na słabość Kasztelanica, na jego osamotnienie i starość do nałogów przyrosłą. Pan Samuel patrzy i nie widzi: doświadcza tylko złych humorów, czuje zwiększającą się obojętność ku sobie, skwaszenie starca i swoją w obec tego bezsilność. Rotmistrz ję i poluje, poluje i zajada.

Kasztelaniec chodzi chmurniejszy niż kiedy, żółty, zestarzały, zdając się zbierać na wielki jakiś krok, na który zdobyć mu się ciężko. Nieraz już westchnął, głowę spuścił i w chwili swęj drzymki codziennęj, głęboko zamyślił.

Na dobitkę jeszcze, krewni poczęli, przypominając się staremu krewnemu swemu, obsypywać go coraz częściej darami, nawiedzać listami, nudzić komplementami i do reszty zrażać ku sobie natrętnością, w której on widział tylko dowody chciwości. Nie jeden list zdarty został ze złości próżno hamowanęj, nie jedno przekleństwo i straszliwy błysk oczów przywitał ofiarę, mozolnie przysposobioną i obmyślaną; starzec jednak tyle miał mocy nad sobą, że każdemu odpisywał grzecznie, uprzejmie i nieledwie czynił nadzieję wdzięczności. W tych trzech dniach, w ciągu których nie było Jasia do pisania odpowiedzi, przyszło sześć listów, a na nie pod dyktą Kasztelanica odpisywał Pan Samuel, rad że go przecie do czegoś użyto. Rotmistrz to wszystko krzywo pozakopertowywał, popieczętował plamisto i posłańce odjechali z nadziejami.

Ostatniego wieczora, uprzedzającego powrót Jasia, Terminiński, który go się już co chwila spodziewał i choć nie lękał, ale jakoś strzegł instynktowo, czując w nim nieprzyjaciela, przypuścił najformalniejszy atak do starca.

Wszedł niosąc pogrózkę przybycia pułkownika, który sam miał zjechać dla upomnienia się o honor

siostry swojej. — Kasztelanie zniósł straszną groźbę zaciąwszy usta i odesłał po odpowiedź do jutra. Po Terminińskim, we łzach cała przywlokła się Panna Aniela, zapowiadając rozstanie i wynurzając swe żale, że ją okoliczności do takiego kroku zmuszają. Kasztelanie wysłuchał dosyć cierpliwie mowy, popatrzał na łzy z ciekawością dziecięcia, co je po raz pierwszy widzi, westchnął nawet niewiem z jakiego powodu, ale na wszystkie zakłęcia, narzekania, strachy i napady martwym się okazał.

Twarz jego zmieniona, wywrócona, straszna, tyle już miała wyrazu zniecierpliwienia i gniewu, wydobywającego się na wierzch mimowolnie, że spiskowicy oboje zcierpli tego wieczora postrzegłszy za późno jak fałszywą i do niczego niewiodącą wzięli się drogą. Ale oboje za daleko byli już zaszli, by się zwrócić, choć niewiedzieli co począć.

Gdy stary znękany trzymaniem się na wodzach, usnął nareszcie, czy sen udał dla pozbycia się swych przesładowców, Terminiński pobiegł niespokojny do pokuju Panny Anieli. Znał ją nierozbraną i chodzącą żywo z wyrazem niepokoju po pierwszój izdebce. Spojrzeli sobie w oczy i odgadli się wzajemnie.

— Al! złe Panno Anielo! — zawołał Terminiński trąc czuprynę i wykrzywiając usta — przez Pannę ja mogę stracić wszystko, com długą służbą sobie zarobił....

— Przemnie! — zawołała obrażona i rozjątrzona kobieta — co to jest? Czy prosiłam Pana, żebyś się mną opiekował? To ja raczej wymawiać mu bym mogła, żeś mnie zaplątał w niepotrzebne kłopoty! Kasztelanie nadto ma przebiegłości żeby się dał tak wiać! to dzieciństwo!

— Tak! a czemuż Waćpanna nie mówiła mi tego wprzód? — zapytał kamerdyner...

— Tu nie ma co robić sobie wyrzutów! — zawołała Aniela — potrzeba radzić; złe jest!

— Ja to widzę że złe.... ale już się nie pora cofnąć! — zamyślony odezwał się mężczyzna, dumając tylko jakby się pozbyć Anieli i poświęcając ją, siebie ocalić.

— Potrzeba radzić! — powtórzyła gniewnie kobieta, która chciała już w duszy wyznać wszystko Kasztelanicowi i zwalić winę całą na Terminińskiego.

Spojrzeni sobie w oczy i ledwie nie przeczuli, że się zdradzić pragnęli.

— Kasztelanie jest, jak nigdy nie był — zawołał

Termiński—to pewna. Znam go dawno, a nigdy takim nie widział; gotów dla spokojności na wszystko!

— I ja to widzę!

— No! to radźcie Waćpanna!

— Radź Waćpan, jakęś radził sam i robił od początku, ja umyłam od tego ręce.... Sama byłabym go doprowadziła do ożenienia powoli, Waćpan wszystko popsujesz pośpiechem.

— Nie ja pewno, ale Waćpanna swemi niedorzecznemi łzami; trzeba było to robić na wesoło, nie na bekliwo.... a byłoby dobrze....

Oboje tak wymawiali sobie wzajemnie winę wspólną, gdy turkot wózka, który już po północy przywiózł Jasia do oficyn, wstrząsł Terminińskim i znaglił go do powrotu. Rozeszli się kwaśno z myślami zdrady, z gniewem ku sobie, z niespokojem trudnym do ukołysania.

Nazajutrz, wporze obiadowej zwyczajnej, Jaś kwadranssem jak zwykle poprzedzając Kasztelanica, wszedł do salonu, a na twarzy jego nic nie oznaczało wielkiego zaprzątnienia i niebezpiecznych zamiarów. Wejście wcześniej do kłamstwa przyuczonego chłopaka zimne było, i nie zmieszane ani nadzieją, ani strachem.

Kasztelaniec ukazał się po chwili, zmieniony, złoty i zmierzzył okiem ciekawem Jaśka, który go pokornie powitał, całując białą jego i suchą rękę.

— A nie hulałeś tam Acan z Sobockim?— spytał Kasztelaniec.

— Nie— rzekł Jaś— radziłem się lekarza i siedziałem z siostrą.

— Cóż tam słyhać w tej powiatowej dziurze?— rzekł po chwili stary, oglądając się już na śniadanie które wnoszono.

— Nic, cicho, stryju dobrodzieju— odpowiedział Jaś— drogi już jesienne, ludzi mało, i pustka gorsza niż kiedy.

— Hm!— chrząknął Kasztelaniec zabierając się do śniadania, i na tém skończyła się rozmowa. Nie pora była ją przedłużać; bo Pan Samuel i Rotmistrz, pilnując się obiadowej godziny, otworzyli drzwi i razem weszli do sali.

Obiad przeszedł w złowrogim milczeniu. Panna Aniela stawiała się do stołu, ale na nią ani spojrzął Kasztelaniec, ani zagadał do Terminińskiego; kilka razy ukradkiem obejrzała się ona na Jasia, który spokojnie oczy miał wlepione w swój talerz i udawał skromnego, niewinnego chłopaczka. Bulwa, polityk,

wielki znawca ludzi, choćby go o to z brzucha i fa-
cjaty nikt nie posądził, czuł jakieś zmiany w powie-
trzu! przewidywał katastrofy, i siedział jak na szpil-
kach, niewiedząc z kąd piorun uderzy, a lękając się
żeby guza nie oberwał.

Pan Samuel równie był milczący jak wszyscy, i co
mu się często zdarzało, żeby snu potem bratu nie
przerywać, wysunął się w czasie ustawiania warca-
bów, a Rotmistrz korzystał z otwarcia drzwi i dra-
pnął za nim. Bulwa, nie spytany o nic, odprawiony
skinieniem, umknął zamyślony, tak, że przy grze roz-
poczynającej się machinalnie, już nikogo nie było.

Tę właśnie chwilę obrał Jasiak do zadania śmier-
telnego ciosu spiskowym; posunął pierwszą figurę,
podniósł głowę, zbladł jak chustka bo wiedział co
wazył, i rozpoczął.

— Stryj dobrodziej, czy uchowaj Boże nie cier-
piący? bo go widzę od tych kilku dni zmienionym?

Jakkolwiek cicho i ostrożnie wymówione były te
wyrazy, że gra powinna się była odbywać w milcze-
niu, a Kasztelaniec przywykł do posłuszeństwa Jasia,
uderzyło go to śmiałe odezwanie się: cały się wzdry-
gnął, oczy wzniosł blade i spytał.

— Od kiedyż to się mówi przy grze?

— Ja bo mam bardzo ważne powody do mówie-
nia—odparł Jaś cichuteńkim tak wymierzonym gło-
sem, by go z pod drzwi dosłyszeć nie było można;—
mam coś oznajmić stryjowi dobrodziejowi, a że nie
trafia mi się w inną chwilę sposobność...

— Ale cóż to jest?—groźnie zapytał Kasztelaniec.

— Wielka śmiałość moja, za którą naprzód prze-
błagać mi potrzeba—odparł Jasiak żywo korzystając
z chwili gry—ale może stryj dobrym chęciom wy-
baczy....

— Co to za płatanina? co to za nowa komplikacja!—z gniewem wewnętrznym i oczyma błyszczące-
mi mówił stary — chcesz bym i ciebie wypędził....?

— Chcę, byś stryj dobrodziej owszem, był oswo-
bodzony....

— Co, od kogo?

— Proszę o chwilę tylko....

— Mów, ale pamiętaj co mówić będziesz....

— Jestem młody, ale dojrzałem wcześniej — za-
wołał Jaś posuwając wciąż machinalnie figury, któ-
re Kasztelaniec zabierał równie bezmyślnie grając—
widzę co się koło mnie dzieje, i żal mi stryja, rzuc-
nego na łup intrygantom:

— A! — uśmiechnął się stary przerywając grę,

PLSKA KACIERZ SZK

Żółta miasta Racunia

— Terminiński i Aniela są w spisku: słyszałem ich znowy; obiecanych ma sto tysięcy jeśli wyrobi że się stryj z nią ożeni. Wiem że straszą jakimś tam pułkownikiem, oto jest dowód—wydobył z kieszeni papier — że Panna Aniela nigdy nie miała rodzeństwa....

Kasztelaniec wyciągnął rękę po papier, twarz jego była jeszcze chmurna, oczy kłóły wejrzeniem bezlitośném.

Nic jednak nie rzekł, tylko szydersko i niespokojnie razem wpatrywał się w Jasia, który drząc mówił dalej:

— Zdawało mi się że ocalić stryja z rąk tych intrygantów, co mu spokoju nie dają, było moim obowiązkiem.

— Obowiązkiem! — pomruknął Kasztelaniec — wszyscy aż do dzieci muszą się mną opiekować! Na honor to bardzo zabawne! I cóż dalej Panie Janie?

— Zdało mi się, że po tém co się stało i Panna Aniela i Terminiński nie mogą, nie powinni tu dłużej pozostać — kończył Jaś odważnie.

— Śmiało! śmiało! — pomrukiwał Kasztelaniec — no, więc cóż?

— Pomyślałem jednak, że bez usług trudno się

będzie obejść stryjowi, że należało przygotować im następców!

— I po toś jeździł do miasteczka? — szydersko spytał stary...

— Tak jest; mam kamerdynera za którego ręczę, że zastąpi i przewyższy dawnego w najtroskliwszej usłudze....

— Cóż to za jeden? — ciekawie po cichu już zapytał starzec uśmiechając się dziwnie — toby był dobry figiel!

— Służył on u księcia B... do śmierci jego; niezmiernie zręczny i bardzo pocziwy człowiek!

— O! i pocziwy nawet! — uśmiechnął się stryj — sądzisz jak dziecko! cóż dowodzi pocziwości? czy dziury na łokciach?

— Mam także kogoś na miejsce Panny Anieli...

Kasztelaniec podniósł się z krzesła, wyprężył, oczyma ogromnemi zmierzył Jaśka i widocznie zdziwiony usiadł powoli, zamysławiając się. Z tego opanowania i wrażenia jakie widocznie wywarł na starcu korzystając, Jasiak kończył:

— Jak tylko stryj rozkażesz, można będzie posłać konie do miasteczka i sprowadzić zastępców.

Kasztelaniec milczał, głowa jego pochyliła się na

piersi, myślał głęboko i długo. Jaś drżał oczekując odpowiedzi.

Po strasznej a długiej chwili milczenia, Kasztelan z uśmiechem starego satyra, zmrużonemi oczkami spojrzał na skłopotanego synowca.

— No! — rzekł — trzeba ci oddać sprawiedliwość: masz odwagę i wiele sprytu... nie darmaś mój chleb jadł! Wszystko to dobrze! zobaczymy co z tego być może; ale życzę ci bądź ostrożny, w niebezpieczną się grę wdałeś. — Szczęściem trafiłeś na dobrą chwilę...

— Com zrobił to pewnie z przywiązania do stryja — przebąknął młody chłopak.

— A! ba! dajże mi pokój — uśmiechnął się niedowierzająco Kasztelan — tém mnie nie obalamucisz... Masz nadzieję że coś zrobił wypłacić ci się powinno; chcesz się pomścić na sługach co tobą pomiotali. to rozumiem; a co się tyczy przywiązania, dajmy temu pokój... ja się na to nie biorę... długo żyłem! znam ludzi dobrze! do starych kości trudno żeby się kto przywiązał!

Jaś nie nalegał.

— Wiele odwagi! wiele odwagi — dodał Kasztelan — powoli i jakby do siebie — to zabawna

rzecz! Zobaczymy! zobaczymy! miej wszystko na pogotowiu! Zobaczym! może coś być z tego. Spodziewam się jednak żeś Acan niezobowiązał się względem tych ludzi? żeś im nic nie obiecał? żeś nie przyrzekł formalnie, i nie zgodziłeś ich na moją kieszeń?

— Wszystko to zostaje w mocy i woli stryja! — dodał Jaś — ja tylko ich wyszukałem...

Na tém skończyła się partya, która i tak chwilę dłużej trwała niż była powinna; obawiał się młody chłopak, by Terminiński znowy nie zwietrzył, i gdy Kasztelan uśmiechnięty nieco, ale zamyślony razem wychodził do swoich pokojów, Jaś się wysunął jak zwykł był do izdebki w oficynie.

Niewiem jakim szczęściem, ważna rozmowa między Kasztelanem a synowcem nie została podsłuchaną. Terminiński nie domyślał się jeszcze niczego, niespokojny dumał tylko, jakby albo swego dokonać, albo się cofnąć w porę. To jednak trudnem było; — za daleko zaszedł, zbyt widoczném byłoby kłamstwo i podejście, zbyt upokarzające odstępianie; szukał jakiegoś środka i znaleźć go nie mógł. Znał on nadto Kasztelanica, by przypuszczał że się lada czém da mu wyklamać; zdawało mu się że pierwsza bajka o pułkowniku była dobrze osnuta, przekonywał się

dziś że nie posłużyła na nic; trudniejszym jeszcze wydawało mu się zadanie wypłatania z niej teraz. Chodził więc niespokojny i zafrasowany, przeklinając w duchu Pannę Anielę, a Panna Aniela oddawała mu to z nawiązką.

Nadszedł wieczór, po dniu spędzonym zwykłym trybem, i nie bez obawy Terminiński wsunął się do sypialni Kasztelanica, który jakby na przekór jemu, zdawał się weselszy i swobodniejszy.

Postanowił, po rozmyślach wielu, dobijać do ostatka zamierzonego dzieła, a gdyby Kasztelanica okazał mu nareszcie groźną twarz i niepokonane serce, cofnąć się zasłaniając Pannę Anielę, na którą wszystko miał rzucić. Aniela ze swojej strony prawie podobny usnuła projekt, zamierzając pozbyć się Terminińskiego, wyznaniem że on ją na to co robiła namówił.

Dobry humor Kasztelanica, który łatwo było poznać Terminińskiemu po najmniejszym starca ruchu, a nieledwie po zwierchniej postawie, trochę go zniespokoił; zbliżył się śmiało i począł mileżącego rozbiierać..

— Cóż tam słyhać o pułkowniku? — spytał po chwili stary z widocznym bardzo szyderstwem, sam pierwszy zaczynając.

— O pułkowniku! — niespokojnie rzekł Terminiński, zdziwiony wspomnieniem którego zwykle unikał stary — ja nic nie wiem nowego; może co ma Panna Aniela.

— Juściż gdyby miała, pierwszybyś o tém wiedział jako wierny jej konfident — podchwycił stary, — a zatém nic nowego?

— Dosyć dawniej z nim biedy! rzekł Terminiński — jak uważam, to się musi na tém skończyć, że Panna Aniela, jakkolwiek przywiązana do Jaśnie Pana, będzie przymuszona go opuścić.

— A Waćpan jako jej przyjaciel i doradzca — zimno dorzucił Kasztelanica obwijając się szlafrokiem — zapewne za nią pójdziesz?

— Ja? — zmieszał się sługa.

— Tak sędzę! tak przeczuwam! tak się domyślam! — na różne trzy głosy żartobliwie odezwał się Szambelan.

Terminiński zastygł ze strachu; ale myśl nieszcześliwa, myśl że nikt go zastąpić nie potrafi przy starcu, który długimi laty przywykł do niego, dodała mu zuchwalstwa.

— Jeślim już Jaśnie Panu niepotrzebny — odezwał się śmiało....

Kasztelaniec spojrział na niego zimnym mściwym okiem.

— Jakżeś to zgadł! — rzekł chłodno.

Pomimo strachu którego uczuł, Terminiński jeszcze nie wyobrażał sobie, żeby do czegoś przyjść mogło, bo ufał zawsze że go nikt zastąpić nie potrafi, nie domyślał się grożącego niebezpieczeństwa; odwrócił jednak rozmowę.

— Czy Jaśnie Pan położy się? mam zawołać Panny Anieli?

— Swoim porządkiem! swoim porządkiem! — rzekł Kasztelaniec — powinieś go się być nauczyć.

Wedle tego porządku, dzwonek dał znać Pannie Anieli o jej godzinie; Terminiński poukladałszy wszystko usunął się, a Ochmistrzyni weszła, jak od dni kilku była zwykle, ze smutną twarzą i wyrazem niepokojności. Jej także zdawało się że nikt zastąpić nie potrafi przy starcu zużytem, nałogowym i obawiającym się najmniejszej zmiany, która życia więcój trochę niżeli zamierzał wyczerpać mogła.

Nie będziemy opisywali tej sceny, która się powtórzyła u łóża Kasztelanica: była ona dalszym ciągiem dawnych, ich rozwinięciem i dopełnieniem. Stary wysłuchał żalów, łez i groźb z zupełnie zimną

krwią i zwykłym szyderstwem, nie odzywając się prawie, lub przerywając tylko wynurzenia kolącym pół słówkiem. Ranna narada z Jasiem wzięła skutek: postanowił uwolnić się od napastników, którzy widocznie na słabość jego rachowali i znosił ostatek prześladowania z obojętnością człowieka, co sobie obmyślił skuteczne na nie lekarstwo.

Nazajutrz, zaledwie przebudzony Kasztelaniec rozkazał zawołać do siebie Bulwy. Nie była to godzina zwykła, i Terminiński niespokojny, polecił, nie mogąc się domyśleć co to znaczyć miało. Bulwa schwyciony w łóżku, gdyż po preferansie którego lubił, wysypiał się wygodnie, ledwie miał czas wdziać na siebie węgierkę i przestraszony polecił do dworu.

Zastał Pana siedzącego w krześle, spokojnego, z wypogodzonem czołem i wyrazem silnego jakiegoś postanowienia na twarzy. Stał u drzwi oglądając się niespokojnie.

— Waćpan chcesz zapewne ostać się na swoim miejscu? — spytał go zimno Kasztelaniec — nie życzył-bys sobie stracić go?

— Jaktó Jaśnie Panie? — wybełkotał struchlały Bulwa... Jak żonę i dzieci moje kocham... jak pragnę zbawienia... ja... o niczem niewiem i nie winien nie jestem....

— Alboż cię obwiniam? — powolnie począł stary zażywając tabaki — pytam się tylko, czy chcesz na swoim miejscu być dłużej.

— Całe moje życie, wedle rozkazu... szybko zawołał Bulwa... gotów jestem i pragnę służyć Jaśnie Panu...

— Koniec końcem, chcesz mój chleb jeść to słuchajże mnie — rzekł starzec, — i spełnij święcie co ci będzie rozkazano, nieoglądając się na nic.

Ciarki chodziły po skórze pana Bulwy, który aprendował, że się coś bardzo ważnego stać musi, i drżał cały.

— Rozkażesz Waćpan zaprządz konie, upakować rzeczy i odwieść naprzód pannę Anielę do miasteczka....

Ta nowina tak była niesłychaną, że Rządzczy zdawało się w początku, jakby się przesłyszał; postrzegł to z jego twarzy Kasztelanic, i powtórzył:

— Panna Aniela wyjedzie najdalej o trzy kwadransy na trzecią, tak, żeby jednym dniem, u siebie w domu stanąć mogła.

— Wedle rozkazu! — szepnął zdumiony Bulwa.

— Spytasz się Waćpan także Termińskiego, dokąd życzy być odesłanym, gdyż i on odjeżdża. Ter-

mińskiemu daje się czasu do jutra na przygotowanie do podróży. — Słyszysz Waćpan?

Zapytanie to nie było bez przyczyny, Rządca bowiem, którego ścisłe stosunki łączyły z kamerdynerem mający w nim protektora i osobistego przyjaciela, nie wierzył uszom i osłupiał, nie mogąc znaleźć słowa.

— Ale Jaśnie panie!.. — odważył się wybąknąć.

— Tu nie ma żadnego ale — szybko zawołał Kasztelanic — jest mój rozkaz i zostanie spełniony. Termiński zapewne wyjeżdżać nie zechce, będzie szukał powodu zostania, może pomyśli się tu ukryć do czasu; otóż masz Waćpan wiedzieć, że jeśli na to pozwolisz, lub dopomożesz temu, stracisz miejsce. — Rozumiesz Waćpan?

— Wedle rozkazu! — odparł swoim zwykłym przysłowiem pan Bulwa, przelekkły do najwyższego stopnia, lecz nie mogący pojąć, co tak wielkie i nagłe zmiany spowodować mogło.

— Konie także mieć proszę w pogotowiu, — dodał stary — jeśli ich zapotrzebuje, do powoziku i do bryczki.

— Wedle rozkazu — cichuteńko rzekł Bulwa.

— Teraz wiesz już Waćpan wszystko — dodał,

Kasztelanica — co wiedzieć potrzeba, idź; i żeby mi to było spełnione.

— Wedle rozkazu! — powtórzył Rządca, nie mogący znaleźć klamki we drzwiach, tak był zdziwiony i przelekły — idę i zajmę się natychmiast.

Kasztelanica uśmiechnęła się tylko z jego bojaźni, i zadzwoniła.

Ale nikt nie przyszedł na głos ten, gdyż Terminiński właśnie się w sieniach od Bulwy dowiadywał o swoim nieszczęściu.

W pierwszej chwili uderzyło go ono jak piorun, stracił mowę, zdętwiał, nie rozumiał, ale rozpacz sama dodała mu odwagi: powiedział sobie, że to są tylko postrachy, że stary obejść się bez niego nie potrafi, postanowił ani się tłumaczyć, ani prosić wybierać, pewien że zostanie odwołany.

W drugim końcu domu, równe wrażenie uczyniły rozkazy Kasztelanica na pannie Anieli, której o nich także oznajmił Bulwa. Ale tu łzy i gniew razem się zbiegły, rozpacz i złość: wypędzenie z domu ostatnie wywracało nadzieję. Rachowała wprawdzie na nałogowe przywiązanie Kasztelanica, jak Terminiński, znając jego nawyknienie do osób mu potrzebnych; nie spuszczając się jednak całkiem na sku-

tek odjazdu, postanowiła spróbować czy go odwrócić nie potrafi.

Dzwonek drżał jeszcze w ręku starca, gdy z przewróconą twarzą, z zapłakanemi oczyma, w rannym stroju, ukazała się na progu jego pokoju panna Aniela. Wyraz oczów, który ją spotkał, mógł jej odjąć wszelką nadzieję — był bowiem szyderski, zimny i odpychający. Postanowiła jednak wszelkich użyć środków na odwrócenie ciosu, który ją uderzał.

— Co pani rozkażesz? — suchym swym głosem zapytał odwracając się ku niej starzec.

— Pan Bulwa.... nie mogąc dokończyć wyjąknęła Aniela.

— Pan Bulwa spełnił mój rozkaz — odrzekł Kasztelanica zimno — niechcę Pani dłużej narażać na prześladowanie jej rodziny, na wymówki brata; życzyłam sobie kilkakrotnie powrócić do domu, żądanie jej spełni się dzisiaj.

— Panie! godziź się to! — płacząc odpowiedziała kobieta.

— Co? czy się godzi? — podchwycił starzec nieubłagany — czy się godzi męczyć, znęcać się? podchodzić i oszukiwać? — mogę spytać z mojej strony.

— Oszukiwać!

— Tak! tak! — Masz Pani dowód, że ten ukochany brat nigdy na świecie nie był. — Wiele łez kłamanych darowałem, intrygi co spokojność zakłóca nie moge. Darujesz Pani — dała dotkliwie znęcając się — że wcale do ożenienia ochoty nie mam, a że to było jój celem — lepiej się rozstać, by darmo dziecinnymi nadziejami nie uwodzić. Pan Bulwa ma rozkaz obrachować, opłacić i dziś jeszcze wrócić Panią ukochanej familii, i troskliwemu o honor jój bratu.

Te przykre żarty, które odejmowały wszelką nadzieję zmiany wyroku Pannie Anieli, przyprowadziły ją do wściekłości prawie.

Z za łez rozśmiała się szydząc.

— Myślisz Pan, że bardzo stoję o to, żeby tu gnić przy nim? — ofuknęła się żywo. — A więc pojedę, tak, pojedę natychmiast! Wiem kto to wszystko zrobił: godny synowiec jego przywiózł ten papier, którego pan Sobocki mu dostarczyć musiał. W dobre, o! w dobre dostaniesz się Pan ręce! — dodała z przymuszonym śmiechem.

Kasztelanic od dawna odwykły od wrażeń silniejszych, uczuł że te wyrazy wzruszyły go do głębi;

wspomnienie Sobockiego którego się lękał, groźba Anieli, dotknęły go żywiej, niż się spodziewać było można. — Porwał się drżący z krzesła.

— Wszyscy tu są w moich rękach! — zawołał — ja nie będę w niczyich! Idź Waćpanna i wynoś się ztąd.

— O! z największą ochotą! żegnam Pana! — trzaskając drzwiami krzyknęła Panna Aniela — życzę mu szczęścia! Adieu! adieu!

Drzwi się zamknęły: Kasztelanic upadł na krzesło i głowę opuścił na rękę — w duszy jego dziwne się kręciły myśli. Przedstawiały mu się wszystkie cierpienia, które go czekały z tych zmian na jakie się odważył. Osamotnienie grożące, nowi ludzie, nowe może powody niecierpliwości, i nowy życia szafunek?

— Ha! mówił w duchu — podobno jak młokos nieuważny rzuciłem kość pospiesznie; co to będzie! co to będzie! W moim wieku otaczać się nieznajomymi, przywykać do nich, uczyć ich! to wielka głupota! Ale są korzyści, są niezaprzeczane korzyści! Będą mi się zasługiwać! muszą być ostrożni. Terminiński i Aniela byli już niebezpieczni dla mnie: chcieli opanować, odważyli się pomyśleć zem bezsilny starzec,

z którym zrobią co zechcą? Musiałem tak skończyć. Jaśnie jest niebezpieczniejszy od nich! — Odepchnę go gdy zechcę, gdy się odważy przewodzić i zapragnie także rej wodzić. — Ciężko mi tylko będzie przetrwać pierwszą chwilę...

Obejrzał się, dobył zegarka i brew mu się zmarszczyła.

— Godziny zmieszane — rzekł — porządek wywrócony! co to będzie! co to będzie! jak te dni przebyć w takim zamęciu! Wiele to się życia wyszafuje na to!

Gdy Kasztelaniec duma tak, dręczy się i dzwoni chcąc kogo dowołać, Jaś przegląda od oficyn na zamieszanie które wywołał; spodziewał się trochę tych skutków, ale nie sądził żeby tak szybko nastąpić miały. Wieść o wyjeździe Anieli i Terminińskiego zastała go nieprzygotowanym, ale duchem zerwał się z łóżka, i pchnął posłańca do Sobockiego, oznajmując mu, by nie czekając więcej, przysyłał na wieczór Puślikowskiego i panią Tryze. Bulwa, który z wykrzyków i przekleństw obojga odjeżdżających domyślił się kto téj kaszy nawarzył, chcąc sobie zaskarbić łaski nowego faworyta, pobiegł natychmiast do oficyny.

Ukazanie się jego w biednej izdebce Jasia, w której dotąd noga jego nie postąpiła, miało wielkie dla

niego znaczenie. Rządca, trochę [skłopotany tém, że się nigdy nie domyślał wziętości jaką miał Jaś otrzymać, i nie zaskarbił sobie zawczasie jego względów, pokorą i posłuszeństwem postanowił spłacić swoją omyłkę.

— Przyszedłem się spytać — odezwał się zmieszany i uniżony — czy pan co nie rozkaże.

— Ja? — rzekł Jaś — ja?

— Bo to ja zawsze, pospiesznie podchwycił Bulwa — zawsze wyglądałem chwili żeby być panu użytecznym; ale wiadomo jaka to była niewola z Terminińskim. — Chwała Bogu żeśmy się go pozbyli!

Jaś się uśmiechnął.

— Ja tu — rzekł pokornie — nic nie mam do rozkazania, panie Bulwo; jeden Kasztelaniec stryj, rozporządza. Trzeba jego rozkazy spełniać, i nic więcej.

— Ale może by co?

— Nie, nie, nie, odparł Jaś.

— Pan widzę niema we mnie ufności.

— Mało się znamy: jak się lepiej poznamy.... teraz, spiesz Pan spełnić co Kasztelaniec mu polecił...

— O! o! wychodząc rzekł do siebie Rządca — kuty! zręczny! dobrego będziemy mieli Pana! Trzeba go koniecznie złapać! — Bez tego mogę wylecieć!

—To widzę nie żarty!—I nie nałożywszy nawet czapki pobiegł na folwark.

Tym czasem w całym dworze zamieszanie było niesłychane, słudzy latali, szeptali, nowina niespodziana krążyła z ust do ust, zdawało się że świat na swój osi w inną się stronę poruszył.

Chłopiec Pana Samuela przybiegł do niego z wieścią tą, właśnie gdy z Rotmistrzem wzdychali i stękali na swoje położenie.

— Wszak to Pannę Anielę i Terminińskiego słyszę wywożać! — krzyknął wpadając na próg.

— Co? dokąd? śni ci się czy co? — spytał Pan Samuel.

— Ale jak Boga kocham, prawda! Cały dwór do góry nogami! — Kasztelanica ubiera Paweł, Terminiński się pakuje, Panna Aniela słysze płacze, przeklina i szklankami ciska. Bulwa lata jak oparzony... w stajni zadysponowano konie do koczobryka i do wózka..

Samuel i Rotmistrz spojrzeli po sobie.

— Cóż to się stało? to jakaś rewolucya! — rzekł stary zapinając kapotę — trzeba się pójść dowiedzieć!

W tém stanął zamyślony w pośrodku pokoju. — Jaś jeździł do miasteczka — rzekł w duchu do siebie — to jego robota! Ale to tylko początek? Wyprawił

dzis jednych, jutro odważniejszy, wypędzi inas. Trzeba mu tu być samym! — to nie chybną...

— Rotmistrzu! — odezwał się — nie ruszaj się z kąta, siedź cicho, nie mieszaj do niczego, mogliby cię wplątać w co! ja sam pójde się dowiem i rozpytam.

To mówiąc pochwycił czapkę Pan Samuel i wysunął się szybkim krokiem z pokoju.

W dziedzińcu obejrzawszy się, nie mógł już wątpić, że to co chłopiec oznajmił było prawdą. Zwykle spokojne podwórze przedstawiało obraz niezwykajny; wynoszono tłumoki, ludzie latali, krzyżowały się rozkazy, kupkami zbierali się ciekawi rozprawiając o dziwnym, niepojętym wypadku. Właśnie w chwili gdy Pan Samuel wyszedł, niewiedząc jeszcze gdzie się uda, nadbiegł Jaś, spieszący do dworu i spotkał się z nim oko w oko.

— Dzień dobry ci Jaśku! — zapytał stary niespokojnie — powiedzże mi co tu się dzieje? Jakieś widzę zamieszanie, ktoś odjeżdża? co to jest? Ludzie bajki jakieś plotą....

Jaś zarumienił się, uśmiechnął nieznacznie.

— Właśnie i ja się o tém dowiaduje — rzekł udając naiwność — mówił mi Bulwa że Aniela i Terminiński wyjeżdżają oboje. Ale nic nie wiem co to się stało?

— Stryj wie że Kasztelanie nie zwykł do porady brać nikogo; zkądżebym miał o tém wiedzieć? Muszę lecieć, żeby się rozpytać, a może tam mnie zapotrzebują....

To mówiąc pospieszył biegiem do dworu; Pan Samuel pozostał sam zadumany.

— Ha!—rzekł—niedługoż i nam tu popasać! To niezawodnie robota Jasia, ani wątpić! Dziś im, jutro nam, wcześniej się trzeba upakować!

Smutny powrócił do oficyn, i zastał obojętnego Rotmistrza, zajętego przy kominie staranném oczyszczaniem fajki i cybucha.

— Wszystko prawda—rzekł—ale to podobno nie koniec na tém! dostanie się i nam, Jaś to zrobić musiał. Widziałem go przed chwilą, udaje niewiniątka! A co pocniemy jeśli nas ztąd wyrugują?— spytał syna.

— Co?—uśmiechając się obojętnie zawsze i podnosząc głowę, na której twarzy nie było wyrazu najmniejszej troski, Rotmistrz — pójdziemy gdzieindziej biedę klepać. Juściż tu nie raj!

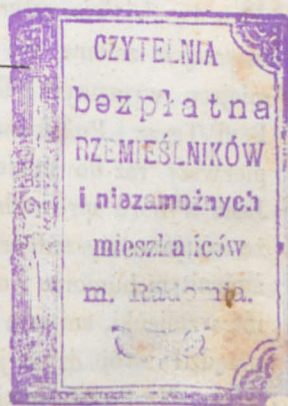
— Oj nie!—odparł ojciec—ale czyściec przynajmniej!—uśmiechnął się boleśnie.—Gdzieindziej może być piekło....

— Znajdziemy kątek, a niewieleć nam potrzeba!—O, i Pan Piotr nas przyjmie!

— Ale nadzieje! nadzieje! tu się na to gotuje widzę—żywo dorzucił Pan Samuel—że nam wszystko z przed nosa pochwycą.

— Chcesz ojciec, bym Jasiowi uszy poobcinał?—zapytał syn, który nigdzie innéj rady nie widział, tylko to jedno na wszystko miał lekarstwo.

— A! dajże pokój! na Boga Panie Wincenty!—zakrzyknął Samuel — co ci w głowie, na co się to przyda! Siedzmy, milczmy i do niczego się nie mieszejmy... co Bóg da to da!



VI

We dwadzieścia cztery godzin potem zaszła nadzwyczajna zmiana we dworze Strumieńskim, a na miejscu wygnanych Termińskiego i Anieli, osiadła Pani Tryze i Puślikowski. Niewiadomo jak przyjął pierwszy raz do siebie przystępujących, na wiarę Jasia wyboru sprowadzonych Kasztelaniec; to pewna, że nazajutrz wyszedł orzeźwiony, odmłodniały, w wyśmienitym humorze i niedozwalając najmniejszej czynić wzmianki, ani sam wspominać o tém co zaszło, urządził swój dzień jak najściślej wedle dawnego trybu. Na Puślikowskim znać było wielce pracę Jasia, który go tak wcześnie o najdrobniejszych na-

wyknieniach starca uwiadomił, że zręczny i znający służbę dworak, nie zawahał się na chwilę, nie szukał nic, nie pomylił się w niczém. Kasztelaniec zdumiony, że nie poczuł odjazdu Termińskiego, spoglądał i milczał, niechcąc się wydawać z radością jaką mu to sprawiało. Punkt o południowej godzinie, drzwi się otworzyły, zastał już u drzwi Jasia pokornego, skromnego, cichego jak przedtém i nie chlubiącego się wcale swoim tryumfem. Że jeszcze nikogo nie było prócz nich dwóch, Kasztelaniec podając mu rękę do pocałowania, uszczypnął go w twarz, co było oznaką wielkiej łaski i rzekł po cichu:

— Spisałeś się Acan bardzo gracko, ale jednakże nie życzę ci często podobnych próbować przedsięwziąć.... mogłoby to być niebezpieczném.... Ale na ten raz udało się bardzo dobrze; winszuję Waści, Jasku....

Jasiek się skłonił pokornie.

— Jeślim co zrobił to pewnie w najlepszej chęci dla stryja dobrodzieja....

— Szeroko o tém Dawid pisał — odparł stary usta wykrzywiając — Waści się chciało zemścić, był rachuneczek.... no! ale się i mnie przy tém coś uciekło. Powiedźże mi, kto ci u kata te dwie figury wyswatał?

— Przypadek — rzekł Jaś skromnie.

— Ten nie głupi przypadek coś mi pachnie Sobockim, a lotra tego się boję, i Waści się strzedz radzę. Pani Tryze przyzwoita kobieta..... to osobliwszy trafunek?

Uśmiechnął się stary z zadowoleniem.

Wniesiono śniadanie; wszedł i Pan Samuel z Rotmistrzem, oba po radzie postanowiwszy dopóty o niczym niewspominać, póki by sam Kasztelaniec tego przedmiotu nie zaczął.

Stary powitał ich zwykłym porządkiem, począł przy śniadaniu rozmowę o pogodzie, i jak gdyby nigdy nic, nie odezwał się o tych co ubyli, ani o tych co przybyli.

Z niecierpliwością wyglądał Rotmistrz i ojciec jego otwarcia drzwi od sali jadalnej, dla zobaczenia Pani Tryze, której dotąd spotkać nie mogli; nareszcie Puślikowski, wystrojony i zręczny, otworzył drzwi i oznajmił, że zupa była na stole. W głębi pokoju malowały się już ciekawym oczom dwie postacie: — Pana Bulwy, niezmiernie wyprężonego i przestraszonego ostatnią rewolucją pałacową, i ślicznej Pani Tryze.

Dla pana Samuela, dla Rotmistrza a nawet dla

Jasia, było to nowe zjawisko i uroczym zastępowało kwaśną Pannę Anielę. Kasztelaniec wdzięcznie bardzo uklonił się jej z dworskim przymileniem. Jaś poglądał na nią zdumiały, nie widząc w niej nic dawnego, prócz piękności, która zdała się podniesioną ubiorem, tém co ją otaczało i silną wolą okazania się piękną. Była też nią niezaprzeczenie, a strój skromny lecz zręcznie dobrany, krasał jeszcze wdzięk naturalny tej zagadkowej istoty. Wyraz jej twarzy był łagodny, skromny, ale na dnie jego jakaś niedostrzeżona wielość, uwieczła pruszyńską szyderstwa. Oczy jej biegały żywo, zdając się liczyć, poznawać, chwytając wszystko co otaczało. Pan Samuel i Rotmistrz skłonili się nowo-przybyłej z daleka; Kasztelaniec dał znak siadania i wszyscy zabrali miejsca swoje.

Pomimo wyłącznego zajęcia jedzeniem stary kilka razy oderwał się od niego, by spojrzeć na piękną Panią Tryze; zaczął ją w rozmowie i znalazł gotową do odpowiedzi, dowcipną i wesołą.

Jaś jak w tęczę patrzył także na nią, i zapomniawszy, że ludzie widzieć mogą wrażenie jakie na nim czyniła, cały się oddał rokoszy zatapiania we wdziękach, które od pierwszej chwili do głębi go poru-

szły. Ona zdawała się nieuważać ani ciekawości nieznajomych, ani zajęcia Jasia, ani uśmiechów Kasztelanica, ani ją przejmowało położenie dziwne, dwuznaczne w tym domu; na twarz jej nie wystąpił rumieniec, głos nie zadrżał; swobodna zupełnie, pani siebie, była jak w domu znajomym, jak gdyby w swoim żywiole.

Pod koniec obiadu smutno spuścił głowę Pan Samuel; przeczuwał on że tak zręczna istota sprzymierzona z Jaśkiem wszystkiemu owdładnąć musi. Czuł niebezpieczeństwo, ale co na nie radzić było? Wezwana już raz familia nie dopomódz nie potrafiła, można się było drugi raz do niej udawać!

— Zostawmy to woli Bożej — rzekł w duchu — co ma być niech się stanie! Ja tu na to nie doktor!

I z uczuciem smutku, które powiększała jeszcze dziwna obojętność na wszystko Pana Rotmistrza, nieumiejącego podzielać ani obawy, ani zaprzętnień ojcowskich, Pan Samuel cofnął się zaraz po obiedzie do oficyny.

Jaś pozostał sam na sam z Kasztelanicem, a najlepszym dowodem jego zadowolenia i uspokojenia było, że starzec wedle obyczaju, ledwie wygrawszy partyę, usnął.

Nazajutrz i dni następnych rzekłbyś że się nic nie zmieniło w starym dworze, tak ślicznie wszystko powróciło do swojego porządku. Jeden tylko Jaś nie uspokoił się wcale; spełnił dotąd bowiem część tylko zadania, a reszta pozostała najwięcej go niepokoiła.

Chodziło mu o odsunienie całej rodziny Kasztelanica i do tego zmierzał, by sam przy nim pozostać, a najbardziej niepokoił go na załodze siedzący Pan Samuel i Rotmistrz. Ale potrzeba było czekać pory do ich oddalenia.

Wszystko jednak szło jak najpomyślniej dla Jaśka, który wkrótce upatrzył chwilę sposobną, by przemówić. Obsyłano nieustannie Kasztelanica podarunkami i listami, które go w najwyższym stopniu niecierpliwiły. Raz tedy, gdy na jedno z pism podobnych wypadło odpisywać, Jasiek zebrawszy się na odwagę, tak począł:

— Uważam że stryja dobrodzieja dosyć męczy to ciągle przypominanie się kuzynków.

— Masz Waćpan rację — odpowiedział zażywając tabakę Kasztelanic — ale cóż począć? Do pieniędzy Ignie wszystko, trudno się od tego odczepić!

— Byłby sposób — rzekł Jaś pisząc.

— Hu! Waćpan i na to masz sposoby?

— Ja! stryju dobrodzieju — tylko myśląc o tém, wydumałem kto temu wszystkiemu przyczyną, ale....

— Miej Waćpan zwyczaj, kończyć kiedy zaczynasz — zawołał Kasztelaniec.. — mów.

— Prawdziwie nieśmiał, niegodzi się może.

— Patrzenie! jaki skrupulat. Powinieneś wiedzieć, że w te ceregiele nie wierzę; świerzbi cię mów, jeśli co nie głupiego. Któż temu winien?

— A któż jeśli nie stryj Samuel, co to pierwszy do Strumienia drogę pokazał — rzekł śmiało Jasiek. — Wiem z pewnością, że on to hałasu narobił u rodziny i wszystkich tu na urodziny sprowadził.

— Jakto? wiesz o tém pewnie! — zawołał Kasztelaniec, któremu brat od dawna zawadzał, ród z powodu, żeby się go przyzwolicie pozbyć.

— Wiem wszystko jak to było — kończył chłopiec chwytając zręczność. — Jak tu była Pani Hieronimowa, przez nią oznajmił rodzinie co się tu dzieje; zawezwał ich wszystkich na radę, żeby stryja dobrodzieja obsadzić stróżami.... Potem się gdzieś tam zbierali, rozprawiali i nareszcie aż do Strumienia przyjechali....

— I Pan Piotr prawił mi kazanie! — mruknął Kasztelaniec uśmiechając się — Ale wieszże pewnie, że to robota brata Samuela?

— Wiem o tém najdowodniej — odparł Jaś — mógłbym powtórzyć nawet niektóre ich wieczorne rozmowy tu w Strumieniu. Chodzi im bardzo, żeby się stryjowski majątek w obce ręce nie dostał....

— I tak zawczasu, za życia, bezwstydnie już sobie go pilnują, już nim rozporządzają, a żeby mi się przypodobać, to mnie obsedują listami i kiepskimi swymi prezencikami..... Ale to zdrada ze strony pana Samuela, któremu dałem dach i przytułek..... naprowadzać ich na mnie.....

Jaś nie odezwał się więcej, rzucił węgiel, podpalił, a sam się przychował.

Kasztelaniec tymczasem myśli i wiadomość schwyconą na wszystkie strony obracał. Dotąd nie miał powodu, zaczepki, żeby się zbyć nieprzyjemnego świadka, choć mocno tego pragnął; nie znajdował pretekstu do zerwania z rodziną; tu mu się doskonała trafiała zręczność, postanowił ją pochwycić i z niej skorzystać.

Dzień czy dwa upłynęły na układaniu planu i na ostatku, uzbroiwszy się w odwagę i zimną krew, które miał postawić przeciw powadze i uczuciu brata, Kasztelaniec dnia jednego przed obiadem, w niezwy-

Inter. Tom III.

czajnej porze, posłał Puślikowskiego po pana Samuela.

Starego coś tknęło, spojrzał na Rotmistrza westchnął.

— A co! — rzekł — pewnie i dla nas przyszła pora manatki pozbierać! gotujmy się panie Wincenty.

Rotmistrz niedowierzając ramionami ruszył.

Pan Samuel zastał brata chodzącego żywo po swoim sypialnym pokoju; twarz jego wyrażała niby gniew, którego w istocie nie miał, i oburzenie udane. Jak tylko zobaczył na progu pana Samuela, stanął i odezwał się:

— A godzi się to panie bracie! a godzi się to?

— Co? co?

— Co? ślicznych się dowiaduję rzeczy, za prawdę! Mógłbym się tego po Wasindzieju spodziewać?

— Ale cóż jest, u Boga?

— Co jest? Jam was przyjął i przytulił, a wy przeciwko mnie spiski knujecie, familię gromadzicie, chcecie wziąć w kuratelę żeby majątek zagarnąć! Któż jeśli nie Waćpan, panie bracie przez Hieronimowę spędzaliście całą familię, żeby o mnie starcu radzić i obsadzić mnie stróżami? alboż nie? Zaprzeczcie kiedy możecie?

Pan Samuel wzruszył lekko ramionami.

— Nie zapieram się co prawda! ale nie tak to było jak mówicie, panie bracie.

— Jak było nie wchodzę, dość że było — przerwał Kasztelaniec. Chodzi wam o spadek po mnie: wieście że z niego nie dostaniecie pruszyński!

— O tém dawnośmy wiedzieli — odparł Samuel z pokorą — nie nowina, panie bracie; ale pozwólcie mi się oczyścić z potwarzy rzuconej na mnie; przez kogo, niewiem, choć się domyślam.

— Nazywacie to potwarzą?

— Nie było w tym kroku nic ci uwłaczającego.

— Tak! tylko strojów mi chcieliście dodać, i opanować starca....

— Pozwól, kiedyśmy na tę drażliwą materję wpadli, panie bracie — odezwał się Samuel — niech ci całą prawdę powiem....

— Żadnej prawdy nie potrzebuję od Waszeci, panie bracie.

— Jak chcecie....

— Proszę tylko, żebym był wolny od szpiegostwa w domu, od znanych mi uczuć familii, która nie o dobru mojem myśli ale o majątku....

— Tak! doskonały powód pozbycia się mnie!—

rzekł Samuel — niech i tak będzie, pójdziemy ja i syn dziś jeszcze..... zostaniesz sam jak chcesz; ale pamiętajcie bracie, pamiętajcie, kim się obsadziliście i kto z wami zostaje.

— Cóż to? macie mnie za zdzienniałe stworzenie, co nianiek potrzebuje i lada komu da sobą powodować! — ofuknął się Kasztelan. — Nikt w życiu mną nie rządził i rządzić nie będzie!

Pan Samuel nie rzekł więcej słowa, smutnie skłonił się z uczuciem prawdziwem, więcej zgryziony niż rozgniewany i na progu odezwał się uroczyście tylko:

— A więc, żegnam cię panie Stanisławie..... noga moja nie postanie więcej w tym domu, z którego mnie sromotnie wypędzasz — przebaczam ci to. Na tym świecie nie zobaczymy się więcej: do zobaczenia na innym.

Stary stanął, spojrzął i z litością się uśmiechnął.

— Kłaniajże się odemnie panu Piotrowi! — dodał — i szczęśliwej drogi!

Drzwi się zamknęły powolnie; ze spuszczoną głową, przygnębiony swém nieszczęściem, zgryziony powłókł się wygnany do oficyny. Rotmistrz czekał na niego w ganku paląc fajkę; postrzegłszy ojca, po

wyrazie jego twarzy, po postawie poznał że się coś złego stać musiało: rozgniewał się tylko, zacisnął pięść i chciał lecieć uszy poobrywać Jasiowi, któremu przypisywał to wszystko.

— A co? — spytał z daleka.

— To com wyróżył — rzekł stary z rezygnacją, jesteśmy wypędzeni, wypowiedziano nam schronienie, kazano się wyrzec wszelkich nadziei. I kropli wody więcej tu w usta nie wezmę! — dodał starzec z dumą, która na twarz jego wystąpiła — zwiążemy węzłki nasze i pójdziemy ztąd jednej chwili.

— Gdzież ten łajdak, żebym mu.....

Nie miał czasu dokończyć Rotmistrz, schwycony silną dłonią ojca.

— Wara mi od wszelkiej zemsty, panie Wincenty — rzekł poważnie — pod błogosławieństwem zakazuje słowa, mrugnienia!.... Bóg się pomści za nas!

— Ale jabym go stłukł na gorzkie jabłko!

— I popełniłbyś nierozsądny występki — przerwał ojciec. Wszystko dobrze zważywszy jest to największa przysługa jaką nam mógł synowczyk wyrządzić; dość mamy tego z powszednim chlebem codziennie polykanego upokorzenia. Mnie tylko miłość ojcowska gotowa na ofiary, ciebie niesłychana obo-

jętność mogły w tém piekle utrzymać. Dość na Boga! więcćj ubogich żyje na świecie, a żyją jakoś! I nam Bóg dopomoże!

To mówiąc, pan Samuel wszedł z Rotmistrzem do zajmowanej przez siebie izdebki i począł natychmiast pakować węzełek swój niewielki, rozkazawszy synowi podobnie się przygotować.

Widać że śledzono ich kroki, gdyż Bulwa przysłał z zapytaniem kiedy rozkażą dać sobie konie. Ale pan Samuel odpowiedział, że żadnych koni nie potrzebuje i nie chce.

W pół godziny po rozmowie z Kasztelanicem Jaś z za węgła domu, nieukazując się sam, widział staro stryja, który z Rotmistrzem pieszo najbliższej wsi odchodził, nie obejrzawszy się nawet na czarny dwór Strumiński. Postrzegł to i Kasztelaniec przez okno swego pokoju, uśmiechnął się, ale przykro mu się widać zrobiło, bo zawołać kazał Bulwę i natychmiast wysłał konie, które kijem odpędził Rotmistrz.

Tak tedy Jaś, pan placu, sam na sam pozostał z Szambelanem. Puślikowski acz uczciwy człowiek, a może dlatego właśnie że poczciwy, był mu posłusznym i wiernym; pani Tryze trzymała go załotnością na więzach, ale nie przypuszczała do zbytnej poufałości.

Z nią Jaś radby był spędzać dnie całe, ale zrzęcznie odprawiany, odchodził z coraz większą namietnością. Inna dla Kasztelanica, w obec którego wyraźnie przybierała jak najprzyzwoitszą postawę i mowę, śmiała i kapryśna z Jasiem, niepojęta dla nikogo, kobieta ta poczęła wkrótce po swoim przybyciu zawładnąć całym domem. Umiała przemówić do każdego, ująć, nastraszyć, przymilić się, wybadać i wcieliwszy się szybko w to co ją otaczało, stała się środkiem, ogniskiem, ku któremu zwrócone były oczy wszystkich.

Sam niepokonany dotąd, Kasztelaniec ze wstydem obawiał się już być zwyciężonym przez nią.

Czuła i troskliwa dla niego, powolnie potrafiła go doprowadzić do namietności rozpustnej, gwałtownej jak stare ognie, silnej, niepohamowanej, którą odpychała przybierając ton i powagę kobiety nieszczerściem straconej nisko, ale umiejaczej się szanować. Codzień wzrastało to pragnienie, gorzał silniej starzec, i codzień zbywała go szyderstwem, zimną niewiarą, lub zadziwieniem kobiety, która własną bronią starca z nim walczyła.

Jakkolwiek podobiała się Kasztelanicowi, nie był z nią tak swobodny jak z Anielą, z której narzekan

szydził i z sentymentalności żartował; pani Tryze w pół żartem, w pół poważnie, czasem nawet z pokorą przybraną, wskazywała mu nieustannie przedział, jaki rozdzielał ją, sługę, od pana.

Ten nowy żywioł w życiu Kasztelanica z jednej strony wlał w nie jakieś zajęcie, coś świeżego i pojętnego, ale z drugiej działał nań w sposób niezwykły, rozdrażniający i powolnie wyczerpywał dotąd zaszanowane siły. Postrzegał się starzec, że nie miał spokoju jaki mu dawniej dawało nałogowe nawyknienie, że nowość niszczyła go, a nie umiał ani się z nią oswoić, ani jęj odepchnąć.

Postanawiał sobie codzień wyzwoić się z więzów przyzwyczajenia, przeskoczyć zapory, które mu kładła pokorna duma téj kobiety, nagiąć ją do swych obyczajów, z których w początku chwilową tylko zrobił ofiarę; ale w jęj przytomności znieśmielony odkładał potem do jutra, i tak się to ciągnęło coraz dalej a dalej.

Tymczasem zmiana w życiu, wprzód regularném nawet w nadużyciach, zaczęła coraz silniej działać na starca.

Codzień podupadał gorzej, starzał się raptowniej i nie uszło oczu Jasia, że stryj choć się nie przyznaje,

choć walczy, musi przyplacić zdrowiem katastrofę domową. Twarz jego traciła świeżości reszty, nawet w chwilach południowych nie ożywiając się już jak dawniej; oczy miały ogień gorączkowy, przerażający momentami, to znów gasnący nagle. Nawet ręka dotąd pulchna i biała chudnąć poczęła i czernieć. Niekiedy Kasztelanica czując upadek, musiał się widocznie podsycać swemi tajemniczymi exilirami, bo wychodził z rumieńcem na twarzy wypieszczonym, z zaognioną cerą, ale skutek tych specyfików trwał bardzo króciuchno, a po nich następowało gorsze jeszcze z siłą opadnienie.

Przyczyny moralne przykładały się także silnie do pogorszenia stanu Kasztelanica. Człowiek ten zbyt dobrze znał złą stronę świata i ludzi, by nie ocenił tego co się w koło niego działo. Jaś ze swą przebiegłością cichą, z pokorą udaną, z intrygantwem zręczném, niepokoił go coraz bardziej. Kasztelanica poczynął się go obawiać, a to uczucie strachu było razem dowodem słabości. Otoczony ludźmi podsadzonemi z ręki jego, osamotniony więcćj niż kiedy przez oddalenie się pana Samuela i Rotmistrza i usunięcie rodziny, rozdrażnionej tém wygnaniem, pozostał sam na sam z chłopakiem, którego uczył się codzień lepiej.

Okoliczność jedna przejęła go większą jeszcze bojaźnią i dała mu wielce do myślenia.

Jaś spostrzegając upadek na siłach stryja, wzmagając się jakąś wewnętrzną chorobą i trawiące go zniszczenie, począł nareście myśleć o testamentie. Potrzebował się wprzódby doskonale wywieździeć i przekonać, czy Kasztelanie zamyśla o nim lub nie, mógł bowiem zamiast dopomódz sobie zaszkodzić. Odsunięcie rodziny całej, posługi które oddał stryjowi w ostatnich czasach, codzienne około niego starania, budziły w nim nadzieję, że Kasztelanie wszystko co ma, zapisać mu może. Mylił się w tém bardzo, ale miłość własna zawsze zaślepia. Żeby się więc przekonać czy myśli o testamentie, i nieporywać się na zrobienie niepotrzebnego, co by go musiał pozbawić części fortuny, może mu w całości przeznaczonój. Jaś usadowił się na strychu w godzinach, które Kasztelanie spędzał w swoim zamkniętym pokoju, i każdy ruch starca najpilniej postrzegał. Ale pomimo najuważniejszego badania, nie odkrył nic mogącego naprowadzić na jaki domysł o testamencie. Starzec przychodził zwykle o swojej godzinie, przewracał jakieś papiery, siadał do kart, grał zapamiętałe, zapisywał zapewne gry wypadek i powracał do sypialni.

Niekiedy kładł coś i wyjmował z szafek, rozpatrywał w kufrach, układał, ale oko Jasia nie mogło dopatrzyć zajęcia celu i zrozumieć znaczenia.

Te śledcze zasadzki z zupełną teraz swobodą dokonywane, trwały ciągle i nie ustawały na chwilę. Jaś codziennie mocniej gruntował w przekonaniu, że testamentu nie ma i być nie może, że potrzeba go przygotować i wezwać Sobockiego znowu na pomoc do dzieła. Zebrał więc powoli odcisk pieczętki, wzoory pisma i podpisu, nawet próbki stylu w kilku listach i z niemi chciał się udać do miasteczka, czekając tylko chwili dogodnej.

Tymczasem Kasztelanie codziennie zdawał się gorzej a gorzej, nie skarżył się, ale nikał i niszczał w oczach. Doktorów nie lubiąc i nie wierząc w medycynę, leczył się swemi elixirami, pigułkami, tajemniczymi jakimiś lekarstwami i wszystko przypisując wyniszczeniu, jadł ogromnie, czém się dobijał jeszcze. Im gorzej się czuł, tém więcej niecierpliwiał, chwytając przez siebie wymyślonych środków, myśląc że się ratuje, rychlej jeszcze stan swój pogorszał. Cierpienie z niepokoju przechodzące, obawa która się z nim łączyła, dotąd zaoszczędzone wyczerpując siły, przyspieszały kres życia, które trzymało

się na włosku do czasu. Pierwsza cegielka wyjęta ze sklepienia tego, miała je obalić na ziemię.

Jaś przygotował się już jechać do miasteczka dla postarania o testament, i trafem zaniedbał dla jednego swoich postrzeżeń z sufitu. Tegoż dnia właśnie Kasztelaniec, wszedłszy do swego pokoju, długo po nim chodził zamyślony, czując się coraz gorzej; oczy jego błądziły z miejsca w miejsce bez celu. Nagle padły w zaciemniony kątek sufitu w którym zrobiony był otwór. Dziurka ta, jakkolwiek nieznaczna i mała z wierzchu, że kilka razy nieuważnie poprawioną była, wyraźniejszą się ukazywała od strony pokoju niż z góry. Wisiały od niej drzazgi, widać było na podłodze pod spodem trociny i drzewa kawalki upadłe. Kasztelaniec spojrzał, pobladł, zadrżał, przybliżył się żywo i usta mu się zacięły. Popatrzał w górę dla zbadania czy nie zwierzę jakie ten otwór zrobiło; wlażł na kufer blisko stojący, żeby się lepiej przypatrzeć, wziął w ręce szczątki wiórów i poznawszy w nich rękę ludzką, oblał się zimnym potem.

Nie potrzebował się długo zastanawiać nad tém kto mógł go szpiegować; odgadł Jasia od razu i strach którego już doznawał, przejął go głębiej jeszcze.

Właśnie gdy przybrawszy twarz jak najobojetniej-

szą i wesołą nawet, wychodził o swęj godzinie do salki, Jaś przybył także z zamiarem wyproszenia się do miasteczka.

Na pierwsze słowo, które o tém powiedział młody chłopak, Kasztelaniec podejrzliwy, rozdrażniony, domyślił się prawie wszystkiego; rodzajem jasnowidzenia chorobliwego postrzegł jak na dłoni co zuchwały młokos osnuł. Ale nie pokazał po sobie nic wcale; spojrzał mu w oczy badawczo, pomyślał, już miał wybuchnąć i wstrzymał się. Uśmiech tylko szyderski, szatański, złośliwy, skrzywił mu usta blade i upadłe.

— A jedź Waćpan — rzekł — jedź, kiedy chcesz, — możesz nawet sobie jaki dzień zabawić, to cię rozerwie. Młodemu trzeba dystrykcyi....

Jaś nie domyślił się wcale ile ironii, i jaka groźba była w tych wyrazach, które wziął za dobrą monetę. Ucieszony pozwoleniem, zaraz po obiedzie posłał po konie do Bulwy, upakował się szybko i po party warcabów, odjechał.

Kasztelaniec nie zdrzymnąwszy się, choć udawał że spał, odszedł do swojego pokoju w stanie rozdrażnienia niesłychanym. Gniew, niecierpliwość, choro-
roba wzmagająca się miotały nim na przemiany.

Życie owe regularne dni dawnych zatrute zostało, i jak koło maszyny wyrzucone ze swego miejsca, kręciło się w dziwacznych kręgach ostatkiem sił już tylko.

Jak skoro tylko Jaś odjechał, zadzwonił stary na Puślikowskiego.

— Zawołać mi Bulwy — rzekł żywo — natychmiast!

Rządca zdyszany, przelekleł jak zawsze, bo się obawiał wszystkiego, a najbardziej rozkazów pańskich w niezwykłej godzinie, przyleciał do dworu natychmiast, stanął w progu i wyszeptał cicho swoje zwykłe:

— Wedle rozkazu!

— Co to mi Asan mówiłeś wczoraj, że się tam nie możesz porozumieć z Proboszczem o dziesięcinę? — zapytał nagle Kasztelan.

Strumień bowiem dawniej do dóbr Ordynackich należący, opłacał w naturze lub pieniądzech dziesięcinę do kościoła parafialnego, jak wiele dotąd dóbr na Wołyniu.

— To, Jaśnie Panie — odparł Bulwa — rzecz taka, że ksiądz Proboszcz nie chce brać pieniędzy,

żąda odebrać w snopie, bo powiada że mu w tym roku na zapomogę dla ludzi potrzeba.

— Już też dosyć tych dziwactw ze strony Proboszcza — odezwał się Kasztelan — ja sam z nim muszę skończyć ten interes. Co rok to nowina! To pieniędzy żąda, to ziarna, to snopa! Niechże raz zawrę umowę stałą z tym klechą....

— Jeśli Jaśnie Pan rozkaże — szepnął Bulwa, który w tém miał swój rachunek — jaby pojechał i ułatwił wszystko.

— Nie, nie! Muszę temu Jegomości powiedzieć słowa prawdy! Dosyć tego! dosyć!.... To mówiąc, chodził żywo stary i zdawał się mocno zagniewany.

— Cóż Jaśnie Pan rozkaże? — zapytał Rządca.

— Co? Oto, jedź mi Waćpan zaraz do niego. Słyszysz Waćpan zaraz....

— Wedle rozkazu....

— Nic mi ani wspominać o dziesięcinie; powiedz tylko że się z nim widzieć chcę, niech przyjedzie do mnie....

— Jakto, Jaśnie Panie, tak zaraz?

— Natychmiast! i prosić żeby przybył dziś jeszcze.... Ten interes krew mi psuje, chcę go jak najprędzej zbyć z głowy....

— A jeśliby Proboszcza nie było? — zapytał Bulwa.

— Waćpana rzecz żeby był, słyszysz!

— Wedle rozkazu! — Skłonił się Bulwa, poskrobał w głowę i po cichu wyszedł.

— Jednak to dziwna rzecz — rzekł do siebie w progu — co to się panu zamarzyło! Samemu robić interes z proboszczem? Czyby się dowiedział co o tych dziesięcinach? Wątpię! Nigdy jak żyw nie widział księdza Bakałowskiego; księży nie cierpi! to coś niepojętego! Ale nie ma co! potrzeba słuchać! Niech lichy weźmie coby się tam na Proboszczu dało utargować! Trzeba słuchać! to nie ma co!

I pędem pośpieszył Bulwa na folwak, kazawszy po drodze zaprzęgać konie co najprędzej.

Tymczasem Kasztelanic wszedł do swojego pokoju, zamknął się w nim, zaryglował i przeciągnął pobyt nad zwykłą godzinę.

Późnym wieczorem dopiero, posłuszny Bulwa przywiozł księdza Bakałowskiego, o którym słówko nim wejdzie.

Proboszcz ten wcale nie był pospolitym człowiekiem, ale natura obdarzyła go charakterem i temperamentem, które się ze stanem jego najmniej zga-

dzwały. Żywy, gorączka, pełen szlachetności i najpiękniejszych uczuć, aby się w kapłańskim charakterze utrzymać musiał z sobą nieustanną staczać walkę. Często zamiast nawracać pokorą i słowem łagodnym, wielką miał ochotę po starodawnemu użyć dyscypliny i kunicy. Grzech oburzał go zarówno jako chrześcianina i człowieka, a człowiek przemagał czasem kapłana. Nie nowina też mu było dobrze wyłajać w konfesyonale. Znał on do siebie tę wagę prędkości, jak mógł się hamować, odpokutowywał umyślnym upokorzeniem porywczej swój żywości, jednak całkiem ujarzmić jej nie mógł. Z drugiej strony ksiądz Bakałowski miał najlepsze serce, gotowość na ofiary niezwykłą i wszelkie przechodzącą granice; pojmował stanowisko kapłana z całą jego wielkością i ważnością i spełniał posłannictwo swe z zaparciem siebie zupełnym.

Ta walka z gorączką wewnętrzną, ze starym Adamem, nadawała szczególne piętno całemu jego życiu, i czyniła je może piękniejszym jeszcze, bo wytrwałością w boju jaśniejącem.

Pchnięty do stanu kapłańskiego obrzydzeniem świata wewnętrznym, ksiądz Bakałowski, gdyby był

został na świecie, byłby stokroć nieszczęśliwszy jeszcze, boby go charakter narażał na niewysłowione przykrości, jakich doznają ludzie chcący poprawiać braci, a niemający prawa do tego. Był to mężczyzna lat może pięćdziesięciu, zdrowy, silny, trochę otyły, rumianej do zbytku twarzy, w której czarne ogniste oczy chodziły na tle oliwkowém. Nie wysokie czoło, brwi gęsto zarosłe, nos cienki i kształtny, usta piękne i często na przekór gniewem wewnętrznym uśmiechnięte, tworzyły całość uderzającą wybitnością. Od częstego marszczenia, czoło posiałdowało mu się poprzecznie gęściej niż było powinno w tym wieku, co twarzy nadawało charakter surowy. Postawa, ruchy miały coś w sobie żołnierskiego prawie, ale ciągle poskramanego serdeczną pokorą, która usiłowała podbić wychodzącą na wierzch samorzutność.

Ubrany bardzo skromnie, wszedł ksiądz Bakałowski na salę, z tą pewnością jaka kapłanowi przystała, nieulekniiony wcale tém co o Kasztelanicy, którego nigdy na oczy nie widział, mówiono. Z tego co słyszał o nim miał naturalnie wstręt od człowieka, który się Boga zaparł i zdawał w duszę własną niewierzyć; ale zawczasu całą drogę przekonywał

się, że nie powinien mu go okazywać, a dla dobra jego wiecznego, jak najłagodniej z nim poczynać. Wiedział ksiądz Bakałowski, że chodziło tylko o dziecięcy, ale w Bogu miał nadzieję, że mówiąc o nich, zbawienne jakie ziarno rzuci, którego wzrostowi sam wiek do grobu zbliżony pomoże.

Z temi myślami, szepcząc modlitewkę, którą na pohamowanie swęj żywości zwykł był odmawiać, wszedł proboszcz do pokoju i sam w nim zostawszy, ciekawie się obejrzał. Kasztelanica nie było jeszcze. Po chwili drzwi boczne skrzypnęły i gospodarz się ukazał.

Kapłan skłonił się z lekka, badające rzucając wejrzenie na tę postać, na której więcej niż kiedy mallowało się znużenie żywotem, wyczerpanie sił, rozjątrzenie jakieś i niezaspokojenie właściwe tym, co nigdy nie spojrzeli wyżej nad ziemski swój byt.

Kasztelanic nawzajem, zmierzył go wzrokiem ciekawym, śledczym i po chwili wyciągnął białą swą rękę do powitania. Pomimo wewnętrznych utrapień i zgryzoty, starzec w obec nieznajomego człowieka potrafił się zdobyć na dworactwo i wyszukaną grzeczność, zimną, do której form całe życie przywykł. Usta jego przywdziały ów uśmieszek od gości, oczy

wesołość odświętną, a czoło usiłowało się rozjaśnić.

— Bardzo się cieszę że, Waćpana Dobrodzieja choć późno poznaje! — rzekł Kasztelan — tyłem o nim dobrego słyszał, że prawdziwie pragnąłem zbliżyć się ku niemu oddawna. Ale starość, zadowolenie.

Proboszcz się tylko skłonił.

— Bardzo Panu Dobrodziejowi dziękuję za pochlebne słówko....

— Darujesz mi Pan, żem go tak wezwał, ale zdrowie moje ...

— Miło mi zawsze służyć moim parafianom — odparł ksiądz Bakałowski — jest to moim obowiązkiem. A tu podobno i interes dziesięcin — dodał ciszéj.

— Tak! interes dziesięciny.... — obejrzał się stary do koła niespokojnie.... przysunął z krzeselkiem do księdza, zdawał namyślać jeszcze chwilę; twarz jego zmieniała się dziwnie. — Prawdę powiedziawszy nie oto mi chodziło; inny jest powód wezwania jego do mnie.

— Inny? — spytał z rozjaśnionemi oczyma proboszcz, domysławając się zawczasie nawrócenia grze-

sznika, którego z duszy pragnął. — W każdym, razie jestem na usługi Waćpana Dobrodzieja.

Starzec zdawał się jeszcze z wyjawieniem całej swéj myśli wstrzymywać; nareście, jakby mu na to wielkiej potrzeba było odwagi, wyrzekł z wyrazem silnego postanowienia:

— Chciej mnie Waćpan Dobrodziej wysłuchać cierpliwie. — Żyłem długo na świecie i poznałem świat dobrze; niepotrzebuję dodawać, że mi w téj chwili obrzydł jak smrodliwa kałuża.

— To uczucie chrześcijańskie.... — przerwał Proboszcz.

— Nie! nie! — zawołał Szambelan z uśmiechem goryczy pełnym — nie mam wiary, nie jestem do tyła słaby, żebym w niej szukał pociechy.

— Waćpan Dobrodziej nazywasz to słabością? — spytał oburzając się ksiądz.

— Ja to widzę i nazywam po swojemu, księże Proboszczu; proszę mi darować, ale tu nam ciężko się zgodzić będzie. Jestem wychowancem wieku, który młot i siekiere przyłożył do pnia chrześcijańskiego dębu i obalił go....

— Jakto obalił? — krzyknął ksiądz Bakałowski porywając się z miejsca; ale poskromniwszy zaraz,

zarumieniony, usiadł spokojniej, szepecząc swoją modlitewkę.

— Tak jest! przesady zniszczone zostały, ciemności rozproszone, a czysta tylko może moralność jakaś ostała się z nieforemnej tkaniny dawnych wieków. Jestem synem XVIII. stulecia, księżu Proboszczu, i w nic nie wierzę.

— A czegoż Pan chcesz ode mnie, zwierając mi się z tém? — zawołał znowu trochę żywiej Proboszcz.

— Zaraz przyjdziemy do tego — spokojnie rzekł Kasztelan. — Widok świata utwierdził mnie długimi laty w przekonaniach, które wyssałem z młodości; gdyby nim Bóg jaki rządził, niesłoby to tak szkaradnie.... Ludzie mi obrzydli, nie mam dla nich szacunku, nie mogę mieć miłości; używam ich jak narzędzia i brzydzę się nimi. Są to zwierzęta, którym się zachciało udawać jakichś aniołów, a z pod których skrzydeł zawsze się szerść bydlęca jeży.

Słuchał ksiądz Bakałowski ze zdumieniem i nie wiedział już co począć.

— Wszystko co mnie w życiu otaczało — ciągnął dalej stary z widocznym gniewem wewnętrznym — ukazało mi naturę ludzką z najgorszej stro-

ny. Wszędzie miłość własna jedynym bodźcem czynności, zdrada narzędziem, nasycenie celem; wszystko dobre kłamane, wszelkie złe prawdziwe. Takim widziałem świat do końca, takim go widzę dziś jeszcze. Drwię z niego i z ludzi; żyję dla siebie jak oni i nie mam nikogo ukochanego sercem.... Obojętni mi wszyscy, z tą tylko różnicą, że jednych trochę więcej nienawidzę od drugih.

Ta dziwna i straszna spowiedź, wielkie widać wrażenie zrobiła na księdzu, który ledwie się mógł utrzymać słuchając jęz z oburzeniem, z politowaniem razem i gniewem.

— Jeśli te uczucia dotrwały w panu do końca — odezwał się nareście — jeśli Pan nie czujesz potrzeby zmiany, nie przeczuwasz innego świata, nad ten, w którym się dobrowolnie zamknąłeś — cóż do tego kapłanowi? Nie nasza rzecz patrzeć na rany, których nam goić nie dopuszczają.

— Wiedz mój księżuniu — z uśmiechem dodał Kasztelan — że to co ranami nazywasz, jest normalnym stanem człowieka co głębiej w serce świata tego wniknął — wasze zdrowie jest odurzeniem. Ale mniejsza o to; ani ja was, ani wy mnie nie nawrócicie, darmo o tém i myśleć.

— A czegoż tu zostałem wezwany? — spytał dosyć kwaśno Proboszcz — słuchać mi tego nie przystało....

— I ja też więcej spowiadać się nie myślę — rzekł Kasztelan — to był tylko wstęp do rzeczy. Otaczający mnie ludzie całe życie zdradzali mnie, zdradzają do ostatka.... Nie chcę by śmierć, która kiedyś przyjść musi, była dla nich zwycięstwem.... Chcę być panem mojej woli do końca. Widzę chciwość, łakomstwo, występki nawet, czychające na moje mienie z zajądlnością obrzydliwą; wściekam się i milczę, bom otoczony siecią, w którą mnie starość bezsilniejsza codzień wplątała. Liczą co mam, pilnują, zabiegają, cieszą się zawczasu moim spadkiem.... nie pozwolę by się ich pragnienia spełniły. Nie mogę w domu być pewnym żadnego kąta, żadnej kryjówki.... słowem, powierzę Panu, jako duchownemu, jako obcemu, który w tej sprawie nic zyskać ani stracić nie możesz, moją wolę ostatnią....

Kończył Kasztelan z wyraźnym wysileniem, dobył z zanadru opieczętowany papier i wręczył go Proboszczowi, który z przyjęciem jego nieco się zawahał.

— Dziękuję Panu za ufność — rzekł powolnie;

obowiązkiem moim jest na nią odpowiedzieć składając się do woli Pana, chociaż wyznam mu szczerze, że uczucia które natchnęły to pismo, uczucia niechrześcijańskie przykrym, mi czynią krok w którym udział mam jakiś.

— Nie grajmy księżuniu komedy — słabszym głosem odezwał się Kasztelan zmordowany widocznie — ja w te sentymenta nie wierzę....

— A jakżeś Pan żył? — z przestachem odezwał się ksiądz Bakałowski.

— Jak? — coraz ciszej mówił szydząc gospodarz — z dnia na dzień, oszukaństwo oszukaństwem płacąc, słowa słowami, niewiarę niewiarą, a samolubstwo cudze egoizmem moim....

— Ale dziś, u życia schyłku, które niech Bóg przedłuży — poprawił się Proboszcz — nie czujesz że Pan czczości tego żywota, potrzeby zmiany?

Kasztelan się uśmiechnął.

— Cha! cha! dajmy temu pokój! dajmy pokój — zawołał — już mnie nie nawrócisz! Całe moje staranie życie jeszcze przedłużyć o ile można, wyciągnąć, nażyć się, a potem (machnął ręką) niech sobie wilcy trawę jedzą!

Ksiądz się wzdrygnął, łaża litości zmoczyła mu po-

wiekę; chciał znaleźć przystęp do tego stwardniałego serca, do téj duszy zamkniętej — i nieumiał go wyszukać. One były jak skamieniała ślimacza skorupa, którą rozbić można, otworzyć niepodobna.

Chwila milczenia nastąpiła po téj łzie i wyznaniach; starzec spojrział na księdza, spostrzegł błyszczącą w powiekach jego kroplę, owoc litości chrześcijańskiej i zdumiał się i zadumał.

Ale wprędce uśmiech stary, niedowiarstwa, sztyderstwa, chłodu, pokazał się na zbladłych jego ustach.

— A! a! — rzekł cicho — jakiby to był dla Jegomości tryumf, nawrócenie takiego jak ja grzesznika! nie prawdaż? byłoby się czém pochlubić.

Proboszcz wstał aż z krzesła dźwignięty gniewem, którego ledwie pohamować potrafił.

— O! o! nie gniewajże się mój dobrodzieju — rzekł Kasztelan — nie chciałem cię obrazić! Ale nie myśl o mojej duszy — dodał gorzko — bo ja w te błazeństwa nigdy nie uwierzę....

Nie było sposobu nie tylko nawracać, ale nawet mówić z tym człowiekiem; ksiądz Bakałowski z żalem to postrzegł, pożałował nawet, że przyjął testament, którego natchnęła nienawiść ku ludziom;

jednakże obawiając się by gorszego coś jeszcze nie zrobił Kasztelan, zatrzymał go, uznając potrzebę pytania:

— Chociaż to do mnie nic nie należy, jak tam Pan Dobrodziej rozporządzasz tém co mu Bóg dał — jednakże widząc jego uczucia, niepodobna żebym nie zapytał co zawiera ta karta, którą mam powierzona? Nie mogę być pośrednikiem do uczynku coby miał w sobie charakter niechrześcijański....

Kasztelan spojrział mu w oczy trochę niecierpliwie i prawie gniewnie.

— Cóż chcesz księże? żebym na kościoły i szpitale rozpiśał majątek? Tego tam nie ma, to pewna; ale też i nie tak bardzo wszetecznego jak myślisz....

— Pan mi na to dajesz słowo? — spytał kapłan poważnie.

— Słowo! — odparł Kasztelan — wstydić się nie będziesz miał powodu.... śmiać się tylko mogą ludzie, a niektórzy wściekać!

Zamikli; Bulwa, który już czatował żeby bez niego interes o dziesięcinę nie traktował, pokazał się ostrożnie ze drzwi od jadalnej sali, którego zwykł był zawsze wchodzić gdy Kasztelan siedział w ba-

wialnym pokoju. Ujrawszy go starzec podniósł głowę i nagle zmienił rozmowę.

— Tak tedy o dziesięcinę skończyliśmy — rzekł głośno — stanie się jak Waćpan Dobrodziej życzysz sobie....

— Bardzo Panu dziękuję....

— Skonwinkowałeś mnie Asindziej — kończył Szambelan — widocznie dla Bulwy to mówiąc... nie miałem racyi — proszę mi darować! A więc, jakie są ostateczne żądania jego?

— Prosiłbym o zboże — odpowiedział ksiądz — muszę ludzi karmić.

— Słyszysz Waś, panie Bulwa, dostawić proszę....

— Ja sam przyślę po nią....

— Taki jest zwyczaj — przerwał Rządca....

— A więc stosownie do zwyczaju — podchwycił stary — tém lepij; kwity od księdza Proboszcza będą mi wszystkie złożone.... Idź Waćpan....

Kwaśno trochę odprawiony, wyszedł Rządca, kiwając głową, zwłaszcza na to składanie kwitów, które nie dozwalało nic z dziesięciny na swój pożytek obrócić. A miał ten chwalebny zwyczaj zacny pan Bulwa, że na najdrobniejsze rzeczy, mało wiele zawsze

coś musiał zarobić. Było to już u niego prawidłem, żeby nie gardzić najmniejszym przybyszem i bodaj garść wyspać do kieszeni, aby tylko nie złamać raz przyjętej zasady. Nie dziw, że składanie kwitów podobać mu się nie mogło.

Po odejściu niepotrzebnego świadka, przerwana rozmowa już się nie skleila gdzie ją przybycie jego złamało. Kasztelanie wrócił do swjej roli grzecznego gospodarza i przywykłego do wykwintnego dworactwa Stanisławowskiego Szambelana. Lice jego uspokojeniem trochę się ożywiło, odzyskał nieco swobody i dowcipu.

Ksiądz patrząc na niego ze zdumieniem, ledwie w nim mógł poznać rozpaczającego przed chwilą niedowiarka, który bluźnił przeciwko Bogu. Z innej strony przedstawiał mu się teraz Kasztelanie, usiłując i wyższość swego umysłu i ukształcenie pokazać.

Oboje to jednak żadnego nie uczyniło wrażenia na Proboszczu, w którym uczucie litości dla nieszczęśliwego przeważało nad innemi. Miał jeszcze przytomne świeże rany, które przed nim odkrył i okropnością ich się wzdrygał. Weselość starca, jego dowcip, smutno, dziwnie obijały się o uszy kapłana, w których tętniły jeszcze bolesne wyznania

chorój duszy. Po godzinie rozmowy, gdy się przekonali oba, że jeden nie potrafi oddziaływać na drugiego. Kasztelan pierwszy wstał, by księdza pożegnać, dziękując mu za przybycie.

— Przyjmij Waćpan Dobrodziej serdeczne dzięki odemnie — rzekł stary — spodziewam się pożyć jeszcze; kto wie tam, który z nas z brzegu; jednak na wypadek wszelką dodaję przestrożę, że mój testament nie ma być czytany tylko w ogólném zgromadzeniu całej mojej familii.... Mogą być starania o pochwylenie go z rąk waszych, lecz proszę byście nikomu nawet urzędnikom nie powierzali....

— Spełnię żądanie, jeśli żyć będę — odparł ksiądz Bakałowski wstając — ale pozwólcie nawzajem pożegnać się życzeniem. Bodajby Bóg dał wam choć późno poznać prawdziwe światło wiary Chrystasowój i poczuć w sobie nieśmiertelną duszę.... Modlić się będę na waszą intencję....

Rozśmiał się Kasztelan....

— A! a! — rzekł — stracone to modlitwy księżuniu! z mlekiem wyssałem niewiarę, nie pora się przerabiać!

— Pora! zawsze pora!

— Dla słabych — odparł stary dumnie — ale we

mnie dusza silna i nieulekniona; nie obawiam się nicości która mnie czeka....

— Niech wam Bóg ześle upamiętanie! — dorzucił Proboszcz spiesząc odejść, aby nie słuchać przykrych niewiarą tchnących wyznań starca. — Niech Bóg was pocieszy i nawróci!

Zwyczajnym tylko uśmiechem pożegnał go Kasztelan, odwrócił się niedbale i z pewnem ukontentowaniem z odniesionego zwycięstwa wszedł do swojego pokoju.

My odwróćmy się na chwilę od niego i pospieszmy za Jaśkiem, który do miasteczka dla narady z Sobockim popędził. Nie bez drżenia wewnętrzne-go i strachu zdobył on się na krok, którego następności dobrze obrachować nie mógł, ale czuł że straszne być musiały. Wyobraźnia nastęrczała mu więzienie, wygnanie, upokorzenia i kary haniebne; ale z drugiej strony widział przyszłość tak świetną, tak wielką, tak gorącą, że dla niej gotów był na największe ofiary. Życie dla niego nie mogło być czém inném tylko użyciem; celu nie miał w nim nad nasylenie, nie drgało w nim serce, nie podnosiła się dusza, wszystko było obojętném krom tego złota, za które świat chciał kupić. Pomimo więc wahania

i strachu, które najwięcej pochodziły ztąd, że się musiał wiązać z Sobockim, którego się lękał i nie mógł mu wierzyć, brnął dalej Jasiak, powtarzając tylko że się udać musi.

Przybywszy do miasteczka, pobiegł zaraz do domku Kancelisty, ale go zastał próżnym, stróż tylko drwa rąbał na progu. Antosi nie było, ani dziecka, ani sługi, a Sobocki gdzieś hulał.

— Gdzie jest pan? — spytał starego chłopca z fajeczką w zębach powoli kołącego drzewo i niewielką mającego ochotę wdawać się w rozmowę.

— A kto go wie? — mruknął najemnik.

— A pani? — nacierał Jasiak.

— Jaka pani?

— Tutejsza przecie.

— Ja tu pani nie widziałem....

— Wszak tu mieszka Sobocki?

— Musi być.... Sobacki czy Sobocki.... a zresztą popytajcie sąsiadów, bo ja nietutejszy.

Jaś nie wiedział gdzie się objaśnić lepiej, gdy zobaczył z zakasanemi rękoma stojącą z drugiej strony parkanu czerwoną służącą, która zdawała się wyzywać go oczyma do pogadanki; obrócił się ku niej:

— Nie wiecie moja kochana, gdzie Sobocki?

— Któż go tam wie, gdzie lata, rzadko on w domu — odparła szybko bardzo paplając kobieta. — My tu, widzi Pan, mieszkamy obok, to się to człowiek patrzy na wszystko, choćby oczy zapluszczył.... Ale on bardzo w domu rzadki....

— A żona!

— To Pan nie wie?

— Nic nie wiem.

Kobieta pokiwała głową.

— A to, proszę Pana — zaczęła zbliżając się i niemal na płot wylaząc — jak zaczął z nią historję wyrabiać, jak zaczął ją, mówią, i bić i łajać i chleba czasem brakło, jak mówiła kucharka, co niedawno odstała, tak nareszcie biedna kobieta wyniosła się od niego i niewiadomo dokąd.... jak w wodę wpadła... Co się jój naszukali, co napytali, naobwoływali.... ani słychu....

— I z dziecięciem? — spytał Jaś poruszony nieco.

— A z dziecięciem, proszę Pana; słyszę nawet nic nie wzięła z domu tylko małeńki węzełek....

Jaś nie chciał badać dłużej, spuścił głowę, wyszedł z dziedzińca i udał się do winiarni spodziewając tam zastać Sobockiego. Po drodze rozmyślał co począć, ucieczka bowiem siostry jego bardzo zmie-

niała postać rzeczy; zapis który tak obchodził męża, mógł na niego tylko przez nią spadać; Jasiowi też przykro trochę było mieć do czynienia z człowiekiem, który Antosię zmusił do ucieczki z domu, do ostatniej zapewne nędzy.... Jakkolwiek ogołocony z uczuć szlachetniejszych, których nie miał wzoru, nie uczuł potrzeby, nie pojmował w życiu roli, zachował, że tak powiem, zwierzęce jakieś przywiązanie do bliższej rodziny. Lata pierwsze z nią spędzone niedostatku, boleści wspólnych, wiązały sieroty.

Mimowolnie oburzał się na Sobockiego i wahał co począć z testamentem, ale nie było wyboru, przez niego mógł być tylko zrobiony, on stanowił całą ich przyszłość, potrzeba było widzieć się z Kancelistą.

W winiarni nie zastał go tym razem; powiedziano mu, że musiał być w sądzie, poszedł więc do zamku.

W ogromnej izbie zastawionej stołami, które obsiedli do koła gryzipiórki różnego wzrostu, wieku i kalibru, pełnej wyziewów papieru zbutwiałego, atramentu i błota, zasypanej zrzynkami piór i podartymi brulionami; Jaś, na którego natychmiast cała kancelarya chciwie obróciła oczy, znalazł nareszcie szwagra.

Sobocki, widać niezmiernie zajęty, siedział w kącie nad folialem protokółów; przed nim leżał papier stempłowy. Schylony, skurczony, z przymrużeniem okiem, pisał.... a pióro jego szalonym pędem biegło po białej karcie. Straszny był przy tém zajęciu, twarz miał żółkłą, oczy zaognione, włos rozstrzępiony, usta jak wśród snu w pół otwarte machinalnie i zaślinione, drgały tylko niekiedy krwi biciem; a sprawa, którą obrabiał tak go w téj chwili zajmowała, że otwarcie drzwi, głos znajomy, targania współtowarzyszów, obudzić go w początku nie mogły. Dopiero gdy Jaś przystąpił bliżej, gdy się odezwał po raz drugi i trzeci, gdy go dotknął, Sobocki chmurną podniósł głowę ku niemu.

Zobaczywszy szwagra, wyszedł powoli z osłupienia, w którym zostawał, ale nic nie rzekł, tylko mu dał znak ręką, żeby poczekał, i sam znów się zlamawszy we dwoje pisał dalej.

Trwało to chwilę, a kancelarya cała uśmiechała się z nienawidzonego Sobockiego i drwić poczyniała z przybyszą, gdy nagle rzucił Sobocki pióro opodal, zatrzasnął księgę, zmiął papiery i zsunął je, powstał. chwycił czapkę, narzucił płaszcz i wyleciał ciągnąc za sobą Jaśka. Za nimi cichy, stłumiony wybuch

śmiechu tylko przeleciał po zimnej, smutnej izbie pisarzy.

W dziedzińcu, jakby się do reszty opamiętał, Sobocki stanął, spojrzął Jasiowi w oczy.

— Wiesz? — spytał go krótko.

— Co takiego?

— A ta Antosia, kochana — wasza Antosia! ślicznego mi figla spletała! uciekła bestya! co powiesz? jak w wodę!

— Kiedyś już sam o tém zaczął — odparł Jaś chmurno — to ci powiem otwarcie, że się jój nie dziwuję; źle się z nią obchodzileś! bracie, źle!

— A cóżeś ty chciał, żebym ja przed nią tańcował na paluszkach! żebym jój komplementa prawil!

— Brakło jój wszystkiego, a najwięcej przywiązania z twojej strony i....

— No! no! dość tego, widzę że bierzesz jój obroję.... a to wściekła kobieta! nigdy mi w najmniejszej rzeczy uledez nie chciała! Ale licho ją bierz! ja ją odkryję i dopiero pokażę co umiem, jak się znów w moje ręce popadnie! Bez grosza daleko pójść nie mogła!

— To pewna, że jeśli ją znajdziesz — żywo odpowiedział Jaś — ja jój więcej krzywdy zrobić nie dam....

— Cóż myślisz, że mnie nastraszysz? — śmiejąc się zapytał zbladły Sobocki.

— Straszyć nie myślę — rzekł młody chłopiec — ale znajdzie się sposób i na ciebie....

— Przyjechałeś mi robić wymówki? — zawołał Kancelista odstępując krokiem.

— Nie, bo dopiero w miasteczku dowiedziałem się o tém.... i mocno mnie to obeszło.

— Tak! boś młokos — odparł Sobocki — bo tego nie rozumiesz jak się z kobietą obchodzić potrzeba, że mieć pokój w domu!

— A miałeś ty pokój?

— To co innego! to nie kobieta, to szalone stworzenie, któremu by nikt rady nie dał. Już dość powiedzieć, że byle na swoim postawić, wołała uciec bez grosza z domu i wałęsać się po świecie.

— To twoja wina!

Sobocki ruszył ramionami.

— Dalbyś pokój — rzekł — to nie twój interes! gadaj z czém przyjechałeś?

Jaś się zastanowił. Trochę papierów przygotowanych wyglądało mu z za surduta nie dobrze zapiętego; Sobocki dawno je postrzegł i zwąchał co znaczyły.

— Wszak o testament? — dodał szybko.
Jaś milczał jeszcze.

— Darmobyś kłamał — odparł Sobocki — przyjechałeś po to; Kasztelanie ma się co dnia gorzej.... to wiem.

— Tak, ale cóż ci przyjdzie z testamentu kiedy Antosia uciekła?

— A co to ma jedno do drugiego?

— Zapis musi być dla niej! — rzekł Jaś.

Uśmiechnął się pisarek.

— A zapewne — rzekł — ale mnie się przyzna opieka i rozporządzanie jej funduszem, właśnie z powodu ucieczki jej.

Chmurno Jaś spojrzał, ubodła go przyszłość siostry.

Sobocki tymczasem zagadywał zρέcznie:

— A masz ty papiery potrzebne?

— Mam, ale wprzód ułożyć się nam potrzeba, jak napiszemy.... ja téj opieki twojej nie chcę.

— No to i testamentu nie będzie — gorąco krzyknął Sobocki. — Co to ty myślisz: ja wam darmo będę piekł pieczeń? Muszę płacić, starać się, ryzykować na śledztwa, uchowaj Boże jakiego doniesienia, i po-

tém kłaniać się wam jeszcze.... o! co z tego to nie będzie!

— Chodźmy ztąd bo na nas patrzą — odparł Jaś — ułożymy punkta, umówimy się gdzieindziej.

I pociągnął go za sobą ku winiarni.

Sobocki wciąż był chmurny i zamyślony. Wszedłszy posłał zaraz po wino, ale nim rozpoczęli rozmowę i układy, twarz jego nagle skutkiem jakiejś wewnętrznej myśli rozjaśniła się, wypogodziła, oko błysnęło, zatarł ręce i siadł przy szwagrze inny zupełnie.

Jaś przypisywał to zbliżającej się butelce, przy której zaraz cicha zawiązała się rozprawa. Z wielkiem podziwieniem młodego chłopca, który się spodziewał oporu od szwagra, wszystko poszło jak po maśle. Przyjął on ochotnie punkta podane sobie; trochę się tylko jakby dla formy posprzeczał o opiekę i szafunek schedy żony i w tém nawet uległ bratu wymawiając sobie tylko jakiś mało znaczący legat.

— Terazie — rzekł kończąc — pokaż mi swoje dokumenta; może czego braknąć będzie? — zaczął chciwą wyciągając rękę.

Jaś dobił papiery, odcisk pieczętki wyraźny, podpisy i notaty. Wszystko to obejrzał szybko Sobocki, raz i drugi, podumał i schował do kieszeni.

— Zrobimy porządek i jak chcesz — rzekł — ale tego z palca nie wyłamać; potrzeba pieczętę robić i to nie tu, ale o mil kilkadziesiąt; trzeba wynaleźć przed rokiem zmarłych świadków i stary papier. Pojedziesz do domu, a ja ci gotową rzecz przyślę.

Jaś, nie zastanowiwszy się, spytał tylko czy to rychło być może, bo Kasztelanie ostatkiem gonił.

— Pośpieszym, pośpieszym! — rzekł Sobocki — już ja nie zmarudzę, za tydzień to będzie; przyjeżdż sam!

— Ja nie mogę, stary nie rychło mnie puści od siebie.... posyłać taką rzecz także niebezpiecznie....

— No! to ja ci sam przywiozę!

— Chyba tak, żeby cię nikt we dworze nie widział — rzekł Jaś. — Staniesz w karczmie niby przejezdny, przyjdiesz do mojego mieszkania.... i to w nocy....

— Dobrze, dobrze! damy sobie rady — zagadał Sobocki — a teraz zapijmy sprawę.

I nalał kieliszki, z którymi w rękę przesiedzieli do nocy. Podpiwszy kancelista co chwila poczynął narzekać na żonę; znać mu jęć ucieczka srodze dolegała, ale Jaś nie dawał się wynurzać i przerywał broniąc siostry.

Nocą już się rozeszli, bo Sobocki miał jeszcze kończyć robotę, którą pomimo upojenia do rana potrzebował przygotować. Jaś padł na łóżko i usnął.

Nazajutrz, po śniadaniu obfitem, młody chłopiec nie mając już co robić w miasteczku, a niespokojny i przemyślający o pięknych oczach pani Tryze, siadł na bryczkę i popędził do Strumienia.

Przybył jeszcze nim Kasztelanie odszedł do sypialni i śpieszył mu się zameldować, ale zląkł się wejrzenia, które na wstępie spotkało. Starzec uśmiechał się tak mściwie, tak szydersko, jak gdyby wiedział co się knuło, i pewien był, że z tego nic nie będzie.

— A cóż? — spytał — jeździło się Asindziejowi nie źle?

— Bardzo dobrze....

— Tandem, jak się ma przyjaciel, pan Sobocki?

— Jaś zadrzał, ale się nie zmieszał.

— To niegodny człowiek — odparł z uczuciem — przywiódł do tego Antosię, że od niego uciec musiała.

— Ps! ps! co mi Asan mówisz! uciekła! a to jęć do licha dojeść musiał. I dokądże to? może to jaki romansik?

— Niewiadomo dokąd, poszła z dzieckiem,

Wszyscy mówią, że niegodziwie się z nią obcho-
dził.

Jaś umyślnie nastawał jak widzimy na Sobockie-
go, żeby się stryjowi, który go nie lubił, przypochle-
bić, i wszelkie domysły współnictwa z nim obalić.

— O! bo też szubienica mu patrzy z oczów, temu
łotrowi — dodał Szambelan — a kto z kim prze-
staje, takim się staje, pamiętaj Waś, panie Janie....

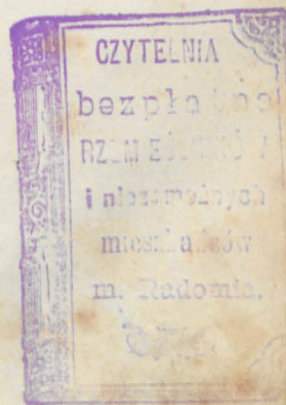
To mówiąc stary wziął za kłamekę od swego po-
koju i ze znaczącym na Jasia wejrzeniem wyszedł
powoli.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.



169^a

INTERESA FAMILIJNE.



1692

INTERESA
FAMILIJNE.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

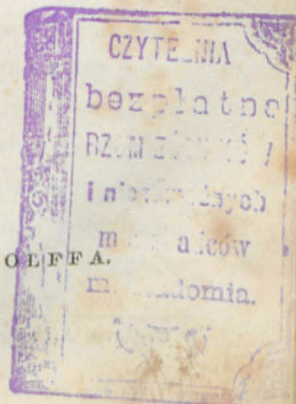
TOM IV.



PETERSBURG.

NAKŁADEM B. M. WOLFFA.

1853.



1001

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

W Warszawie, d. 5. (17.) Czerwca 1852. r.
Starszy Cenzor,
Radca Dworu, L. T. Triplin.

OLSKA MACIERZ SZKOŁY
Zola miasta Radomia



I.

W sypialni Kasztelanica paliły się dwie świece woskowe na stoliku; starzec siedział w krześle zamysłony, nie w zwykłym stroju wieczornym i czépku, ale w przepysznym szlafroku z litój wschodniej materyi, znać już nie nowym, ale jeszcze bardzo pokazywnym; włos jego starannie zaczesany białł od lekko narzuconego pudru; w całej postawie i przybraniu wydawała się jakaś zalotność, która dziwnie sprzeciwiała się wybladłemu licu, wpadłym policzkom, oczom zagasłym i zgrzybiałości, jaka teraz ogarniała nagle starego dworaka Stanisławowskiego.

Inter. Tom IV.

Kilka miesięcy wywarły na nim skutek lat kilku. Zdarza się często, że wstrzymana jakby starość, nagle potem opanowuje tych co się jęj oprzecz potrafil; lekka choroba, zmartwienie, wzruszenie, czasem drobna na pozór okoliczność sprowadza ją z sobą. Naówczas, ledwie dotknęła człowieka, z każdym dniem robi olbrzymie postępy, wszystko pęka, rozsypuje się, niszczy, co godzina opada z sił nieszczęśliwy, gaśnie, zamiera i w ostatku z życiem się rozstaje, nieopamiętawszy jak mu przyszedł ten zgon piorunowy. Tak właśnie działo się z Kasztelanem, któremu przybycie pani Tryze zadawało ten cios śmiertelny; rozdrażniony, schnął w oczach, pasował się z życiem, podbudzał je wszelkimi sposobami i środkami, któremi je myślał utrzymać, a te przygubiały go jeszcze.

Czuł on tę zmianę w sobie, ale nie przypuszczał, żeby mu groziła; przywykły sam się leczyć zawsze; oczekiwał od jutra polepszenia i nie tracił nadziei.

Otoczający go już widzieli na lieu jego wryty palec śmierci, gdy on jeszcze dalekie osnuwał zamiary.

Tego dnia gorzej był niż kiedy; krew często rzucała mu się do głowy, w piersiach czuł brak odde-

chu, i ciężkość kamienną, oczy zasłaniały się chwila mi tą błyskotliwą chorobną ciemnością, po której jakby grobowe jaśnieją świec płomyki; zimno i gorąco przebiegało po zdrętwiałem jego ciele, usta paliła gorączka, a myśl nawet, zawsze przytomna dotąd, zdawała się znużona ustawać, co chwilę snem olowianym przerywana.

We dnie nawet przy obiedzie, który dawniej całą jego przytomność wyzywał, zasypiał kilka razy, niespokojnie poglądając czy tego nie widzą i usiłując ukryć się przed oczyma przytomnych ze wzrastającą słabością.

W tej chwili Kasztelanie oczekiwał pani Tryze, która zwykła była o tej godzinie przynosić mu lemoniadę, strój jego dowodził, jak mu jeszcze chodziło o to, by się w jej oczach co najlepšíj pokazać.

Niespokojnie zwrócił kilkakroć oczy ku drzwiom do jej pokojów wiodącym, i chciał już chwycić za dzwonek stojący na brzegu stolika, gdy z lekka roztwarzała się szafka i piękna Ochmistrzyni ukazała się na progu, ze szklanką na malenkiej tacce srebrnej.

Ani Hebe piękniejszą być nie mogła, i nie dziw, że widok tego wdzięcznego zjawiska zdrętwiałego

starca zelektryzował. Podniosła się głowa, uśmiechnęły usta, zadrziała dłoń.

Pani Tryze, w białej muślinowej sukni, z włosami od niechcenia w wielki warkocz spletanymi, wsunęła się na palcach, wejrzeniem ognistém drażniąc nieszczęśliwego starca. Postawiła tackę przed nim, i właśnie gdy ją za śliczną, maluchną, białą rączkę chciał chwycić, usunęła się na bok żywo.

— A! moja królowo! — zawołał słabym i z trudem dożywającym się głosem Szambelan, — jakże jesteś okrutna?

— Ja! okrutna! — śmiejąc się sparta opodał na stoliczku odparła kobieta, — powiedz Pan raczén zbyt posłuszna.... Wszak nie powinabym przychodzić tu o tój porze, kiedy jak widzę, widok mój zawsze Pana zbyt niepokoi.... zapewne wspomnieniem. I uśmiechnęła się znacząco.

— Dajże mi pokój Asindzka z tém wspomnieniem, — z nieukontentowaniem odpowiedział Kasztelaniec, — co za wspomnienie!

— Już ci nie mogę przypuścić, byś Pan tak rychło starych przyjaciół zabywał!

— Przyjacioł! — szydersko rzekł Szambelan.

— A choćby i przyjaciółek! — dodała pani Tryze.

— No! no! dajmy temu pokój królowo — wdzięcząc się i modląc rzekł starzec, — chodź lepiej, zbliż się i daj mi choć tę śliczną rączkę ucałować.

Kobięta spojrzała na swoje ręce.

— Doprawdy, — rzekła — nie są bo tak piękne. I to mówiąc pokazywała je na wszystkie strony, obracając to różowemi dłońmi, to bieluchną i pulchną powierzchnią.

Oczy starca wlepiły się w nie z wyrazem satyra chciał się podnieść ażeby się zbliżyć ku niej, lecz nogi mu odmówiły posługi; upadł bezsilny. Tylko zimny pot wysilenia okrył zbielełą martwą skroń jego.

Smutno skrzywiły się uśmiechem jakiejś litości usta kobiety, westchnęła, zakryła twarz na chwilę, otrzęsa się z jakiegoś wspomnienia czy myśli, i znów przybrała minę wesołą.

Szambelan był przelekły.... pochylił się na fotel; i zdawał liczyć bicia serca, które żywo gnało ostatkiem życia.

Ochłonął przecie, podniósł się, uśmiechnął, zasępił, walczył z sobą widocznie.

— Czy zawsze myślisz tak Pani być skąpą dla mnie? — zapytał.

— O! o! na pańskie lata i tego co masz za nadto,

powinienbyś oczy zakrywać! Gdzież to kto widział, żeby w tym wieku jeszcze myśleć o kochaniu....

— Serce nie starzeje! — rzekł Kasztelanic galancko.

— A miałeś Pan je kiedy? — spytała pani Tryze.

— O! już żarty!

— Dowiedziona rzecz, że na noc żarty niewinne robią skutek chłodzący i lekko narkotyczny! — żywo śmiejąc się odpowiedziała kobieta.

— Nie na mnie przynajmniej! — chmurno rzekł stary.

— Pan je lubisz, gdy sam szafujesz niemi, nieprawdaż? nie cierpisz gdy drudzy?

— To być może; nie taję się z tém, że jestem egoistą, gdy drudzy lubią grać komedye poświęceń...

— Nie biozę tego do siebie, — przerwała pani Tryze, — wszak nigdy nie mówię o poświęceniach? nieprawdaż?

— I poświęcić się też nie chcesz?

— Nie mam wielkiej ochoty, przynajmniej w tej chwili.

— No! tylko rączkę, tylko raz rączkę pocałować! — prosił Kasztelanic.

— Nie warto tego, nie warto! to ręka służi?

— Warta berła!

— Chcesz mnie Pan wziąć pochlebstwem? przestrzegam, że się to nie uda. Tylem ich w życiu słyszała, że na mnie najmniejszego skutku nie robią.

— A cóż na Pani robi skutek?

— Naturalnie młodość i miłość wdzięk i uczucie!

Kasztelanic się zachmurzył.

— A więc? — dodał.

— Doprawdy, chyba nie.

— Nic, nic.

— Nawet to co wszystkich ludzi pociąga? złoto, mienie.... dary....

Pani Tryze spojrzała figlarnie, zalotnie w same oczy starcowi, aż zadrżał, pomyślała niby uważnie, jak gdyby sama siebie jeszcze nie znając badała, i powoli odezwała się:

— Złoto! dary! masz że Pan tyle złota żeby kupić serce?

— Serce! — uśmiechnął się stary szydząc.

— No! — choćy wolę! — odparła kobieta.

— A jak myślicie? — wieleżby go na to potrzeba?

Niewytłomaczone jakieś uczucie poruszyło tajemniczą kobietą; rzekłbyś że raj przesunął się przed jej oczyma, tak rozjaśniły się jej oczy, tak cała rozpromieniała jakąś nadzieją.

— Potrzebaby go wiele! — o i wiele! — tyle ile dwojgu ludziom na całe życie szczęścia! zapomnienia! zapłaty za cierpienie, za upokorzenia, za kał w którym żyli i błoto którego dotknęli...

Starzec z tych słów wyrzeczonych nadzwyczaj gwałtownie dosłyszał tylko i zrozumiał — wiele: i powtórzył pytanie — Wiele?

— O! rachować nie umiem! — spadając z jakichś marzeń zawołała smutnie kobieta.

— Ja będę rachmistrzem, — rzekł starzec, — liczymy na złoto....

Ona milczała pośepnie, prawie rozpaczliwie.

— Tysiąc? — ciągnął dalej Kasztelan.

— O! próżna byłaby rachuba! — przerwała mu pani Tryze, — nie wszystko i nie wszystkich kupić można!

— To zależy od ceny! — cynicznie rzekł znowu stary. — Tysiąc za pocałowanie twój rączki.

— Jak Panu łatwo liczyć tysiące! a ludzie mówią że trudno, bardzo trudno rozstać się z niemi....

Kasztelanie spojrzał na nią gniewnie.

— Powiedz że mi pani, — zawołał zmieniając głos, aż kobieta wzdrygnęła się z przestachu, — do czego ta cała komedia, po co te ze mną ceremonie? Roli kochanka grać nie umiem....

— Ja też jej nie wymagam, — dumnie odpowiedziała pani Tryze okryta rumieńcem cała. — Służę Panu bom sługa, i życzę dobrej nocy, bo godzina snu wybiła, a godziny zapomnieć się nie godzi dla kapryśnej kobiety.

To mówiąc zakręciła się zwinnie, lekko, jakby chciała jeszcze starca podrażnić otworzyła drzwi, spojrzała z za nich na niego z wyrazem litości i sztyderstwa razem i znikła.

Kasztelanie pobladł z gniewu, zatrząsł się, zaciął usta, chciał powstać, nie mógł, zdrętwienie dziwne od nóg szło mu do serca powolnie, ręce okryły się potem zimnym, oczy zazłoniły siecią czarną, język skołowaciał w ustach.... Chciał krzyknąć, nie miał głosu, chciał odetchnąć, zabrakło powietrza, poruszyć się, żelazne ścisnęły go pęta.... Nagle jakby uderzenie młota uczył na głowie, konwulsyjnie zadrział i spadł z krzesła.

Dusza grzeszna już była przed sądem Bożym, nio-

sąc żywot swój cały, łupiny tylko suche, z tego dnia pracy straconego....

Straszny był widok tego pokoju, w którym wszystko jeszcze przypominało życie, gdy w nim śmierć już mieszkala.... Cisza była w domu całym.... Służba drzemiąca czekała rozkazów pana, co się już nie miał przebudzić; Puślikowski przysłuchiwał się dzwonkowi, i dopilnować go nie mógł, świece płonęły na stoliku powolnie, zegar wybijał kwadranse i godziny nie liczone, a szelest kbiécój sukni, co znikła przed chwilą za drzwiczkami, jeszcze zdaje się przebiegał powietrze.

Z tego życia czczego została garść ziemi, którą już toczył robak powolnego zniszczenia, trochę uczuć obudzonych nią po świecie, co wkrótce miał ich zapomnieć — trochę wspomnień zapracowanych mozolnie a ciężkich jak przekleństwa, i — nic więcej. Dusza musiała, upokorzona swą niewolą, wyrwać się z téj powłoki, co ją w tak ciężkie i sromotne okuła kajdany, wleciała, oczyścić się może, może umrzeć na wieki ze wstydu i zgryzoty....

Pierwszym co wszedł do pokoju Kasztelanica był Puślikowski, który ostrożnie drzwi uchylił późną usłyszawszy godzinę i obaczywszy leżącego starca

krzyku narobił. W jednej chwili, co żyło w domu porwało się na nogi, zamieszanie, wrzask, wołanie o ratunek, wrzawa straszna powstała do koła.... doszły aż do oficyny, gdzie Jaś spokojnie swoje nadzieje rozrachowywał.

— Kasztelanic nie żyje! pan umarł! — krzyczeli ludzie, rozbiegając się po dziedzińcu i po wsi.

W początku, niezrozumiawszy wrzasku który ją dochodził, pani Tryze, trefiaca na noc włosy przed zwierciadłem, wpadła na myśl że się pali, i nieprzytomna wbiegła do pokoju Kasztelanica.

Widok jaki tu spotkała, przeraził ją piorunowo — stanęła, osłupiałym potoczyła wzrokiem, okropny krzyk wyrwał się z jéj piersi, rzuciła się nazad do drzwi i poczęła uciekać.... Jak obłąkana przebiegła dziedziniec, puściła się drogą, i wśród nocy biegnąc bez kierunku, świeciła długo białą swą suknią, póki nie znikła w ciemnościach.

Jaś tymczasem zdyszany leciał już ku dworowi, niewiedząc sam co począć, bo testamentu w rękę jeszcze nie miał; śmierć ta nie tyle go przerażała, ile nieprzygotowanie i to co pociągnąć miała za sobą. On już rachował, układał, spieszył żeby z niej korzystać.

Wszakże widok tego nagłego przejścia z życia do śmierci i to nieczule dziecię poruszył, jakiś przestach go ogarnął, wzdrygnął się na progu, zastanowił i wahał z wniściem do pokoju, w którym już zdaje się słyhać było kadzidła pogrzebowe. Po za nim skupiony dwór cały stał, nieśmiejąc przestąpić progu z ciekawością i bojaźnią. Jasiowi najwięcej chodziło o wczesne opanowanie klucza od tajemniczego pokoju stryja, który Kasztelaniec zwykle przy sobie nosił; przyszedł mu na myśl w tej chwili, wzdrygnął się jednak na to, żeby go martwemu wydzierać. W miarę jak się z widokiem tym oswajał wszakże, konieczność posiadania klucza coraz mu się okazywała widoczniejszą, skinął na Puślikowskiego żeby drzwi zamknął i zostawszy z nim sam na sam w obec trupa, zbliżył się po ów klucz od skarbcu.

Sługa poglądał na to z jakimś rozmysłem poważnym, nierozumiejąc znaczenia.

Nie bez drżenia ręka synowca dotknęła zwłok nieboszczyka, które musiała poruszyć, by ów klucz wyszukać.... Znalazł się w zastyglój dłoni Kasztelanica, instynktowo pochwycony zapewne w chwili zgonu, ale palce trzymały silnie... Jaś rozdział je oburącz chwyciwszy i nie bez wstrętu wyrwał zimne żelazo, które zaraz schował skrzętnie.

Obejrzał się potem po pokoju, jak gdyby szukał co chwycić jeszcze, gdy Puślikowski odezwał się z zimną krwią doświadczonego:

— Nieboszczyka potrzeba wynieść gdzieindziej, a pokoje opieczętować....

— Opieczętować? — spytał Jaś z rodzajem obłąkania.

— Tak jest, przy świadkach; inaczej wszyscy odpowiedzialni być mogą, jeśli co zginie.

Jaś zamyslił się, chciał zaraz iść do pokoju zamkniętego i chwycić z niego co było można. Posunął się krokiem ku drzwiom.

— Dokąd to? proszę Pana? — spytał Puślikowski.

— A tobie co do tego? — odparł dumnie młody chłopiec.

— Mnie? — prostując się rzekł sługa — mnie najbardziej do tego, żeby wszystko było w całości i nietknięte, bo sługę najprędzej posądzą, a mnie moja pocziwa sława droga!

— Ale ja jestem dziedzicem....

— To być może, — odparł pokornie ale stale Puślikowski, — więc Panu wszystko jedno, dziś czy jutro objąć....

— Co to jest? — ofuknął się Jaś — ty mi myślisz prawa tu przepisywać?

— Prawo nie ja przepisuję — rzekł powolnie niezmieszany kamerdyner — prawo jest samo sobą, a że Pan go nie znasz.... to nie jego wina.... to się z wiekiem nabywa.

Po chwili zastanowienia Jaś odstąpił ode drzwi, rozkazał wynosić ciało stryja i zapowiedział że opieczętują jego pokoje.

Ludzie przyszli, martwe zwłoki w pobliskiej sali złożone zostały, a Puślikowski, niepuszczając z oka Jaśka, wezwawszy Bulwy, natychmiast pokojów nieboszczyka drzwi i okna popieczętował....

Ledwie się to stało, gdy chłopak Jasia zawołał go do oficyny.... z powodu przybycia jakiegoś nieznanego. Chociaż we dworze wiele do czynienia pozostawało, domyślając się jednak przyjazdu Sobockiego i testamentu, Jasiek pospieszył do oficyny.

W jego pokoiku na sofie leżał świszcząc kancelista, zdający się, pomimo nowiny jaka go spotkała na progu, w najlepszym humorze, na którego rozjaśnienie wpływała nie mało kminkówka, dająca się czuć po całej stancyjce.

Jaś wleciał przerażony, obłąkany prawie.

— A co? kaput! — powitał go Sobocki.... poszedł stryjaszek na ciepłe piwko do Abrahama?

— Nie czas żartować! — ofuknął się szwagier.

— E! bo też ja nie z żartami przybyłem jak myślisz! — odparł gość siadając. — Potrzeba radzić i robić? Wiesz, czy jest testament?

— Nic nie wiem, ten bestya Puslikowski...

— Co? skarżysz się na niego!

— A jakże! gdyby nie on, byłbym dotąd o wszystkim wiedział! Mam klucz od pokoju Kasztelanica, ale mi do niego wejść nie dał, i dopilnował że wszystko opieczętowano....

— Jakto? Puślikowski....

— On! Ale gdzież masz testament?

Sobocki uderzył się po bocznój kieszeni surduta.

— Dawajże mi go, niech przeczytam....

— Opieczętowany — zimno odparł Kancelista.

— A! to najmniejsza, mam prawdziwą pieczęć to ją przyłożym na nowo.

— Ale pieczęci świadków?

— A tych ty musisz mieć formy?

— Albow ja głupi wozic je z sobą i chować? — zaśmiał się Sobocki, — a na cóż ci czytać? Testament napisany jak chciałeś!

tracąc czasu dać znać urzędownie o śmierci nagłej do sądu, rozesłać do całej rodziny wiadomość.

— Po co? — spytał Jaś.

— Właśnie dlatego, że nie ma po co, to trzeba ich tu sprowadzić, — śmiejąc się szydersko rzekł Sobocki, — alboż ty wiesz co jest w testamencie?

— Prawda!

— Trzeba ci odegrać rolę do końca jak należy... wezwiesz i mnie, a raczej Antosię.

— Ale.... znalazłeś ją?

— Gdzie tam, ani słychu! Może dopiero dowiedziawszy się o testamencie powróci do mnie.

To mówiąc Sobocki wdział palto i płaszcz, zapalił drugie cygaro, oddał testament Jasiowi, a sam ścisnąwszy go za rękę, po cichu wymknął się za drzwi.

Jaś podumał chwilę patrząc na tajemnicze pismo, obwarowane pieczęciami, które los jego zawierało w sobie; wielką miał chętkę je otworzyć, ale niepodobieństwo wstrzymało ciekawość; ukrył je w zana-dru i pobiegł do dworu zamknąć w biurku Kasztelanica.

Puślikowski, który się krzątał około domowego porządku i ciała, nie dojrzał jak Jasiek wcisnął się do pokoju, otworzył biurko, odsunął szufladkę i rzucił w nią testament.

To dopiero spełniwszy, młody chłopak przypomniał sobie panią Tryze i pośpieszył do jej pokoju.... ale w nim nie znalazł nikogo. Nikt nie widział kiedy i dokąd wyszła, co się z nią stało....

Ta wiadomość przejęła go żywo, dziwne podejrzenia zbudziły się w głowie, która wszystko przypuścić i była gotowa, bo sama do wszystkiego była zdolną. Poleciał do Puślikowskiego.

— Co się stało z panią Tryze?

— Chwilą przed śmiercią Kasztelanica była u niego, słyszałem jak wyszła, — odpowiedział sługa, — nie rychło potem dał się słyszeć sztukot, który jak teraz wnoszę, musiał znaczyć upadnięcie ciała.

— Nie było słyhać żadnego krzyku?

— Żadnego?

Jaś się głęboko zamyślił, i dwóch ludzi wysłał szukać zbiegłej, którą teraz więcej niż kiedy pragnął mieć w ręku.

II.

W Horoszkach wiele się rzeczy zmieniło od czasu gdyśmy je widzieli, w chwili bytności pana Piotra; odwiedziny te były dla Hieronimostwa stanowcze. Dwóch synów wziął im stryj ażeby ich kosztem swoim umieścić w najlepszej szkole, jaką znalazł pod najtroskliwszą opieką. Staś w powrocie do Zrębów ciągle ojca męczył swoim uwielbieniem wszystkiego w powszechności co widział w Horoszkach, szczególnie się unosząc nad śliczną Zośką, która go oczarowała. W końcu razem jakoś i o swojej podróży za granicę i o Zośce mówić zaczął, nagle jakby czy-

niać wniosek, żeby się siostry zajęły wychowaniem Zośki.

Pan Piotr łagodnie uśmiechnął się na to.

— Ale moje serce — rzekł do niego — Zośka już poczynąć wychowania nie może, bo to dla niej zapóźno....

— O! mój ojczu, dla niej roku dosyć, żeby prześcignęła te co od lat kilku ją wyprzedziły!

— Widzę żeś w szczególniejszej dla niej admiracyi — odparł ojciec. Staś się zarumienił.

— Ale mój ojczu, nie byłożby to dobrze, żeby Józia, Marya i Horcia, które doprawdy nie mają się czém w domu zająć, wzięły ubogą kuzynkę i pomogły jej wychowaniu.

— Myślisz widzę Stasiu — przerwał pan Piotr — że Zośce czegoś więcej potrzeba nad to co już nabyła? W tém się mocno mylisz. Dla ubogiej jak ona szlachcianeczki, która nie będzie miała posagu, lub bardzo małego tylko, wychowanie piękniejsze byłoby prawdziwą klęską. Z nią się ożenić nie może chyba ubogi jak ona, temu przedewszystkiém potrzebna będzie żona rządną, gospodyni i kobieta coby mu darmo chleba nie jadła. Z fortepianu, śpiewu i francuzczyzny rychléjby skwitował, niżby się za

niemi upędzał; toby nawet pretendentów odstraszać mogło i być jój zawodą do losu.

— Dla czegoż ojciec nie przypuszcza, żeby się z nią ktoś bogatszy mógł ożenić? — zapytał Staś spuszczać oczy.

— Dlatego, że niezwykle nigdy rachować na przypadki, ale przyszłość skrutując, liczę na to co zwyklesze.... taka kalkulacja najmiń myli.

— Może ja nie mam słuszności, ale mi się zdaje że Zośka stworzona jest na coś lepszego niżeli kluźnicowanie, — markotno szepnął Staś.

— Zresztą — dodał ojciec — nie wiem, i wątpię żeby rodzice chcieli ją oddać: ona jest matce pomocą wielką w domu, pociechą ojcu; to co by się nam zdawało dla nich dobrodziejstwem, im mogłoby ciężć jak tyrania! Mamyż prawo narzucać im swoje projekta?

— Ale możeby oni temu byli radzi?

— Bardzo wątpię!

— Co do mnie, ja mój wniosek muszę siostróm i mamie przełożyć, może się one go chwycą.

— Ale cóż cię tak los Zośki obchodzi?

— Tak, żal mi téj dziewczynki, że się to na wsi zmarnuje....

— Bardzoś młody Stasiu — odpowiedział z westchnieniem pan Piotr. — Kto wie jeszcze na jakim stopniu społeczności ludzie i kobiety lepiej celowi swemu odpowiadają? Czy tam gdzie niewiasta jest wystrojoną lalką z rozdrażnionemi uczuciami, rozognioném sercem i wyobraźnią, czy gdzie ją kształcą na poważną a pracowitą życia towarzyszkę? Kto wie czy trochę więcej umieć, trochę więcej chcieć, a mniej może czuć w istocie i mniej znajdować szczęścia w rzeczywistości, jest dobrem dla kobiety i dla tych, których ona los dzieli... Niziej od nas stoją dziś staroświeckie matron typy, które nowa cywilizacya francuska zepchnęła. Możeby nam nie wyciągać tych co tam stanęli losem, ale się ku nim zbliżyć lepiej? To co ty żadasz dla pocziwój Zośki, nie wieleby się jój przydało, a wszystko odjąć mogło; wystaw ją sobie wracającą do ubogiego domu z rozkołysaną główką, z żądzą zabawy i wytworu, co ona tam pocznie?

Staś się zadumał.

— Ale mój ojciec — rzekł po chwili — ja bo nie widzę konieczności żeby Zośka w tym stanie całe życie pozostać miała. Tak śliczniuchna, tak pocziwa, tak miła, trudno przypuścić żeby się niepodo-

dobala komuś co potrafi ją ocenić, a zdaje mi się, że w tém kole co ją otacza takiego kogoś nie znajdzie.

Jakkolwiek Staś udawał zupełnie obojętnego, nie uszło oka ojca, że go Zośka do zbytku obchodziła; wolał jednak przezornie nie pokazać po sobie, że się czegokolwiek domyślał i przed żoną nawet nie o tém nie wspomniał.

Powróciwszy do Zrębów, Staś intrygant udał się ze swoją myślą do sióstr i matki, począł od malowania im w najwdzięczniejszych barwach ubogiego dworku i miłej rodziny Hieronimostwa, a nie trudno mu było ze wszystkich potworzyć ideały. Matka przywykła widzieć świat przez oczy ubóstwianych dzieci, a osobliwie Stasia, rozkochała się w Horoszkach; Józefa, Marya i Horcia poklaskiwały myśli brata żeby Zośkę zabrać do Zrębów, i już wcześniej tak ułożyły między sobą, że z kolei byłyby ją uczyły tego co każda z nich umiała najlepiej. A jak marzyły! jak się radowały z téj nowój przyjaciółki, towarzyski, z tego nowego żywiołu w domu, któryby nadał jakiś cel ich zajęciom i pracy znaczenie. Matka choć podzielała uczucia córek i syna, z ręcznie przez siostry więcj niż wprost działającego, zastanawiała

się jednak nad jedną tylko rzeczą. Staś i pan Piotr jednozgodnie świadczyli o nadzwyczajnej piękności Zosi; jakkolwiek śliczne były trzy córki Maryi, ona się obawiała piękniejszej towarzyski, co by ich wdzięki zgasła. Przedewszystkiém matka lękała się wprowadzić do domu kuzynki, co by mogła odwrócić młodzież ku sobie mimowolnie, chociażby nie była zalotną.

To jedno wstrzymywało ją tylko od zażądania Zosi. Pan Piotr także kilka swojemi uwagami dał jój nieco do myślenia. Ale Staś pracował po cichu, a że sam wyjeżdżał za granicę i nie mógł być posądzony żeby to czynił dla zbliżenia jój do siebie, gorliwiej jeszcze siostry podbudzał i dokazał tego, że w końcu pani Piotrowa z Józią, Maryą i Hortensyą, postanowiła pojechać do Hieronimostwa.

Nie chcę opisywać szczegółowie tych odwiedzin, które państwa Pawłów oboje omal nie przypawiły o żółtaczkę; była wprawdzie pani Piotrowa i u nich chwilowo, z ceremonialną wizytą po obiedzie, ale dowiedziawszy się że dni kilka bawi u Hieronimów, i że Zosię bierze, tylko że nie poszaleli z zazdrości. Zosia podobała się niezmiernie prostotą swoją matce Stasia,

dla niej i jej córek był to typ nieznany, przesłiczny, coś w sobie anielskiego mający.

Piękność nawet Zosi, która w oczach uprzedzonej matki nie tak się wielką zdała jak ją opisywano, nie stanęła na przeszkodzie projektom poddanym przez Stasia. Hieronimostwo ani się spodziewali nic podobnego, gdy trzeciego dnia chodząc po małym ogródku z matką, pani Piotrowa powiedziała jej, że ma do niej wielką prośbę. Zdziwiło to Konstancję, a serce jej zabiło żywo gdy się dowiedziała o co chodzi. Łzy zakręciły się jej w oczach, wdzięczność przeszła duszę, ale sama nie wiedziała co postanowić i odwołała się do męża.

Panny tymczasem buntowały Zosię jak mogły, ale tu szło im ciężko, dzika trochę dziecina co nie miała w życiu przyjaciółki, której Petra dumna nigdy nie oddała ukłonu nawet, nie odważyła się w początku przystać do tych ślicznych kuzynek, które ją tak wabiły do siebie. Gdy się dowiedziała o projekcie, zakrzyknęła że matki i ojca opuścić nie może, łzy nawet potoczyły się z jej oczek.

Wieczorem oboje małżonkowie zeszli się radzić, a że dla Zosi był to los prawie taka opieka, nie mogli odmówić dla niej. Bolesnie było matce odłączać

się od swój drogiej pomocnicy, smutno myślał ojciec jak opustoszeje domek, gdy srebrny jej głos w nim się odzywać nie będzie; ale wszystko poświęcali ochotnie dla przyszłości dziecięcia!

Jeszcze radzili smutni nad sobą, już uradziwszy o Zosi, gdy ona weszła do ich pokoiku i upadła im do nóg. — Ojcie, matko, — odezwała się, — nie od dawajcie mnie nigdzie — zawołała po cichu ledwie dosłyszczanym głosem — ja wiem o czém myślicie... ale ja nie chcę was opuścić, nigdy, nigdy!

— Moje dziecię drogie, — odezwała się matka chwytając ją w objęcia drżące, — czyż ty pomyśleć mogłaś żebyśmy chętnie z tobą się rozstali? Z naszej strony to ofiara, ale ofiara dla twojej przyszłości!

— A kiedy ja inną nie chcę, tylko żyć przy was i służyć wam zawsze....

— To być nie może — przerwał ojciec — my nie wieczni, Zosiu, i ty nie możesz żyć tylko dla nas.

— Tylko dla was! tylko dla was! — łkając odezwała się Zosia.

Długo, długo potrzeba ją było namawiać i niemal zmusić, żeby się choć na czas krótki pozwoiliła zabrać do Zrębów. Czułe zabiegi Józ i Maryi, przyjaźń serdeczniejsza Horci, najmłodszej, rozkaz rodzi-

ców, skłoniły ją nareszcie. Ale odjechała smutna, płacząca i gdy ję z oczów znikł ten domek, którego progu nie opuszczała nigdy jeszcze, jakaś tęsknota opanowała ją, ścisnęła serce i już nie rzuciła na chwilę.

Z macierzyńską troskliwością chodzili koło niej wszyscy; zabawiano ją, byli momenta uśmiechu, ale myśl o rodzicach tkwiła w niej tak żywo, że codzien przy modlitwie strumieniem łez się zalewała. Najdrobniejszą pamiątką, stare sukienki, zeschłe kwiatki, wszystko co ję przypominało Horoszkę, było dla niej relikwią.

A! ale i bez niej tam ciężko wytrwać było. Chłopcy polecili wesoło do szkół, Zośka odjechała do Zrębów, zostało jedno tylko dziewczę przy matce, i to osierocone posmutniało. Bez tego dzieciniego szczebiotu, bez hałasu ich, rodzicom było jak w pustce. Oboje sposepniali, kryjąc wzajemnie przed sobą dojmującą im boleść. I nikogo, nikogo im tak żal nie było, nikogo tyle nie brakło co Zośki, w każdym kątku coś ją przypominało: głos ję brzmiał w uszach wśród milczenia, uśmiech krążył przed oczyma i wywoływał łzy. Nawet ludzie otaczający Hieronimostwo, Hapka wierna, wzdychali i stękali po panience,

krzywili się niepojmując po co ją rodzice oddali na cudze ręce.

Smutno, doprawdy smutno było w Horoszkach.

Są bo istoty promieniejące życiem, co w koło siebie rozlewają je, bez których ciemno i chłodno, a taką była Zośka, której uśmiech wystarczał na rozpogodzenie wszystkich twarzy; bo w uśmiechu jaśniała anielska, piękna duszyczka, pełna miłości, pokory, prostoty, dojrzała modlitwą a pracą.

Bytność pani Piotrowej, zabranie Zosi, niesłuchanie oburzyły Pawłów, którzy po cichu zazdroszcząc braterstwu, głośno z nich się śmieli i szydzili, a opieka jakiej doznali świeżo, do reszty poróżniła ich z sobą. Dwór i domek już się nie łączyły z sobą, a tysiące drobnostek zajęły braci.

— Co, ja — mówiła żywo Pawłowa do męża — gdybym była najuboższa, słowo honoru! nie rozpośażałabym tak dzieci, na cudzą łaskę, za oczy oddając!

— Serce matki! serce matki! — czule dodała panna Hiacynta.

— Tak jest — podchwyciła Julia — ta kobieta nie ma serca.... Wolalabym nędzę największą niż wyrzeczenie się dziecka.... A zresztą, czego tam to

czupiradło nauczą? Jeszcze się śliczniej uśmiechać i wdzięczyc? Ona to i tak dość dobrze umiała! O! o! czemu nasza Petra tak się nie podoba każdemu? bo umie swoją godność utrzymać!

Obejrzała się matka, wszyscy poklaskiwali, nawet pan Paweł dodał:

— Żle to się wszystko skończy! zobaczycie państwo! Uważałem już że Stasiak poczynał bałamucić Zosię tutaj, do reszty ją rozromansuje w Zrębach i.... nie ręczę do czego to przyjdzie! — Chrząknął. — A że się żenić nie pozwolą, to nie!

Rozmowa ciągnęła się tak długo i niemal codziennie z jakiegoś powodu przypominano Hieronimostwo, żeby sobie z nich szydzić i urągać ich biedzie.

Paweł nawet na chwilę był zapomniiał o Kasztelanicy i spadku oczekiwanym, zajęty powodzeniem brata, które go niemal gryzło; przypisywał on to opiece Dziadunia i niewiele się mylił.

Stary pan Antoni, któremu Paweł pierwszy oznajmił o wszystkiém, odezwał się radując wielce z umieszczenia synów Hieronima i córki; to było powodem pani Antoniowej do utrzymywania, iż zrobiono najgorzej oddając wnuki na cudze ręce. Swoim zwyczajem Antoniostwo pokłócili się o to żywo, i trwał

spór tak długo, aż coś nowego dostarczyło do niego świeżego materiału.

Zosia tymczasem pojętna, potulna, zaskarbiła sobie serce wszystkich. Pan Piotr nawet, co się najtężej bronił, uprzedzony przeciwko niej, bo ją posądził mimowolnie o trochę zalotności, wkrótce tak się uczuł schwycony za serce, że aż sobie wyrzucał, iż ją niemal na równi z własnymi dziećmi kochał. Co się tycze Maryi, ta zlała na nią uczucia matki, w które tak bogato uposażone było poczciwe jej serce, a panny byłyby popsuley Zośkę pieścizotami, gdyby anioła zepsuć można.

Wszystko to wszakże nie rozweselało wygnanki, która uśmiech kładła na usta jak sukienkę, żeby z nim wdzięczniej pokazać się tym, dla których czuła przywiązanie, ale w sercu chowała smutek i nieuleczoną tęsknotę za swoim domkiem, za swymi bliższymi. Dostatek co ją otaczał, przyjemności któremi ją rozerwać się starano, zabawy, wytchnienie po ciężkiej pracy, co tylko było nowego dla niej w Zrębach, nie przylegało do serca. Czarny chleba kawałek schwytyany ukradkiem, prosta jakaś potrawa dom przypominająca, słówko czasem w rozmowie, wywoływały łzę zawsze gotową wytrysnąć z pełnego łez serca.

To życie nowe zdawało się jęj obcém, nie swo-
jém, nie naturalném, z roskoszà byłąby się do da-
wnego wróciła, a każdy sen okazywał jęj dworek
w Horoszkach i stare jego szumiące drzewa i dro-
bnych rozmiarów ogródek, gdzieś z daleka swe ga-
łęzie wyciągający aż ku nięj. Budziła się wzruszona,
rozplakana i przypominała, że nie jest w domu, że
nierychło do swęj spokojnej ukochanej zaciszy po-
wróci.

Nauki szły z zabawą razem, żywo, łatwo; i nie-
dziw, Zosia chciała co prędzej pochwycić je, by
z niemi nazad uciec do ojca i matki. Staś tylko kilka
dni przebył w Zrębach z Zosią razem, a że mu o to
szło bardzo, żeby nie dostrzeżono jego uczuć, krył
się z niemi tak skrzętnie, iż bacniejsze oczy byłyby
w tym przymusie obojętności dopatrzyły się przy-
wiązania. Nareszcie opuścił dom rodzicielski z to-
warzyszem swym razem, wiozącym pod pachą nie-
odstępne rozmowy Platona, i puścił się w podróż po
Europie, mającà dopełnić wstępu do życia prakty-
cznego, a poprzedzić wnijsie jego w życie samo-
istniejsze obowiązków i odpowiedzialności.



III.

Wróćmy się teraz do pana Samuela, któregośmy
opuścili razem z Rotmistrzem wychodzącego pieszo
ze Strumienia, niewiedzącego dokąd się udać, ale
z silną wolą niepowrócenia już nigdy do Kasztela-
nica. Szedł on tak w ponurém milczeniu, z głową
schyloną, aż do pierwszej wioski; a że pieszo nie
zwykł był podróżować i uczucie zalegało mu piersi,
musiał tu zaraz spocząć pod krzyżem, usiadłszy na
ziemi. Syn z najzimniejszą krwią znosił tę niedolę,
nie śmiał dum przerwać staremu ojcu, ale sam palił
fajkę obojętny i nieraz schwytał za dubeltówkę przy-
mierzając się do przelatujących ptaków. Obaczywszy

ojca tak osłabionym i znużonym, pan Rotmistrz pomyślał o najęciu podwody. i po cichu zapytał Samuela, dokąd się udać życzę.

— Gdziekolwiek! gdziekolwiek! — odparł z goryczą stary — byle głowę przytulić w jakim kącie gdziebyśmy nie byli na łasce niczyj. Moja pensyjka, Waścin grosz maleńki, na chleb i tytoń wystarczają; kaptura dosłuży mi do trumny..... dość tego — obejdzem się bez łaski cudzej i chleba cudzego! Będziemy cierpieć godnie i milczeć jak na nas przystało.

— Ależ ojciec dobrodzieju — odparł Rotmistrz, któremu zupełnie wybór miejsca był obojętnym — możeby wygodniej nam gdzieś mogło być u krewnych?

— Daj mi pokój z rodziną i krewnymi! obruszył się żywo stary — niechcę ich znać, nie chcę ich łaski — nikogo! nikogo! Pojadę do miasteczka, osiadę przy kościele....

— A zatem — odezwał się syn — najem furę do najbliższego miasteczka....

— Tak! dokąd chcesz, byle kąt, byle chata!

Rotmistrz poszedł na wieś i wkrótce powrócił z najętym chłopkiem, który wóz dobrze słomą i siano wypchawszy, cztery dzielne koniki popędzał.

Pan Samuel, uśmiechając się ze swęj niedoli, siadł z synem na furę i tak ruszyli ze Strumienia uciekając. Ale że i dzień był krótki i wiele czasu stracono na wyszukanie koni i droga jesienna była rozbłocona, nie mogli tego dnia dojechać na miejsce. Przed mrokiem samym Rotmistrz ujrzał zdala na drodze wózek, którego dzielny koń ciągnął powoli po błocie; poznał siedzącego na nim dziadunia, który otuliwszy się burką i leżąc rzuciwszy, na ogromnym różaniecu modląc się, ciągnął po swojemu gdzieś w daleką wędrówkę do świeżego kąta.

— Wszak to pan Dymitr Palucki? — odezwał się wychylając i przypatrując.

— A to on — rzekł pan Samuel.

— Dalibóg on!....

— Dziadunio! on! on niezawodnie.

— Stój! stój!

Zajęty modlitwą nierychło obejrzał się dziadunio na mijającą go furę, a poznawszy pana Samuela, zastanowiwszy się, nie wprzód rozpoczął rozmowę, aż modlitwę skończył. Dopiero różaniec do torebki borsuczaj, która w nogach spoczywała, włożywszy, stary różnie z wózka zeskoczył.

— Jak się macie — rzekł — i co tu porabiacie?

— A dziadunio tak dokąd — spytał Rotmistrz.

— Ja! ot! jadę na odpust do Kustynia... trzeba za stare grzechy pokutować — odpowiedział pan Dymitr. *Koza ne chce na torh, a jeje wedut* (1), tak i mnie do Bernardynów grzechy moje; boć to nie roskosz odpust tłumny staremu. Potém chcę wstąpić, choć z drogi, do mojego towarzysza w kawalerji, Paciorkowskiego, a potém..... Bóg to wie. Znaie moje przysłowie, *chochby hirsze, aby in-sze* (2). Ale was dokąd to chłop wiezie?

— A! — westchnął pan Samuel — nam istotnie inaczej i gorzej, bo nie wiemy dokąd jedziemy i po co!.... Los gna w świat, gdzie kąta nie mamy!

— Cóż wam się stało? — żywo spytał pan Pauluk!

— Ot! po prostu mówiąc — rzekł z uśmiechem pan Samuel — braciszek Kasztelaniec wypowiedział nam dom swój, z namowy pocziwego Jaska! Jedziemy więc wprost przed siebie..... bo mi już cudzy chleb dojadł!

— No! no! a gadajcież — zawołał dziadunio — co się stało, jak się to zrobiło? zmiłujcie się..... Oszalał

(1) Nie chce się kozie, a na targ ją wiedą.

(2) Choćby gorzej a inaczej.

Kasztelaniec..... *durny aż sia krutyt!!* (1), a to ślicznie mi się spisał!

— Tylko że to długoby o tém mówić — z westchnieniem odpowiedział pan Samuel — a tu się ciemni i nam noclegu szukać potrzeba, i dziaduniowi także.

— Ale poczekajcie, poczekajcie — zafrasowany przerwał staruszek — musimy pogadać, naradzić się, *stytje nie ryżte* (2), nie spieszcio się!

— Nie radbym, ale noc.

— No! czekajcież — siadając żwawo na swój wózek i zwracając go w miejscu, krzyknął pan Dymitr — *hudy pańska łaja, tud i suczka moja* (3), pojedę i ja z Waszeciami..... minąłem ztąd karczemkę schludną niedaleko, bom myślał do znajomego Proboszcza się dobić, ale dla was muszę zwrócić i będziemy sobie przez wieczór razem *perebendiowali* (4); ruszajcie za mną.

Nikt tak jak pan Samuel nie był rad temu spotkaniu z wesołym staruszkiem, bo też do pocziwój

(1) Głupi aż się kręci.

(2) Stójcie nie rznijcie.

(3) Gdzie pańska zgraja, tam i suczka moja.

(4) Baraszkowali.

radę nie było nad niego, a w strapieniu dobrze i chwilę wesołą utargować. W dobre pół godziny stanęli u wrót porządną gospody traktowej, w której świecący ogień ciepły nocleg zapowiadał. Podróżni nasi wysiedli, znaleźli izbę wcale nie złą; fura i wózek stały wygodnie w sieni i dziadunio zajął się naprzód poznoszeniem swoich tłumoczków, opatrzeniem konia i uporządkowaniem koło wózka. Próżno go namawiano, żeby się dał w tym chłopkowi wyręczyć; mruknął tylko — *Ne spuskajsia Hryciu na durnyciu* (1), i póty nie odszedł, aż swojego dokończył.

Raźno potem wszedł zacierając ręce do stancyi i odezwał się do pana Samuela, który podparty siedział w zamyśleniu.

— Nim co będzie — *tilko zysku, szczo w pysku* (2); trzeba pomyśleć o jedzeniu, ja, co po drogach raz wraz się włóczę, a sam sobie rady dawać muszę, bo żydowskiego nie tknę..... umiem trochę warzyć..... Jak się wam zdaje, nie nastawić by krupniku na wieczerek?... Tu sobie ślicznie na kominku

(1) Nie spuszczać się Hryciu na darmo.

(2) Tyle zysku, co w pysku.

nałożymy, a ja się kucharzem obieram i gawędząc szumować będę.

— Byle chleba kawał — odparł pan Samuel — Rotmistrz się uśmiechnął.....

— *Syty hołodnoho ne znaje!* (1) że Waści smutek nasycił — rzekł pan Dymitr — to nie racya; ale ja z Rotmistrzem jedlibyśmy przetrząsłszy się.

— Ależ tu nic nie dostać?

— *Aby chititi, można znajty muki na ruki* (2), poszukamy, wytrzęsiemy — zaśmiał się dziadunio — i w woreczku podróżnym nie bez tego żeby coś nie było.....

To mówiąc wyszedł podśpiewując, kazał ognia rozłożyć i zakasawszy rękawy, podpiawszy polity sam wypłukawszy garnek, zajął się krupnikiem, na który mięso było w wózku krupy i słonina, a włoszczyzna u szynkarki..... Tymczasem napili się wódki i zakąsili wędzoną kielbasą.

Dziadunio grubą kłodę leżącą pod piecem wytoczył sobie przed kominek, usiadł na niej, łyżkę wziął w rękę i odwrócił się do chmurno i milcząco zadumanego pana Samuela.

(1) Syty głodnego nie rozumieć.

(2) Byle chcieć, można znaleźć muki na ręce.

— *Boh znaje szczo robył!* (1) panie bracie: dajcie pokój temu pograżeniu, to się na nic nie zdało... *Czasom z kwasom, poroju z wodoju* (2) różnie to bywa po świecie; trzeba wszystko znieść, albo to życie długie? No, powiedzcież mi co się u licha stało w Strumieniu? czy do reszty Kasztelanie *skru-tywsia?* (3).

— Zaszły w istocie zmiany wielkie — przysuwając się począł Samuel — takie, których nikt nie dawno przypuścić nie mógł, a przyczyn ich nawet dotąd odgadnąć trudno. Zdaje się że Jaś wszystko zrobił....

— *Nema rodu bez wyrodu* (4) — szepnął stary — a to coś osobliwego ten waścin Jasiek, bo to z pozwoleniem..... mléko pod nosem, a już trzęsie, a jeszcze kim, Kasztelanicem, co się dotąd nikomu nie dawał!

— Tak to przecie jest — odparł Samuel — młody ale serce stare, a podłość niewidziana; potrafił się przypochebić, podlizać i robi co chce. Wystaw pan sobie, że panna Aniela i Termiński oddaleni zostali.

(1) Wie Bóg co robi.

(2) Czasem z kwasem, niekiedy z wodą.

(3) Zwaryował.

(4) Niema rodu bez wyrodu.

Dziadunio w ręce plasnął:

— *Nadijajw sia Did nu obid, ta poszow spaty ne iwszy!* (1) i poszli z kwitkiem? Chwała Bogu. Spotka to i Jasia; ale cóż miał do nich? boć to potrzeba było wielkiej rzeczy, żeby ich wypchnąć.

— Jak się to stało nikt nie wie — ciągnął dalej Samuel — alem ja zaraz pomiarkował, że i nam tém bardziej nie długo popasać, kiedy faworyci idą z domu. Tak się i stało. Kasztelanie zawołał mnie do siebie, począł wymawiać, że ja na niego familię buntuję, że go w kuratelę brać myślę i tym podobnie; wreszcie dom mi wypowiedział. Rozumie się, że sobie do dwóch mówić nie dał i piechotą ruszyłem gdzie oczy poniosą.

— Ale dokądże przecie? — zapytał dziadunio. — Ja myślę że nigdzie tylko do pana Piotra ruszycie zapewne?

— Ani do Piotra, ani do Pawła! — krzyknął porywając się Samuel — dosyć mam rodziny i dość dla pana Wincentego najadłem się kwasu i goryczy, myśląc że mu jaką przyszłość wymodłę.... Niechce Bóg, wola Jego święta, a już cudzych kątów wy-

(1) Czekał dziad na obiad, poszedł spać nie jadłszy.

cierać nie myślę..... Jadę do miasteczka i tam się dziemy.....

Dziadunio spojrzął po izbie, zakłopotany trochę, przysunął się z kłódką razem, którą jak piórko dźwignął, do pana Samuela i szepnął mu na ucho:

— Ot tak, szczerze, wypowiadaj mi się — a co Waśc masz? *Pry hotowej kolodi, dobre ohoń kłasty* (1), łatwo z niewielkiego grosza wyżyć gdziekolwiek, ale samemu..... Powiedz mi otwarcie.

— Co mam? — rzekł pan Samuel — ośmset złotych moich, drugie tyle prawie Rotmistrz i wszystko!

— Półtora tysiąca! ha! wyżyć to można, aleś Waśc stary, Rotmistrz ni do pracy ni do głodu, obaście dosyć przywykli do przysmaków, do wygodek, i nie umiecie się oszczędzać. Zresztą i wiek już Waścin, panie Samuelu, nie po temu. Radziłbym wam z tym groszem przytulić się gdzie do swoich, inaczej *bude sim piatnić w odnu nedeliu* (2), głód zajrzy często, a staremu borukać się z nim trudno. Potém darmo sobie mówić: — *terpi tiło, majesz szczos chotilo* (3). Zła rada, i zła duma Waścina;

(1) Do gotowej kłody, dobrze ognia przykładac.

(2) Siedm piątków w tygodniu.

(3) Cierp ciało, masz coś chciało.

nie potrzeba winić całej familii za grzech tego dziwaka; panu Piotrowi kąt dla was i chleb nie zacięży, a wam to oboje, kiedy je darmo dostaniecie, wiele zaszczędzi..... Jedźcie do pana Piotra.

— Nie! nie! — odparł pan Samuel stanowczo — mam dosyć cudzego chleba, wolę już głód; na to mnie nie namówicie.

I porwał się ze stolka poglądając zaczerwienionemi oczyma, to na dziadunia, który swój krupnik szumował i przysalał, to na syna, co fajkę nakładając, zdawał się z zupełną obojętnością słuchać téj całej rozprawy i posłusznie czekać co ojciec postanowi.

Rozmowa trwała dosyć długo, przed i po jedzeniu, które pan Dymitr sam urządziwszy, zastawił i smaczno też zajadał. Pan Samuel ani go skosztował, ale syn za to przysiadł się szczerlnie i dobrą miskę wypróżnił, pomimo strapienia. A że do gawędy nie był skory, i nie było co więcej robić, wyręczając dziadunia, poszedł do koni, przy których nawet nocować się ofiarował.

Starzy zostali sami; dziadunio usiadł znowu przy kominku, i usiłując rozerwać smutnego wygnańca, począł mu niemal całe swoje rozpowiadać życie. To

jednak nie dość jeszcze żywo obchodziło strapionego starca, i dziadunio, w szczerą chęć rozbicia ciężkich dum jego, próbował z różnych beczek — ale się mu nie wiodło. Nareszcie wpadli na rozmowę o Kasztelanu.

— Czy znasz Waś dobrze życie jego i początek tej ogromnej dziś fortuny — zapytał dziadunio.

— Tyle wiem co i wszyscy — odparł pan Samuel — że był na dworze króla nieboszczyka, że potem gdzieś wędrował, że w karteczki grywał i nagle niewiedzieć jak przyszedł do majątności.

— No, to Waś tak jakbyś nic nie wiedział — zawołał z widoczną radością pan Dymitr.

— A ktoś wie więcej?

— Kto? ja...

— Zkądże, proszę?

— Et! nie pytaj Asindziej: spotkałem się z nim w życiu razy kilka, schodziłem się z ludźmi co go lepiej od nas znali, i wiem jego przeszłe życie, tak prawie jak swoje....

— A! to musi być ciekawa historia! — przerwał stając Samuel — boć żeby się człowiek stał tem, czém on jest, nie przez łada koleje przejść musiał.

— Nikt też nas tu nie podsłucha, bo i Rotmistrz

widzę póty nam towarzystwa dotrzymywał póki krupnik był w kominku — *doty Lach mutyw, doki ne naiwsia* (1); mogę więc ci powtórzyć co o nim wiem — odezwał się dziadunio podniecając ogień. — Ale możebyś Asindziej zasnął?

— Gdzie mnie tam sen w głowie! — odpowiedział stary — zwykle nie rano zasypiam, a co dziś to i do białego dnia pewnie mi się powieki nie zamkną.

— A ja na to, jak na lato, byle gadać — śmiejąc się dodał dziadunio — choć to *Brechniu swit perejdesz, ale sia nazad ne wernesz* (2). No, ale łgać nie myślę. Słuchajże Asindziej. Musisz to już wiedzieć, że nasz pan Stanisław wychował się można powiedzieć na królewskim dworze, bo młodzieniecko się tam dostał przez protekcję Wojewodzicowej Mściławskiej. A był to dwór ciekawy, i miasta nie łada i społeczność osobliwsza. Dzielił się wówczas w istocie nie na te drobne stronnictwa, o których prawią ludzie i pisze historia, ale na dwie tylko wielkie i przeciwne partye. Jedna część kraju, wierna tradycji dziadów, religii, obyczajowi i przeszłości, chwytala je, rozpaczliwie broniąc i czując że w nich

(1) Póty Lach szumił, aż się najadł.

(2) Plotką świat przejdiesz, ale nie powrócisz.

było życie; druga, omamiona nowemi żywioły, które przynosił wiatr z zachodu, szalała dziwnym bezrozumem zwierzęcym, za ponętą niby reformą wszystkiego, poczynawszy od wiary aż do obyczaju, który wprost z niej wypływa, choć dla ślepych nie bardzo to widoczne. I jak to zawsze bywa, że kto małpuje ten przesadza, co nie płynęło z nas samych a przychodziło nam od obcych, u nas się jeszcze wykrzywiało cudacznie. Chciano przesadzić w reformach tych co je poczęli. Wszyscy starali się co najprędzej, ni mniej ni więcej, wywrócić, zupełnie to co było, wybierając się potem dopiero kiedyś pomyśleć, co na miejscu zburzonego postawić wypadnie. Nigdy ludzkość nie budowała tak ochoczo, jak naówczas wywracała i niszczyła; nie było nawet tego ferworu, przy budowie wieży Babel. *Dobre szalily koły prystupaje* (1); szalało też co żyło, a nieszczęściem i król się wybrał, to doskonale wiek swój przedstawiając, był jeśli nie słowem, to czynem i przykładem przewodzącą gubiącą nas reformy. Drwiono z wiary wszelakićj po francusku, filozofowano z niemiecka, z angielska przerabiano się na materyalistów i ludzi

(1) Dobrze szaleć, gdy ochota bierze.

praktycznych, a po włosku rozpustowano.... stare cnoty swojskie poszły w kąt i pochowały się po szlacheckich dworkach pod słomiane strzechy.

Durnomu i Boh prostyt! (1) mówią, ale nie wiem, czy tym co szaleli owego czasu Bóg zechce przebaczyć, bo rozumu im nie brakło, ale statku. A filozofować kieliszkiem, umizgami i dowcipnym językiem, rzecz łatwa i wesola! Tandem, i szalono właśnie najzamaszyściej, gdy nasz Kasztelaniec dostał się na dwór królewski. W korpusie paziów wygodne było stanowisko do wyuczenia się wszystkiego złego. Za krzesłem królewskiem stojąc na dowcipnych czwartkach, na świetnych wieczorach, przysłuchiwali się biskupom co szydzili z zakonników, zapominając że wady, z których się urągali, byli powszechne ludzkie, a cnoty na które nie patrzyli, właściwemi instytucyi powierzonoj ich opiece. Za królem Jegomością jeździli paziowie do kochanic i faworyt pańskich, napatrywali się miłostek łatwych, zdrad codziennych, zaparcia wszelkiego uczucia i wstydu; uczyli się grać niepocziwie zarobioném złotem, pić jak generałowie królewskiego dworu, a drwić

(1) Głupiemu i Bóg przebaczy.

pod pozorem przesądu jak drwili obcy i swoi ze wszystkiego, poczynawszy od ubioru krajowego aż do ludu i modlitwy.

Jakij monastyr taka miłostyna (1). Czegóż się tam mieli dobrego nauczyć? Za młodu więc skorupka nawracała wszystkiem co z niej przez resztę życia cuchnąć miało. Ostatecznym wypadkiem całej owój, zbieranój po kątach zaśmieconych, filozofii ówczesnej było: sobie i dla siebie. I było to logicznem, bo ta pseudo-filozofia stawiała przeciwko chrześcijaństwu, które mówiło ofiarą, poświęceniem dla bliznich.

Jak dudy nastroił, tak dudy hrajuł (2); nastroił więc Kasztelanica do swego tonu i gdy wyszedł z korpusu, już całe życie następne niósł z sobą w zarodku. Zasmakowało mu to, trzymał się więc Warszawy i towarzystwa, którego upodobania i sposób myślenia podzielał. Piękny, młody, nie głupi, z tytułikiem po ojcu, faworyt króla, który go lubił dla dowcipu nie nie oszczędzającego, u magnatów dobrze widziany, że w karty grywał ochoczo i śmiało, przez karty w stosunkach z niemi wiódł sobie

(1) Jaki klasztor taka jałmużna.

(2) Jak dudy nastroisz, tak graja.

był do zazdrości, gdyby innego nie było! gdyby takie życie nie wiodło, do czego zawsze prowadzi zapomnienie o duszy.

We dnie spało się, wywczasowywało po nocnych hulankach; przebudziwszy, ziewnąwszy, wyszarman-towawszy pieszczone ciałko, ruszał fireyk pokazać zębki w mieście, odwiedzić znajomych, błysnąć mundurem na królewskich pokojach, jeśli do nich miał przystęp. W tym przelocie łapało się czasem zaproszenia na obiady, wieczorki, wieczery i tańce, chwytano ploteczki miejskie, kto kogo porzucił, kto do kogo przystał, kto się z kim u zielonego stolika przemówił, lub dla pięknych oczek rąbał i t. d.

Następował obiad, często z pijatyką przedłużający się do nocy, lub ustępujący miejsca innemu zebra-niu. Dopieroż nadchodząca noc, której my prostacz-kowie używamy na spoczynek, ich budziła do szatańskich szalów. Rzekłbyś że diabli piekło ze stolicy sobie zrobili, tak wrzała hałasem namiętności. Kasztelanie długi czas w żadne nie wdawał się mi-łostki, przebiegał od jednej do drugiej, do żadnej nie przywiązał stałej — karty go zajmowały najwięcej; czas trawił po domach gdzie najszaleniiej grywano.

A miał ten talent, że się nigdy ociąć nie dawał i zawsze prawie na końcu wstawał wygrany.

Z kobietami grzeczny ale chłodny, sądził je i brał jak wszyscy naówczas—lekką ceniąc i widząc w nich zabawkę bez konsekwencji. Nie można powiedzieć, żeby Stanisławowskiego dworu kobiety nie dały powodu do takiego sądu: bo nigdy i nigdzie więcej nie było zgorzenia, rozwodów ohydnych, związków bezwstydnie jawnych, zwierzęco chwilowych. Panie latały od jednego do drugiego, zamężne mieniały się kochankami, puszczały na rozpustę, przypominając Messaliny i Julie. Było w tém i winy mężczyzn, ale było i ich własnej. Przyszły też do takiego ponizenia, że je w ostatku ceniono tylko jak chwilowej rozrywki narzędzia.

Kasztelaniec nie miał kochanki jak wszyscy, rozrywał się przypadkowemi umizgami i awanturkami miłosnemi, ale do nikogo sercem się nie przywiązał. Trwało to dosyć długo. Nareście licho mu nadało zobaczyć gdzieś z bliska ówczesnego teatru aktorkę, którą naówczas nazywano Księżną, może z powodu że synowiec królewski pierwszy był w jęj łaskach. Było to śliczne dziewczę, ale w czasach kiedy u góry zepsucie się rozszerzało jak gangrena, miarkuj Asiń-

dzięj, co się musiało dziać w dole, gdzie działał przykład a wstyd nie wstrzymywał. Owa Księżna była to łotrzyca jakiej świat nie widział, bez czci i wiary, bez sumienia i wstydu. A spojrzawszy na nią, rzekłbyś że tylko co wyszła z za kraty klasztornej, taką to uczciwą miała minę. Pozór skromny, oczki w dół, rumieniec gdyby u dziecka na zawołanie, łzy co chwila na powiekach, byle potrzeba—świeżutka, młodziutka, caceczko, a hultaj ostatni.

Naszemu Kasztelanicowi na biedę potrzeba było, żeby zobaczywszy ją, zakochał się w niej jak szalony. Uczuł dla niej taką namiętność, że na czas porzuciwszy nawet karty, nie wstydząc się, nie oglądając na ludzi, latał za Księżną tą od rana do nocy. W całej Warszawie nie mówiono tylko o tém, bo był sławny ze swęj obojętności, a popadł teraz w takie ręce, z których cało nie łatwo się było wydobyć. Jęjmościanka na to jak na lato, podsycala ogień jeszcze; Kasztelaniec, że miał do zwalczenia magnatów, co tam koło niej skakali, *pnetsia jak żaba do husiaty* (1). Co wygrał w karty, to poszło na Księżnę. A tak go zaraz umiała oplatać, że zupełnie glo-

(1) Piał się jak żaba do gąsienicy.

wę stracił, gdyby dzieciak. Na czas jakiś poodsadzał od niej i książąt i panów i dawniejszych jęj ulubieńców, stracił się do grosza, zadłużył, naraził na drwiny, aż gdy już myślał że sam panuje w sercu i w domu, usłudni przyjaciele dowiedli mu czarno na białém, że ze czterema przynajmniej z nich powinien się był pojedynekować.

Kurowali go tak jak mogli z tęg choroby, ale darmo. Pierwsza miłość, z pocziwém uczuciem dla czystej istoty, często ulegnie potem rzeczywistości, która rozwiewa ideały, ale taki szal wiedzie do niesłychanych namiętności wybuchów. Słowem, tak się opłatał nasz Kasztelan, że pomimo oczewistej zdrady, mimo szyderstwa ludzi, nie wytrwał bez księżnej tygodnia. Dziewczyna znała swoją siłę, i śmiała się z oszukiwanego a zakochanego do rozpuku, bo niepojmowała innego przywiązania, nad to chwilowe którém frymarczyła. Namiętność pana Stanisława, co miała ostygnąć z czasem, to jeszcze drażniona wzrastała bez końca, tak, że gdyby była chciała byłby się z nią ożenił..... Ledwie nie ledwie przyjaciele go odwiedli. Chcieli go też leczyć swoim sposobem, dowodząc że *ne odyn pes hrywko* (1), wyszukując no-

(1) Nie jeden pies Gryfko.

wych amatorów, ale Kasztelanie powracał cichaczem do swojej Leokadyi.

Te miłości przeciągnęły się przez cały czas pobytu jego w Warszawie, a Księżna taką miała nad nim władzę, powiadają, że byłby dla niej w ogień skoczył. Dość powiedzieć, że dla tęg łotrzycy miał siedm pojedyneków i kilkakroć sto tysięcy wygranych na nią stracił. Musiał grać, boby nie miał czém dogodzić nieustannym jęj dziwactwom. Bywało pod dobry humor garściami dukaty wyrzucała na ulicę, bawiąc się i śmiejąc, że się o nie bili ulicznicy i żebractwo. Kasztelanie tyle tylko przy kartach siedział, ile musiał, a co mu czasu zbyło, u Leokadyi ciągle. Chodził za nią do teatru, woził się z nią po spacerach, szpiegował ją, klócił się co dzień, i było czego, a w końcu zawsze, jak mu zaczęła płakać, narzekać, krzyczeć, odegrywać komedye, grozić że go porzuci, tak w oczach go zdradzając, zawsze kończyła na tęg że u nóg jęj leżąc przepraszał.

Passya szalona Kasztelanica dla tego drapichrusta uczyniła go w końcu śmiesznym i dobrze mu kieszeni naddarła, a co zdrowia i spokojności kosztowała go księżna, to Bóg wie jeden. W tęg zamieślało się w kraju i stolicy, wybuchły wypadki nie-

spodziane dla tych, co w swoim się kółku tylko rozglądali; mnóstwo osób poczęło uciekać. Nasz Kasztelanie trzymał się jeszcze i byłby może dopytał biedy, gdyby jego ulubienica z jakimś zagranicznym dyplomatą nie drapnęła w czulój parze. Nie długo myśląc, pan Stanisław, sprzedawszy co miał na przedce, zebrawszy trochę grosza, pogonił za nią w świat choć dobrze nie wiedział gdzie ję szukać. Puścił się tak na azard.

Z rozpaczcy nie mogąc nie tylko wyszukać, ale nawet dowiedzieć się o pannie Leokadyi, która jak w wodę wpadła, Kasztelanie rzucił się znowu do gry szalonej. Grał ciągle, ogromnie, i tak ze stolicy do stolicy, od wód do wód przejeżdżał, bohaterując na zielonych stolikach, pod imieniem kawalera de Wola... Tak się bowiem nazwał od wioski którą Zawilscy mieli dawniej w Poznańskim. Że był bardzo układny, prezencyi pięknej, przytomny, dworak, poszło mu jak z płatka, i gdy my tu po nim płakali, myśląc że *propaw jak pes w jarmarok* (1), on tam coraz świetniejszej dobijał się karyery. Przewędrował tak za swoją Dulcyneą całą Europę,

(1) Przepadł jak pies na jarmarku.

w najpierwszych grywając towarzystwach, syjąc tysiącami dukatów i tysiącami ich zgarniając. Była to chwila w Europie, w której dobrze się działo politurowanym awanturnikom, jak Cagliostro, St. Germain, i tylu innych; przyjmowano cudzoziemców nie dopytując kto byli, a jeżeli pokazywali się *honeste*, sypali złotem i mieli maniere wielkiego świata, zapraszano ich i na królewskie dwory. Tak się też powiodło naszemu kawalerowi de Wola, który na złość swemu strapieniu, pocieszać się musiał wygraną, a Bóg wie czego nie wygrywał. Bywały wypadki, że krom pieniędzy, konie, powozy, brylanty, precyzy, domy i posiadłości stawiali mu na kartę młodzi panicze i przegrywali. To też i w miarę jak się kieszeń łądowała, wszystko co otaczało Kasztelanica, przybierało odpowiednią jego bogactwu powierzchowność. Miał dwór, sługi, powozy, liberyą, a w miastach w których bawił, dom otwarty na wielką stopę. Przyjacioł było rojem.

Nie wiem którego tam roku tój wędrowni, Leokadya się zjawila—znać dowąchała się, że Kasztelanie pobogaciał, i bezwstydnie powróciła do niego, a on z najzimniejszą krwią ją przyjął. Potrafiła mu się tak wytłómaczyć, tak uniewinnić, że omal nad

jój dolą nie płakał. Ale we dwa miesiące zabrawszy mu co kosztowniejsze brylanty i grosz, który pochwycić mogła, uciekła z jego służącym, młodym chłopakiem, francuzem — Kasztelaniec uczuł to mocno, chorował nawet niebezpiecznie, ale wyszedłszy z gniewu i słabości, życie dalej wiódł po swojemu.

Wiele Mospanie tajemnic jest na świecie, *ba! ko-lib to ślipyi oczy maw!* (1) wiele by się rzeczy zrozumiało, których po naszemu ani sposobu. Ot i w tém życiu Kasztelanica, jest ciekawa historia jednej twarzy téj szalonej Leokadyi. Wasindziej nieraz musiałeś uważać, że twarze ludzkie są jak magnesy; niektóre pociągają ku sobie, inne odpychają..... są i takie których sile niepojętej oprzeć się niepodobna.

Często uśmiech człowieka spotkanego przypadkowo, chwilowie, tkwi nam w oczach życie całe; często tęsknimy jak za przyjacielem, za kimś co raz mignął przed nami..... Bywa że jedno wejrzenie wzrusza, rodzi namiętność i stwarza nieprzewyciężony pociąg. Taką musiała być dla Kasztelanica ta przekłeta Leokadya; bo w Niemczech słyszę, zakochał się był w jakiejś córce szewca, dlatego tylko

(1) Ba! żeby to ślepy miał oczy.

że kubek w kubek do tamtej była podobna. Niemka uboga, skromna, ale śliczna, już miała wyjść za naszego kawalera, bo ją do tego cała rodzina zmuszała, widząc jak los sobie i im robi, gdy się pokazało że tam jakiś czeladnik pana majstra, już był wybranym przez nią, nim cudzoziemiec przypłynął. Ta zdrada, gdyż doskonale przed nim tajono miłostki, których miał się stać pokrywką, napelniła goryczą serce Kasztelanica. Odwiedli go jakoś od niemki, pojechał dalej.

Odtąd może to co widział na dworze Króla, i to czego doświadczył, napoiło go niewiarą we wszelkie uczucie; wyrzekł się miłości dla miłostek łatwych i począł żyć tylko by używać. Karty były jedyną jego zabawą, zajęciem, celem i sposobem utrzymania; reszta godzin zbywających liczyła się wszelkimi przyjemnościami, które za pieniądze nabyć można. *Chleb ubieraje, kto jeho maje* (1). Ale takie życie musiało wyrodzić przesycenie, zobojetnienie na wszystko i szyderstwo ze wszystkiego; najpodlejszą stronę ludzkości, skazany był ciągle oglądać Kasztelaniec. Gdzież bowiem człowiek ze wszystkimi swemi wadami,

(1) Chleb ubiera, kto go ma.

z całą swoją słabością dobitniej się maluje, jak przy kartach, przy grze, która wywleka z niego co gdzie czarnego i smrodliwego? Co godzina też bogacąc się Kasztelanica, stawał straszniejszym sceptykiem i wkrótce świat cały zaszedł mu tą barwą brudu, która zaciągnęła jego oczy. Z zupełną obojętnością przejeżdżał z miejsca na miejsce, bo go żadne nie przywiązywało; żegnał się z ludźmi bez żalu, witał bez pociechy, a każdej stronie, w każdym człowieku szukał tylko swojej przyjemności i korzyści.

Wlokło to się dosyć długo, tak że gdy do kraju powrócił, już pierwszą młodość styrawszy marnie, z nałogami nabytymi i pozyskanymi skarbami, ani go widok swoich poruszył, ani uczucia dobył z zastygłego serca. Na ziemi własnej ciągnął dalej poczęte gdzie indziej życie. Czasy były po temu; grano szalenie wszędzie i gry publiczne nie zostały jeszcze zakazane, a że u nas smakuje wszystko co za granicą, słychać, Kasztelanica w wielką wszedł modę. Jego wczesna starość duszy i serca wabiła młodzież co go rada była naśladować, a do tyła co on czucia i wstydu pozbyć się nie umiała. Kobiety także przyciągał ku sobie zimny egoista, którego rozplomienie było zwycięstwem; ale o twardą pierś rozbijały się najplomienistsze wejrzenia.

Już naówczas krewniaczek nasz, młodszy tylko nieco, był moralnie tém, czém go dzisiaj widzimy, i wyrobił w sobie chłód ten, dworszczyzną pokrywając sztyderstwo, obojętnością znudzenie co go trawiło. Widziałeś go Asindziej, panie Samuelu w przejeździe do Kijowa, możesz coś powiedzieć.

— Widziałem ci go, i mogę poświadczyć — odpowiedział zadumany starzec — że się od tej pory nic a nic nie odmienił, przynajmniej na dobre.

— *Czyja dusza czesnyku ne iła, ne bude smerdyla* (1) — przerwał żywo dziadunio — musiał się na takiego przerobić, wiodąc życie po temu; cudemby było inaczej. Ale Waście wiesz, że jeszcze mu się raz w owym Kijowie odezwała ta Leokadya przeklęta, choć miał naówczas jakąś włoszkę, którą z sobą woził.

— Włoszkę widziałem; wcale była nie szpetna....

— Nie długo się nią pocieszył — mówił dalej pan Dymitr — miał takie szczęście, że go każda zdradzić musiała. Śpiewaczkę mu zaraz w tydzień odmówił

(1) Czyja dusza czostku nie jadła, śmierdzieć nie będzie.

jakiś cudzoziemiec, który bardzo piękny głos lubił, gdy z pięknych ust wychodził..... Kasztelaniec słysząc pokiwał tylko głową i rozśmiał się; pojedynku nie było. Ale wystaw sobie Asindziej, co to jak się człowieka jaka bieda uczepli. *Bida bidu rodyt, a bidu czort* (1). Jedną tylko stronę miał słabą Kasztelaniec: byle mu gdzie mignęła twarzyczka do owiej Leokadyi podobna, głowę tracił. W Kijowie, zaraz po ucieczce owiej śpiewaczki, która go jak za zwyczaj pod jakimś pretextem obrała z klejnocików uchodząc — zobaczył znowu coś przypominającego swoją pierwszą miłość. Była, to mówią kubek w kubek owa Księżna, gdyby rodzona siostra, tylko młodsza; ale na ten raz..... cyganka. Cyganie owi całą bandą przywędrowali na kontrakty popisywać się z tańcami, śpiewem i frymarzyć kilka ładnymi twarzyczkami.

Była to widoczna ręka Boga w tych nieszczęsnych namiętnościach, które skazywały człowieka bez uczucia, na upodlenie i męczarnie. Niech sobie kto co chce mówi — dodał z głębokim przekonaniem dziadunio — ja długo patrząc na świat widzę na nim,

(1) Bieda rodzi biedę, a ją szatan!

nie czekając późniejszego wymiaru sprawiedliwości, tak wszystko wyważone i wyrachowane, że każdy ma na co zasłużył. *Jak ty robysz tak i chodzisz* (1). Dosyć uważnie popatrzeć, żeby się o tém przekonać. W każdym uczynku już jest nasienie nagrody lub kary; w splocie niepojętym społeczności, w zatknięciach téj ogromnej maszyny towarzyskiej, każde kółko cierpi co powinno i zadaje cierpienia, na które drudzy zasłużyli. Każdy z nas jest własnym katem i dobroczyńcą, bo Bóg tak obrachował, że nic nie idzie darmo, nic nie minie płazem..... Kasztelaniec tedy zaplątał się znowu i nuż szaleć za cyganką..... Już ją chciał kupić u rodziców, którzy za nią nie więcej szczęściem chcieli, jak pięć tysięcy dukatów, gdy się nawinął jakiś kniaź i z przed nosa mu ją dmuchnął..... Napróżno biega stary nasz dworak: ani przystępu, ani sposobu, w dodatku tamten ją uwiózł gdzieś w niedopytane strony. Jakkolwiek nie młody, zużyty i obojętny. Kasztelaniec odchorował to trzecie spotkanie z niebezpieczną dla siebie twarzą. Miał słysząc gorączkę, w której bredząc bluźnił, aż włosy stawały na głowie. Zaledwie powstawszy

(1) Jak pracujesz, tak chodzisz.

z łóżka, począł gdyby odrodzony i odrętwiały, grać znowu jak przedtém. Znajomi tylko uważali, że zapalczywiej jeszcze się puszczał, a ilekroć usta otworzył, bolesne z nich leciały szyderstwa.

Jednego wieczora gra była u Generała W..... sławnego bogacza i rozrzutnika, który już ze sześć fortun przez okno wyrzucił, przeszastał miliony, i nie mógł swego szczęścia wyczerpać. Zaledwie jeden spadek zjadł i wypił a zmarnował, drugi mu w samą porę po jakiejś ciotce lub wuju przychodził i Generał znowu hulał, znów tracił. Był to człowiek prawdziwie fenomenalny, bo na jego czole nigdy troska, nigdy zmarszczek nie powstał. Tak wierzył w swój los, że się nigdy nie zafrasował niczém jak drudzy, i śmiał się z tego co innych przeraża. Ta ufność dziwnie też wypadkami całego życia się usprawiedliwiała. Nie było rodzaju niebezpieczeństwa, na któreby się dobrowolnie nie naraził, z któregooby obroną ręką nie wyszedł. Szlachetnego charakteru, do broczyzny do zupełnego zapomnienia o sobie, słuchający zawsze pierwszego swego wrażenia, bez oglądania się na jego skutki, Generał W..... był typem narodowym w swoim rodzaju. Miał wady wszyst-

kie złego wychowania i rozpieszczenia, ale przy nich coś rycerskiego, dobrodusznego i zuchwałość szczęśliwych. Trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że nawet ubóstwa, do którego najmniej przywykł, wcale się nie zdawał obawiać, i na nie pracował, choć go się dorobić nie mógł. Kasztelanie, zaproszony na wieczór do Generała W..... poszedł z innymi, z tym kwaśnym humorem, z tém usposobieniem szyderskiém, które od niejakiego czasu go nie opuszczało. Gości było mnóstwo, zasiedli do stolików.

Ale jak to niesie przysłowie, *i neboja wouki idiat* (1), niezwyciężonego naszego gracza, który zasiadał do gry z postanowieniem nauczania rozumu otaczających, zaczęto zaraz w początku niepomału skubać. Zdawało mu się, że to przejść powinno, nie zbywało na zimną krew, więc czekając lepszej szansy, powoli nie ustępował i ciągnął grę dalej. Ale coraz to mu szło gorzej. Generał W..... dla którego to było rzeczą niezwykłą, wygrywał a wygrywał, Kasztelanie płacił a płacił. Zachmurzyło mu się czoło, kilkakroć zapragnął stawkę powiększyć, by

(1) I niebojącego się jedzą wilcy.

zarazem stratę odzyskać się wstrzymywał. Dano wieczrę; pan Stanisław kilka tysięcy dukatów przegrawszy, wstał z innemi zaczęto; z niego żartować — mileżał. Po godzinie spoczynku przy butelkach, podochoceni znowu rozpoczęli grę; Kasztelaniec którego i trunek może rozmarzył i szyderstwa rozdrażniły, przeciwko prawidłom i swojemu zwyczajowi, zaraz w początku stawkę powiększył..... szczęście mu nie dopisało..... Oklask powszechny i śmiechy towarzyszyły zwyciężkiej karcie Generała..... Kasztelaniec coraz bardziej się przegraną rozżarzał. Wzrok jego się zapalał, usta ścisnęły, ręce drżać zaczynały od tego ognia, który wyradza walka z losem rozpaczliwa. Przy nim siedział jedyny gracz spokojny, cichy, milczący, który w ciągu wieczora ani razu się nie uśmiechnął z jego niepowodzenia. Był to staruszek żółty jak cytryna, suchy, malenki, zapięty pod szyję czarnym frakiem, na którym błyszczały jakieś zagraniczne order; skurczony, wlepiony w swoje i sąsiedzkie karty, zaledwie okazywał wejrzeniem, że gra ta jakiegokolwiek wrażenie na nim robiła. Od czasu jednak jak Kasztelaniec przegrywać zaczął, przywiązał się szczególnie do kart i z oka ich nie spuszczał. Kilka razy, nim stawka przegrała, okazy-

jakby przecucie losu który ją spotka i z lekka zasyczał.

Pan Stanisław podwajał stawki, szalał i stawiał ostatki. Generał W.... wygrał był już przeszło pół miliona, spoważniał bardzo i choć go męczył ten zapalczywy bój, dotrzymał placu. Wszyscy rzucili poniterki, wlepiając oczy w kupę złota leżącą na stole, która rosła ogromnie; dwaj zapaśnicy zostali przeciw sobie ostatni jedni. Staruszek ów, stawiający po dukacie, a łamiący do piętnastu i trzydziestu, powoli sobie nieprzerwywając, kupkę wygranych dukatów gromadził, zdając się grać na pewno, tak niechybnie każda jego stawka wygrywała. Kilka razy obejrzał się na niego Kasztelaniec, mimowolnie dostrzegł jak los co mu był przeciwny sprzyjał nieznajomemu staruszkowi i gniew go już na sąsiada porywał.

Generał najogromniejsze stawki wytrzymywał z bohaterską stałością i obojętnością największą; otaczający go w głos mu radzili, żeby i zabastował i zatrzymał co mu los na znanym graczu dał zysku; ale rady te obijały się o jego uszy niedochodząc przekonania.

W przeciągu kilku godzin, wszystko co gotowemi pieniędzmi miał w domu Kasztelaniec, całą swą przy-

szłość przegrał i odsunął Generalowi W....; począł stawiać brylanty, pierścienie, powozy, konie i wszelkie kosztowności, których miał niezmierne mnóstwo. Generał, nie patrząc nawet w jakiej cenie były stawiane, przyjmował, choć przyjaciele sykali i wkrótce kupa dukatów, pokryła się świecidelkami, co drugie tyle warte być mogły. *Szczęśliwemu szczęście* (1) szło mu i szło.... Kasztelaniec rozpaczliwie szalał, coraz pijańszy przegraną, postanowiwszy, jeśli się nie zmieni szansa, wleć sobie strzelić wychodząc; w tém gdy już ostatnie tysiąc dukatów miał stawić, starszek nieznacznie łokciem go trącił.

Odwrócił się przegrywający kwaśno, szukając tylko powodu do kłótni; ale gdy już ją miał rozpocząć, usłyszał kilka słów złą francuszczyzną:

— Daj mi pan słowo honoru, że odtąd grać nie będziesz?

— A to panu na co? — odparł gorzko Kasztelaniec.

— Dam panu sposób odegrania się, jeśli mi dasz słowo....

Przegrany ruszył ramionami niedowierzając.... Do

(1) Szczęśliwemu szczęście.

czego to wszystko — odparł — pon wiesz ile przegrałem?

— Liczyłem i wiem.... Staw pan tysiąc dukatów na.... ale daj mi wprzód słowo.

— Słowo tedy! nie będę grał chyba z sobą! — śmiejąc się rzekł Kasztelaniec. — Na jaką kartę mam stawić?

— Tysiąc dukatów na dwójkę, i łam się pan *au mème*, do ostatka.... śmiało, a o słowie pamiętaj! — dodał nieznacznie grożąc starszek.

Kasztelaniec chwycił się rady jak tonący brzytwy postawił ostatek na dwójkę; wygrała.... Obejrzał się starszka już nie było; pośpieszył, obawiając się żeby Generał nie bastował, załomąć parol. Przeszedł... W kilku kartach szczęśliwy gracz, oprzytomniawszy, i nabrawszy otuchy, odzyskał część swój fortuny.

Generał, coby miał poprzestać na zyskaném, zapalił się z kolei i trzymał dalej. Kasztelaniec karta po karcie wygrywał, odebrał wszystko swoje, dziesięć tysięcy dukatów chwycił u gospodarza, i dzień biały świtał, gdy rzuciwszy o podłogę poniterki, głośno wyrzekł: — Słowo honoru, że odtąd grać nie będzie.

Wstając z krzesła ledwie się mógł utrzymać na nogach, tak go ta noc jedna złamała i zbiła; obrócił

się szukając doradcy swego by mu podziękować; usiłował o niego dopytać gości, ale nikt począwszy od gospodarza nie wiedział kto to był. Adjutant Feldmarszałka S.... który chwilę tylko bawił w początku wieczora, wprowadził go z sobą, ale Generał W... w tłumie nie zapamiętał nazwiska jakie mu powiedział. Starzec nieznajomy był zupełnie, a ten co go rekomendował, wprost od wieczerzy wyjechał na Kaukaz. Nie było sposobu dopytać o staruszkę, któren i w mieście był obcym.

Różnie się domysłano; niektórzy mówili że to był starszy jakiegoś łoży masonskiej, inni że dyplomata zagraniczny, inni że bogaty anglik podróżujący, ale mu nawet podziękować nie mógł Kasztelaniec, bo go więcej nie zobaczył.

Dziwna rzecz, że odtąd słowa danego dotrzymał, przerażony zapewne przyszłością jaką mu co chwila grozić mogła przegrana, może odkrytą w sobie namiętnością, która z równą siłą rozdrażniona wybuchnąć mogła drugi raz i pozbawić go tych bogactw, na których opierał rachuby swego egoizmu; więcej nie dotknął karty.

Na tych samych kontraktach, wystawione były na sprzedaż dobra Strumień, Kasztelaniec kupił je za

bezcen, i na wsi osiadł. Resztę wiecie lepij może odemnie — dodał Dymitr wstając z kłódki — *Ryba w wodzi, ta isty hodi* (1), nie ma co mówić więcej.

— Ależ bo i tego dosyć, — przerwał z uwagą słuchający Samuel — dosyć żeby się człowieka nauczył. Co za życie! Nikogo nie kochał nigdy, nikt się do niego nie przywiązał. Jedyna namiętność, którą o trochę serca posądzić można, okazuje się w nim być prostym zwierzęcem szalem. A jaka ostrożność w całym życiu i oględność na jutro! Rzuca nawet karty, gdy się przekonał że nad sobą nie panuje mając je w ręku. Jest to uosobiony egoizm, mości panie.

— Tak! tak! — rozpościerając swoją burkę na ziemi, zawołał Dziadunio — i jemu nie ma co wdychać z nami *kołyb toj rozum na peredi, szczo potom na zadi najdetsi* (2), dobrze sobie po ludzku życie obrachował; nikogo nie kochać, żeby po nikim nie płakać, nikomu nie dać, żeby trzymać przy sobie nadzieją, w nikogo nie wierzyć, żeby się nie zawieść. Szkoda że takie rachuby najczęściej ślepy traf zawodzi! Zobaczymy co dalej będzie! a tymczasem spać!

(1) Ryła w wodzie, dosyć jeść.

(2) Gdyby ten rozum z przodu, co się z znajdzie z tyłu!

Hadka za morem, smert za pleczyma (1). Kury pieją, musi być coś około północy, *choć ne pyszno, ale zatyszno?* (2) Dobranoc wásci, panie Samuelu.

Pan Samuel wzdychając się położył i nie wiem czy zasnął. Dziadunio, pomodliwszy się krótko a gorąco bo dłuższe swoje tercyarskie pacierze w drodze był odmówił, legł, obwinął się burką i smaczno zachrapał.

O świcie już godzinki śpiewać po cichu zaczął, ale nie chcąc obudzić sąsiada, poszedł z niemi przed karczmę, przerwał sen Rotmistrzowi i chodząc od konia do izby, karmiąc swojego przyjaciela i przygotowując śniadanie, wymodlił się dobrze. Było tam i godzinek dwoje, boć do N. Panny jedne, a do Opatrzności drugie, i litanij kilka od Loretańskiej począwszy, i koronek dosyć; a wszystko to nie usty tylko, nie z nałogu pobożnego odmawiał stary, ale z przejęciem, z namaszczeniem i myślą wzniesioną do Boga. A wybierał same dawne modlitwy, którym w oczach jego przydawały ceny wspomnienia, że temiż samymi słowy wołali do Boga w utrapieniach i dziękczynieniu ojcowie umarli.

(1) Gadka za morzem, a śmierć za plecami.

(2) Choć nie pyszno, to zaciszno.

Nareszcie obudził się i pan Samuel, i wyszedł z izby, smutny, skurczony, zestarzały, a rozweselona twarz Dziadunia, który od Boga wracał zawsze z jaśniejszym obliczem, spotkała go na progu.

— Co Waszeć taki smutny a smutny — zaśmiał się stary, — odpędź Waszeć frasunek, *nechaj jako czort na hłyboku nese, nad syrotoju, Boh z kalitoju!* (1). Ot, pomyślimy o śniadaniu, Rotmistrz już diable ziewa, i musi chcieć jeść, kazałem piwa zagrać. Choć to może będzie, *ne tylko pijwa, kilka diwa* (2), ale zawsze ogrzejemy się trochę. A jakby się nam kto zaswatał do naszego śniadanka, to powiemy mu także ruskiem przysłowiem: *ne bywszy kuma, ne pytaj pywa* (3), jest go ile ściśle potrzeba dla nas. Ale, jakżeś Waszeć przez noc postanowił, dokąd jedziesz? — dodał wchodząc do izby i wzywając za sobą gospodynię z garnuszkiem i szklankami.

— A! do miasteczka!

— No! to pozwólże sobie powiedzieć — szparko dorzucił stary — że to upór nie do rzeczy. Masz

(1) Niech go лихо niesie na głębinę, nad sierotą Bóg z mieżkiem.

(2) Nie tyle piwa, co dziwa.

(3) Kiedyś nie kuma, nie domawiaj się o piwo.

Waść rozum, a dobrowolnie wołasz utrapienia! Waści potrzeba wsi, spokoju, a dla pana Rotmistrza zajęcia; próżnowanie nie do rzeczy. *Aby chotily, można najty muki na ruki* (1). U pana Piotra i cichy kąt i pracę dla syna Wasindziej znajdziesz.... ot moja rada! i dalipan dobra! trzeba słuchać.... Zresztą *Liudej sia rad, a swój rozum maj* (2).

Chwilę jeszcze pogawędziwszy, i widząc że nie przekona zamyślnego pana Samuela, który zbyt ciężko był w serce zraniony, żeby rychło ku swoim znowu się zwrócił, Dziadunio poszedł sobie konia zaprządź, mrucząc coś jeszcze pod nosem, a Samuel posłał także po furę.

Jakkolwiek przybity swoim wygnaniem, a bardziej jeszcze utratą nadziei dla Rotmistrza, starzec wesołemi przypowieściami i pełną otuchy rozmową Dziadunia uczuł się nieco pokrzepionym. Ze wszystkich wyrazów pobożnego włóczęgi biła wiara głęboka w Opatrzność, i jakiś spokój, który w starości, gdy świat opuści człowieka, jedno tylko spojrzenie w niebo dać może....

Rozjechali się ścisnąwszy dłonie w milczeniu.

(1) Aby chcieć znajdzie się mąka na ręce.

(2) Ludzi się radź, a swój rozum mieć.

Dziadunio siadł na swój wózek i dobywszy różańca posunął dalej w drogę, z uśmiechem smutnym spojrzawszy na Samuela i Rotmistrza, którzy swój wóz ku miasteczku skierowali.



IV.

Pan Antoni Zawilski (ojciec Pawła i Hieronima) siedział sam na sam w izdebce znajomego nam dworku, a nie mając nic do czynienia, bo Jójmości nie było i spór wiekuisty, co ich życie stanowił, przerwać się musiał, turbował się o swoją Kasię, która z powrotem się opóźniała. Już nawet w niepokoju coraz wzrastającym wynajdywał powody do nowój kłótni, którą obiecywał sobie rozpocząć, byleby Jójmość ukazała się na progu i układał program zawczasie.

— To kobieta — mówił do siebie — która się uparła, żeby mnie zawsze do niecierpliwości doprowadzać, nawet kiedy jój niema, to się na nią gniewać

wać muszę. Poszła na godzinę, bawi dwie! Cóż mam myśleć! Uchowaj Boże choroba! przypadek! To oszaleć potrzeba! O! powiem jój! powiem, byleby powróciła! szczerą prawdę! jak się należy! niech sobie nie drwi ze mnie! O! tak! o! tak.

I już miał począć wymówki, usłyszawszy otwierające się drzwi, gdy w progu ukazał się niespodzianie Żmura, zięć pana Antoniego. Starzec rad mu był niezmiernie, bo go kochał bardzo, i brakło mu towarzystwa, a gadać lubił; Żmura zaś chętnie przyjmował jego rady gospodarskie, co też nie mało pozyskiwało mu serce teścia. Niezwyczajny jednak wyraz pomieszanania jakiegoś, niespokojności na twarzy przybyłego, zaraz uderzył starego pana Antoniego.

— Jak się masz! jak się masz kochanku... ale cóż ci u licha jest! — dodał czmychając — czegoś masz mi nie pomieszaną... co ci to?

— Ale nic, ojcie kochany — odparł dawny wojskowy — to tak z drogi, ze zmęczenia może.

— Ba! ba! ja w twarzy czytam jak w drukowanej książce, coś jest! Czyś się czasem niedowiedziało czego złego, uchowaj Boże, może co o Pawle... o Hieronimie, albo o mojej babie... albo u ciebie czy się co nie stało? gadaj bo! gadaj!

Przyciśnięty, Żmura się zmieszał, ale wypierać począł.

— Ale proszę wierzyć — rzekł — że mi nie nie jest....

— A no! jak nic, to nic! Możesz chory — zawołał pan Antoni — każe ci zrobić rumianku. Już to doświadczyłem, że niema jak pocziwy nasz rumianek, na odpędzenie wszelkiej choroby; bo niech sobie co chcą gadają, każde choróbsko pochodzi z żołądka — to gospodarz — a rumianek tam poreguje.

Żmura niecierpliwie głowę rzucił.

— Jam zdrów, kochany ojciec....

— No! to może ci herbaty! albo kieliszek wina, z drogi....

— A! wina tobym prosił — rzekł zięć — na to zgoda.

Zawołał służącej stary, przeklinając ciągle i burząc na żonę, która nie nadchodziła; podano butelkę nadpoczętą, ale starannie zakorkowaną, i teś przyśiadł się do zięcia, w nadziei że się nagada.

Ale Żmura był, choć zwykle gadatliwy i gorączka, jakby go kto przybił, zamyślony, ponury i wzdychający.

— Coś bo Waści jest — odezwał się tupiąc nogą

starzec — nie w swoim jesteś sztosie.... nie kłam mi darmo i lepiej się wypowiadaj.

Napróżno chciał się jeszcze zapierać Żmura, czuł bowiem sam, że mu się to nie uda, a natura jego niedozwalała mu nie utaić w sobie. Był jak przezroczysta woda, w której na dnie widać najmniejszy kamyczek, rzucony ręką swawolnego chłopięcia.

— Ot, powiem — odszpuntowując się nareście zawołał gorąco — póki mamy niema, że mi się dziś dziwna rzecz trafiła!

— Także mi i gadaj — przysuwając się cheiwie rzekł starzec — cóż ci się trafiło? W istocie Jójmości niema, ale jak powróci dobrze jój uszy naciągnę.

— Spotkałem pod miastem waryatkę... — rzekł Żmura.

— Waryatkę! — wytrzeszczając oczy spytał pan Antoni — alboż to co dziwnego?

— Tak... ale to była kobieta, którą znałem w innym stanie, w najświetniejszym losie, młodą, piękną, wesolą....

— Co chcesz — odparł wzdychając pan Antoni — dziwnie się plecie, na Bożym świecie....

— O! prawda że dziwnie — podchwycił Żmura z wyrazem smutku — biedna kobieta! biedna kobieta.

— Ale któż to taki?—spytał teś śmakując wino powoli i nie wiele się zajmując losem nieszczęśliwój, nad którą tak ubolewał zięć jego.

— Jestto niejaka pani Tryze....

— A! czy nie ta co tu w miasteczku mieszkała? pochwycił żywić nieco stary, podnosząc głowę.

— Taż sama; ale to moja dawna znajomość— rzekł zięć — jeszcze był w wojsku kiedy się z nią ożenił magnat tego nazwiska.... chociaż inni mówili, że to ożenienie było jakieś potajemne, a drudzy mu całkiem zaprzeczali. Był to dobrze już stary człowiek, a ona młoda i prześliczna!

— Ba! ba! widziałem ci ją, ale— czmychnął pan Antoni— coś nie osobliwie o niej mówiono.

— A! bo też całe życie z dziwną nieopatrnością, dawała powody do obmowy i posądzeń, swoją śmiałością, obchodzeniem się prawie zalotném, niekiedy płochém nawet. Ale to wszystko było tylko pozorném podobno; bo ta kobieta miała w sercu wielkie przywiązanie, któremu poświęciła całe życie swoje.

— Coś ja tego całego romansu nierozumiem dobrze — rzekł stary obojętnie — mów bo Asińdzićj wyraźniój, jak to było.

— Kiedym jeszcze był w wojsku — ciągnął dalej

Żmura — słyszeliśmy wiele o całym tym wypadku. Pani Tryze była bardzo dobrze i starannie wychowaną, córką jedyną doktora, który ją młodo odumarał. Została na opiece wstępnym jakichś krewnych, którzy z litości ją do domu przyjęli; pokochała się słysząc w jakimś młodym człowieku, z którym stosunki mające się zawrzeć małżeństwem trwały lat kilka. Tymczasem kochanek ów zaplątał się w jakąś nieszczęśliwą sprawę i oddany został pod sąd. Jeden tylko Tryze, sławny kobięciarz, choć nie młody już człowiek, mógł go uratować. Przywiązanie jej było tak szalone, że mu siebie, sławę swoją, i całą poświęciła przyszłość— oddała się panu Tryze, obiecującemu z nią ożenić, ażeby uratować kochanka. Wybawiła go wprawdzie, ale ten ze wzgardą ją późniój opuścił. Niewiem czy skutkiem doznanego zawodu, czy że życie jej ze starcem było okrutną męczarnią przy rozplonioném sercu i tęsknocie, stała się tak dziwaczną, tak roztrzępaną, tak szyderską i zalotną, jak gdyby pragnęła ściągnąć na siebie najzjadliwsze posądzenia. Zdawało się że każdego pragnęła rozkochać, jakby chciała miłością inną wynagrodzić sobie utraconą.... O! szaleli też za nią, latali, a ona do szalów pomagała wejrzeniem, słowem, i gdy ją do-

szły potwarze, które na nią rzucano potem, śmiała się do rozpuku. Jednakże w jej całym życiu, oprócz najdziwniejszej lekkości, która o najnieporządniejszego życie posądzać dozwalała, nie było nic, co by istotnie dowieść mogło że była winną.

Stary pokiwał głową.

— Adwokatujesz Asindziej — rzekł — ale ja i teraz powiem, że tej pani Tryze nie rozumiem. W istocie, nie od dziś musiała być waryatką, i przeszłe jej życie coś na szaleństwo zakrawa. A toż wiesz że tu w miasteczku, dom jej słynął za najszykaradniejszy?... Mówiono o niej okropności. W ostatku musiałaś słyszeć, że po odpędzeniu panny Anieli, wziął ją był Kasztelan, brat mój, do siebie; to dosyć powiedzieć!

— Co? — porwał się Żmura — była u Kasztelanic!

— A była — rzekł zimno pan Antoni.. — zawieźli ją tam słyszę.... I gdzieżeś ją spotkał musiała uciec ze Strumienia....

— Spotkałem ją na grobli przed miasteczkiem, biegnącą w jednej sukni, z rozpuszczonymi włosami, i wyraźnie pomieszana....

— Nie zatrzymałeś jej? nie spytałeś co się jej stało?

— Owszem! owszem! ofiarowałem się nawet odwieźć ją gdzieby chciała, ale się słowa rozsądnego dopytać nie mógł. Poczęła się śmiać, opowiadać mi o swoim pierwszym kochanku, o starym generale, licho wie o czym....

— I gdzież poszła?

— Zdaje się że miała tyle przytomności, iż do swojego domku, który tu najmuje, trafiła....

— Ale mnie Waćpan niespokoiś tym, bo się w Strumieniu coś stać musiało, kiedy ona ztamtąd uszła.... To nie bez kozery....

— Biedna kobieta — ze szczególnym uczuciem powtórzył Żmura — a taka piękna! I tak skończyć marnie.

— Najczęściej piękne marnie kończą! — odparł pan Antoni.

Wtém na progu ukazała się pani Antoniowa, i stary, zapomniawszy o wszystkiém poskoczył ku niej z gorącą wymówką.

— A to mnie Jéjmość chcesz żywcem umęczyć — zawołał.... — czy to się godzi! Na godzinę poszłaś Asińdzka, na godzinę! a bawisz pół dnia, ja w nie-

spokoju, w utrapieniu, włosy z głowy drę... To nie-ludsko! to nie-ludsko!

Staęła Jójmość chwilę, wyprostowana i zmieszana nieco wybuchem gniewu niespodziewanym, ale rychło odzyskała przytomność i gotowość do walki.

— A ślicznieś Waćpan był o mnie niespokojny! — odezwała się witając Żmure — toż mogłeś przysłać dowiedzieć się o mnie, do znajomych?... Nie było to tak trudno... Ale tobie byle się klócić tylko.

— Jest! już wymówka! A Waćpani byle mnie zrobić na przekór!

— Panie, daj mi cierpliwość! — odezwał się ręce składając pan Antoni.

— Trzeba ci z oczów zejść — ofuknęła się żona — bo niedojdę ładu; ale nim pójdę, muszę przecie oznajmić, choć mnie nie po męzowsku przywitałeś, coś co cię bardzo obchodzić będzie.

— Jakaś plotka miejska....

— Najpewniejsza wiadomość.... umarł Kasztelan....

— A co? nie mówiłem — zakrzyknął pan Antoni klasnąwszy w ręce... przeczuwałem! Ale to pewno?

— Najpewniej; widziałam Sobockiego, któremu Jaś dał znać, i do Sądu przysłali oznajmienie.

— A to nam chwili nie tracąc jechać tam potrzeba — zrywając się chyżo dodał mąż.... bo Jasiek i Sobocki licha nawarzą.... Trzeba być gdy sąd zjedzie, bo i tak okradną faworyci.... Żmuro, kochanie — coraz goręcej poczał stary — posyłaj lub lepiej sam biegnij po konie.... trzeba sztafetę pchnąć do pana Piotra i do Pobiałów, spieszyć na miejsce...

W téj chwili, przez pół otwarte drzwi pokazała się dziko, szydersko uśmiechniona a bardziej wykrzywiona twarz Sobockiego, który wchodził podsłuchując; Jójmość mrugnęła na męża, tyłem do drzwi stojącego....

— Do nóg upadam — chrypiącym głosem odezwał się Kancelista... widzę, że państwo dobrodzieje już wiedzą o smutnym wypadku....

Pan Antoni się odwrócił.

— Jak się Waćpan masz?

— Przybyłem właśnie narodzić się, co tu począć? Kasztelanie nagle umarł!

— Nagle, powiadasz?

— Z wieczora jeszcze był zupełnie zdrow, wesoło dosyć się bawił, miał się kłaść spać, siedział w krześle; w tém apopleksya, coś, niewiem, — upadł i skonał.

spokoju, w utrapieniu, włosy z głowy drę... To nie-ludzko! to nie-ludzko!

Stała Jójmość chwilę, wyprostowana i zmieszana nieco wybuchem gniewu niespodziewanym, ale rychło odzyskała przytomność i gotowość do walki.

— A ślicznieś Waćpan był o mnie niespokojny! — odezwała się witając Żmure — toż mogłeś przysłać dowiedzieć się o mnie, do znajomych?... Nie było to tak trudno... Ale tobie byle się klócić tylko.

— Jest! już wymówka! A Waćpani byle mnie zrobić na przekór!

— Panie, daj mi cierpliwość! — odezwał się ręce składając pan Antoni.

— Trzeba ci z oczów zejść — ofuknęła się żona — bo niedojdę ładu; ale nim pójdę, muszę przecie oznajmić, choć mnie nie po męzowsku przywitałeś, coś co cię bardzo obchodzić będzie.

— Jakaś plotka miejska....

— Najpewniejsza wiadomość.... umarł Kasztelan....

— A co? nie mówiłem — zakrzyknął pan Antoni klasnąwszy w ręce... przeczuwałem! Ale to pewno?

— Najpewniéj; widziałam Sobockiego, któremu Jaś dał znać, i do Sądu przystali oznajmienie.

— A to nam chwili nie tracąc jechać tam potrzeba — zrywając się chyżo dodał mąż.... bo Jasiek i Sobocki licha nawarzą.... Trzeba być gdy sąd zjedzie, bo i tak okradną faworyci.... Żmuro, kochanie — coraz goręcej począł stary — posyłaj lub lepiej sam biegnij po konie.... trzeba sztafetę pchnąć do pana Piotra i do Pobiałów, spieszyć na miejsce...

W téj chwili, przez pół otwarte drzwi pokazała się dziko, szydersko uśmiechniona a bardziej wykrzywiona twarz Sobockiego, który wchodził podsłuchując; Jójmość mrugnęła na męża, tyłem do drzwi stojącego....

— Do nóg upadam — chrypiącym głosem odezwał się Kancelista... widzę, że państwo dobrodzieje już wiedzą o smutnym wypadku....

Pan Antoni się odwrócił.

— Jak się Waćpan masz?

— Przybyłem właśnie naradzić się, co tu począć? Kasztelanic nagle umarł!

— Nagle, powiadasz?

— Z wieczora jeszcze był zupełnie zdrów, wesoło dosyć się bawił, miał się kłaść spać, siedział w krześle; w tém apopleksya, coś, niewiem, — upadł i skonał.

— Straszna śmierć! — odezwał się pan Antoni zamysławiając... Ale możeby ratunek.

— Nim przybył doktor, ducha nie było; zapewne smutne to dla nas — westchnął Sobocki — ale żał żalem a interes interesem; potrzeba myśleć o sobie.

— Ja też niezwłocznie jadę do Strumienia — podchwycił pan Antoni — idź Waćpan kochany zięciu, po konie pocztowe, i wyprawuj sztafetę do pana Piotra... żywo tylko, żywo.

To mówiąc kręcił się już po izbie staruszek szukając czapki, i narzekał na żonę, że nigdy rzeczy jego na miejscu się nie znajdują, Sobocki stał i w duchu się uśmiechał.

— Nic słusniejszego — dodał seryo — potrzeba oznajmić panu Piotrowi i Samuelowi, i Pobiałom; ja także, jak skoro mi moje obowiązki pozwolą przystawię się do Strumienia; mogę się przydać.

— A zapewne! zapewne! — urywano wołał stary — wszyscyśmy tam potrzebni. Żeby tylko, między nami mówiąc, Jaś tam dobrze dopilnował.... Nie bardzo wierzę sługom.... gotówki być musi wiele, kosztowności: mogą rozkraść.

— Opieczętowano — rzekł spokojnie Sobocki —

i Puślikowski, nowy sługa, uczciwy człowiek, pewny jestem z oka nie spuści nic, można mu zaufać!

— Jednakże nie zawadzi tam dojechać! — dodał Antoni — a dobrze żeby i Paweł przybył mi w pomoc. Poślesz Waś i po Pawła, żeby przyjechał do Strumienia.

Sobocki, widząc to zaprzątienie pana Antoniego, wciąż szydersko spozierał na niego, ale w niczem mu się nie sprzeciwiał.

— Jak Waćpan myślisz — odezwał się stary — czy też znajdziemy testament?

— Mało znałem Kasztelanica — bąknął niewyraźnie Sobocki, nieco zarumieniony — nie mogę nic mówić. Kto wie, tacy ludzie bywają porządni w najmniejszej rzeczy.

— Tak! to był bardzo porządny człowiek — odparł pan Antoni podpasując się pasem, który mu przyniosła dziewczyna — musiał zostawić ład w interesach i jakieś rozporządzenie.

— I ja tak myślę! — dodał Sobocki — ale możebym mógł w czem być pomocnym, posłać gdzie, oznajmić? proszę mi dysponować.

— Jeśliś tak łaskaw — po chwili namysłu rzekł

stryj — wyprawże wyręczając Żmurę, do pana Piotra i Samuela... Samuel musi być u niego.

— Pan Samuel jest tutaj!

— Gdzie? tu? w miasteczku! — krzyknął pan Antoni — a ja o tém niewiem?

— Od dawnego dosyć czasu, bo od razu się umieścił u księży Trynitarzy.... ale tak go dotknęło wiadać obojście nieboszczyka, że z całą familią zerwał; Rotmistrz i on siedzą zamknięci, czasem tylko w odludną część miasteczka wychodzą na przechadzkę.

— Ja się z nim widzieć muszę! — odezwał się żywo pan Antoni — on chyba o niczem nie wie; pojeździemy razem, będzie mi użyteczny, zna dom. Gdzie stoi powiadasz? u Trynitarzy!

— Tak jest! w klasztorze, na pierwszym piętrze, w celi koło definitorskiej.

— Dziękuję za wiadomość, bardzo dziękuję; lece do niego.

— A ja wyprawiam do pana Piotra! — zegnając się rzekł Sobocki.

Żmura pozostał z wstrzymującą go panią Antoniową, a stary podpalony wiadomością poleciał do pana Samuela. Sobocki wciąż uśmiechając się spieszył do swego dworku.

Mrok już padał, gdy do niezamkniętej furty dostał się pan Antoni, i przeszedłszy ciemne korytarze i wschody, począł szukać celi na pierwszym piętrze.

Posługacz klasztorny mu ją wskazał, ale była zamknięta; zapukał raz i drugi, nie rychło dopiero przemknęły się z wolna drzwi i smutna, posępna twarz Samuela ukazała się, oświecona ogarkiem łojowej świecy.

Bracia spojrzeli na siebie, Antoni z wymówką, Samuel z niejakim wstydem; mizantropia jego nie była jeszcze doszła do tego stopnia, w którym już całego obejmuje człowieka i żółcią się zeń wylewa. Był to raczej łagodny smutek, który się ukryć pragnął.

— A godzi się to? a godzi? — z wyrzutem zakładając ręce, odezwał się pan Antoni — żebym ja, rodzony brat twój, o bytności w mieście już nie świeżej, dowiedział się gdzieś z boku? Cóżem ja ci zawinił?

Pan Samuel skłopotany wprowadził go do środka.

Ubogie to było mieszkanie, któremu że znaków celi brakło, wyglądało na rodzaj smętnego więzienia. Składało się z dwóch ciasnych cel, jedna za drugą, wązkimi oknami oświeconych. W pierwszej była

kanapa i stół, parę krzeseł, trochę sprzętu, który pokazywał że tu jadali i przesiadywali. W drugie dwa wąskie tapczany, ubogo zasłane, małego komódka, trochę sukni. Nie było gdzie przychować i utaić gospodarstwa, które sami sobie służąc wiedli nie bez uprzykrzenia dwaj wygnańcy. Na drewnianej półce stały do góry talerze, miski, dzbanki, garnuszki, pozawiązywane woreczki, w kącie wiadro z wodą. W drugim na rogowym gierydoniku o dwóch czarnych, trzeciej białej nodze, paczka świec łojowych, kawałek cukru i brudna stolniczka, razem się zetknęły z mydłem i ręcznikiem.

Na stole przed kanapą, z której widać wstał pan Samuel, bo szczypce jeszcze miejsce gdzie był lich-tarz pokazywały — leżała wielka roztwarta książka, z formy swój i druku na nabożną wyglądająca.

Głośnie chrapanie dawało się słyszeć z bocznej celi.

— Daruj mi, kochany bracie — cicho a łagodnie ściskając rękę pana Antoniego, odezwał się Samuel, ze skrwawioném sercem niechciałem iść do ludzi. Na co ich straszyć ranami których uleczyć nie mogą? Chciałem by czas je przyszoł.

— Ale na Boga! to nie wymówka! — zakrzyczał Antoni — a z kimże jeśli nie z bratem się podzielić goryczą? Myślałem żeś u pana Piotra.

— O! dosyć mam cudzych chlebów — tu mi spokojnie...

— Nic nie wiesz? — spytał przybyły.

— Cóż chcesz żebym tu wiedział? wiem że cierpię i że na to nie ma ratunku.

— Któż wie!

Samuel wskazał palcem izdebkę przyległą.

— Nie o siebie mi chodzi! nie! mojego wieku nie wiele i przełatałbym go do reszty, ale on, on mnie trapi! Uchowaj Boże na mnie śmierci, jak sobie da rady? Kto się nim zaopiekuje?

— Tu nie o tём teraz mówić — przerwał gość — Waćpan widzę o bożym świecie nie wiesz; Kasztelanic pozawczoraj w nocy nagle umarł.

Samuel schwycił się za głowę.

— Co mówisz? umarł? Rotmistrz! — zawołał — panie Wincenty, panie Wincenty!

Z drugie stancyjki ukazał się zaspany i porozpi-nany Rotmistrz, zobaczył stryja i zmieszał się zatula-jąc surdut co prędej.

— Wiesz, Kasztelanie umarł! — powtórzył Samuel.

— Umarł nagle — dorzucił pan Antoni — jeden tam dotąd Jasek; niewątpliwie go okradną, jeśli tam nie pośpieszym zaraz. Ja nie znam ani domu, ani ludzi, konie gotowe; rachuję na brata że pojedziemy razem.

Pan Samuel spuścił głowę, odstaąpił krokiem, wzruszył ramionami.

— Ja tam nie pojedę — rzekł — przysięgłem że noga moja nie postanie w Strumieniu.

— Tak! mogło to być póki należał do pana Stanisława, ale dziś to własność nasza.

— Chociażby — odparł starszy — nie pojedę; weź sobie Rotmistrza, ten ci będzie pomocniejszy, a jeśli zapotrzebujesz obrony lub odparcia napaści, usłuży ci dzielnie.

— Jakto? doprawdy jechać nie myślisz?

— Niepojadę — spieszcie sami i pamiętajcie o losie Rotmistrza proszę; ja dla siebie nic nie potrzebuję. Ale jakże ten biedak umarł? — zapytał Samuel.

Pan Antoni o ile wiedział opisywał śmierć Kasztelanica; spojrzął na zegarek, pożegnał brata i za-

brawszy z sobą Rotmistrza, siadł zaraz przed bramą klasztorną na bryczkę, której pomimo nocy pędzić kazał do Strumienia.

V.

W Horoszkach u państwa Pawłów, był wieczorek właśnie, i bawiono się przewybornie — duszą zabawy była panna Hiacynta, kórój że o jój wpływie na dom wiedzano, służyli adoratorowie Petry. Nie brakło bowiem wielbicieli dumnej i kwaśnej córce państwa Pawłów; jój jedynactwo, nadzieje spadku, w najgorszym razie piękna część Horoszek, wabiły młodzież sąsiednią. Dwór jaśniał rześisto, salon wywoskowany i z pyłów otarty, przy świecach bardzo się okazało wydawał... zdobiły go nowiuteńkie firanki z frędzlą roboty panny Hiacynty i wielkie jesiennych kwiatów bukiety, które dowcipną inwencją zdobiły

we dwóch miejscach odrapaną z tynku i nieforemnie polepioną ścianę.

Na głównej kanapie majestatycznie rozsiadła się gospodyni domu, wodząc oczyma za córką, z wyrazem niechęci dobrego tonu przebiegającą salon, który zdawał się niegodzien ją zamykać, tak z góry nań poglądała.

Piękna Julia, wysnurowana tak, że broda jój spoczywała wygodnie na podniesionym biuście, przy-mrużała oczki, próbując jeszcze ażali nie zwabi melancholijnym wyrazem jakiego młodzika, pragnącego duszy co by go zrozumieć potrafiła. Kilka matek, mających synów na ożenieniu, otaczały ją kołem grzeczności i szczebiotliwą rozmową. Pan Paweł w granatowym fraku, z cygarem, które przechodząc przez salon ukrywał starannie, kręcił się upocony, dysponując i doglądając wszystkiego.

Panna Hiacynta gry sentymentalne i tańce odwieczne wymyślała, rozweselona, roztrzępiona prawie, sznurując ustka zwiędłe i sypiąc wymownemi wyrazy. Petra potrząsała głową ulokowaną i nie raczyła nawet tłumy swych wielbicieli obdarzyć uśmiechem. Ten tłum składał się, w tej chwili mianowicie, ze trzech młodzików, posiadaczy cząstek w oko-

licznych wioskach i jednego podżyłego wdowca, który cały dobry folwark, acz odłużony nieco, miał o mil kilka od Horoszek.

Resztę towarzystwa składały siostry tych panów, kuzynka tego pana, matki, jeden ojciec w surducie szaraczkowym, i jedna ciotka w przedwiecznej mantylce mienionej.

Właśnie zabierano się do mazura, którego cztery pary ułożono, zaprosiwszy gospodynię domu przez najmłodszego z tancerzy, co urządziła przezorna pan-na Hiacynta, gdy pan Paweł wpadł, ale jak oparzony.

Po minie jego sądzić było można, że albo się zapaliło w kominie, albo się Ignasz kucharz upił, albo puszka od herbaty ze szkła czeskiego, faworyta pani, bo wyprawna, rozbita została przez mazgajowatego Jurka, co terminował przy kredensie.

Włos najeżony, oczy roztwarte, ręce rozczepierzone okropnie, usta zaciśnięte, frak porozpinany i pogięty, oznajmywały że się coś stało. Stanął wyraziście na przeciw żony, i sycząc dawać jej począł tyśiączne znaki, że z nią pomówić potrzebował.

Nie zaraz to Julię spostrzegła, a że taniec zaledwie się poczynał, a partner tylko co miał czas wes-

tehnąć, w kilku słowach wyrażając swe uczucia, nie rada była przerywać mazura, sądząc że pan Paweł da sobie i sam rady.

Zniespokoiło ją jednak naleganie męża, który coraz gorzej się wykrzywiając, ruszając ramionami, tupiąc, zaczynał niedość powolną Julię do niecierpliwości doprowadzać. Wreście, mina pana Pawła stała się tak śmieszną wyrazem pilnego jakiegoś żądania, że Julia musiała na chwilę rzucić tancerza i przybiegła ku niemu, myśląc go dobrze rozumu wyuczyć.

— Co ci jest, Pawle — zawołała — oszalałeś czy co? oczy wszystkich zwróciłeś na siebie.... Niemożesz się i chwili obejść beze mnie?

— Ale to nie przelewki tu trzeba radzić?

— Cóż się stało?

— Odebrałem posłańca... Kasztelaniec umarł!

Te słowa ogromny wpływ wywarły na panią Pawłową. — Co ty mówisz? — zawołała zbliżając się do niego żywo. Ale jako ostrożna kobieta, zaraz zmiarkowawszy, że lepiej gdy się ta wiadomość nie rozszerzy, pogroziła mu na nosie, szepcząc:

— Żadnych min, ani słowa! nikt o tém wiedzieć nie powinien. Idź do swego pokoju, skończę figurę

i przybiegnę. Naradzim się, ale na wszystko zaklinam, nie pokazuj po sobie, żeś jakkolwiek wiadomość odebrał.

To rzekłszy, wróciła do mazura a panna Hiacynta, która z oka nie spuściła całej téj sceny, wywnioskowała że się Ignas upił tylko. Mniejsza o to — pomyślała, niech też sobie pan Paweł choć raz sam radę da... ja się dziś bawię.

I porwała swego tancerza, lekko rzucając się do tańca, z zapalem wygłodzonej a namiętnej piętnastoletniej panienki. Nieszczęśliwy co się na ofiarę jęj spóźnionym szalom poświęcił, ledwie mógł zdążyć za tym czterdziestoletnim motylem, którego szarfa niebieska ucierała nosy ludziom i świecom.

Julia z dyplomatyczną powolnością, choć ją wewnątrz srodze piekło, przetańcowawszy, chwyciła się za bok, mówiła coś ze swoim kawalerem po cichu, wyręczyła się ciocią w mienionej mantylce, a sama poszła zasiąść na kanapie, skarżąc się na dolegające uczucie bólu, którego w tańcu doznała.

Wszystkie mamy najskuteczniejsze jęły jęj raić lekarstwa — ale ona smętnie potrząsłszy parę razy głową, zwlekła się z kanapy i noga za nogą wyszła do bocznego pokoju. Tu dopiero odzyskawszy siły, rzu-

ciła się szparko do kancelaryi mężowskiéj i gdyby nie muzyka, słyhaćby było stuknienie drzwimi, którém wejście swe oznajmiła. Pan Paweł przy stoczku, bo wszystkie lichtarze były na służbie, czytał z uwagą list odebrany, żona wyrwała mu go bez ceremonii i poczęła podniosłszy stoczek przebiegać.

— No, a cóż duszko? — spytał pan Paweł — co tu robić?

— Naturalnie jechać do Strumienia co najprędzj; Hieronim im się późniéj dowie tém lepiéj. A więc cicho! Póki się goście nie rozjadą, müssisz dosiedzieć z niemi, a rano ruszysz. Ja tylko myślę, czy nie byłaby to pora z Hieronimem się o jego schedę w spadku ułożyć? — dodała Julia powtórnie.

— Jakbyś mi z ust wyjęła — zawołał Paweł — słowo w słowo, ja to samo zaraz pomyślałem..... ale któż to wie, a nuż jest testament??

— Właśnie i ja rozmyślałam jakby to zrobić? chyba warunkowo? Ale jakże tu do niego przystąpić? Domyśli się ta srocza Hieronimowa, że Kasztelanic nie żyje.... Jednakże jakeśmy rachowali kiedyś, wypadło nam w najgorszym razie po kilkakroć.... Horoski nie warte jak sto, może sto dwadzieścia.... gdybyśmy mu odstąpili ich a wzięli jego schedę?

— A nuż scheda i stukilkudziesięciu nie wyniesie? — spytał rachując pan Paweł.

— To prawda! — mówiła dalej Julia — ale gdyby się udało podchwycić tak Żmurów, kiedy mówicie że i oni do spadku należeć będą, złapać Hieronima, dopierobyśmy byli bogaci. Czekażcie Waćpan — dorzuciła po namyśle — jedź nic nie mówiąc, jeśli się tam co okaże, przybywaj, a ja tu na wszelki przypadek do nich się trochę przybliżę. Szkoda żeśmy ich dzisiaj na wieczór nie prosili.

— Szkoda! ale kto to mógł przewidzieć! — westchnął pan Paweł.

— Teraz do pokoju i cicho! nawet Hiacyncie nic; odprawić zaraz posłańca żeby nie paplał — ko- nie zadysponować, niby po doktora dla mnie, na rano; o świcie w drogę.

— Dobrze kochanie — rzekł zabierając się do wyjścia pan Paweł — niéma jak twoja rada! moje serce.

— Spodziewam się! — cicho a dumnie kiwając główką, odezwała się kobieta — do pokoju!

Posłuszny pobiegł gospodarz, ale żeśmy to wszyscy podobno nie tak do udawania zręczni, wyniósł z sobą na twarzy niepokój i zaprzątnienie.... Widać

je było przez przybrany uśmiech i zawieszoną na sposób firanki obojętność. Chodził i co chwila bił się o drzwi, dysponował gościom zamiast służącym, żeby świece objaśniali, witał się z Jurasiem najczuliej żeby mu nie chybić, rozlał gorącą wodę z samowara i cygaro żarzącym się końcem włożył w usta. Panna Hiacynta, która nikogo z oka nie spuszczała, wiele czyniła domysłów na mocy tego roztargnienia, wszakże nie potrafiła sięgnąć dalej odważną wyobraźnią nad stłuczenie puszki od herbaty.

Julia powróciła do salonu zawsze trochę się na bok uskarżając i trzeba jej przyznać, że reszty wieczora dobyła, jak gdyby na jej ramionach nie spoczywała nadzieja niepewnej a milionowej sukcesyi.

Wieczorek jak na złość się przedłużał: panna Hiacynta była w najróżowszym humorze. Petra nawet roztąncowała trochę swoich kwasów, i półuśmiechem obdarzyła pięknego sąsiada, co niesłychanie zmartwiło wdowca, płomieniste ku niej rzucającego wejrzenia z pod brwi godnych Jowisza. Mazur następował po mazurze, walec po polce, galopada po kontredansie — ani widać końca. Północ zastała młodzież w najżywszych skokach... Dano wieczereć. Nieśmiejąc się rozpytywać a usiłując zgadnąć, co za

wypadek fermentował w panu Pawle, wzięła się do jedzenia panna Hiacynta, chcąc dojść czy Ignas był trzeźwym, i przekonała się że go musiano dostatecznie pilnować. Ujrzała także ową czeską puszkę od herbaty i już nie wiedziała co myśleć. Ciekawość byłaby ją do indagacji podbudziła, ale ta na szczęście ustąpiła apetytowi i rozmowie z młodym tancerzem, który jęj nie odstępował, zamierzając starać się o Petrę, przez plenipotecję daną jęj guvernantce.

Po wieczery, że każdy miał do domu odjeżdżać, chwilkę tylko wypoczęto, i goście powoli wynosić się zaczęli. Poobwijano mamy, ciocie i siostry; kawalerowie pozapalali fajki i cygara, i wszyscy nareszcie opuścili Horoszki, z wielką Julii pociechą. Pan Paweł pobiegł do swojego pokoju, Petra rzuciła się na sofę ziewając, a Julia już szła na radę, gdy Hiacynta zwijając loki wstrzymała ją z uśmiechem.

— Co to panu? — spytała.

— Pawłowi? ale nic! — odpowiedziała zimno gospodyni — alboż co?

— Pani nie zwróciła na to swego badawczego oczka?

— Cóż to takiego?

— Uważałam, była chwila jakaś stanowcza.... — wyszedł zimny i przytomny, powrócił zmieniony, rozpaczliwy, starzany jakimś wewnętrznym strapieniem.... Myślałem przez chwilę, że albo Ignas nas zdradził, lub w domu co się stało groźącego...

— Ja tego nie zważałam; wierz mi, że to ci się przydało.

— Mnie! — z uśmiechem spytała guvernantka okazując się tak pewną, tak niez mieszaną, że Julia zrozpaczywszy by przed nią ważną wiadomość ukryć mogła, niewiedząc jak potem wytłómaczyłaby się ze swego niedowiarstwa, musiała, po cichuteńku wzięwszy na stronę, wszystkiego się jęj zwierzyć.

Narady trwały prawie noc całą, a rano o świcie pan Paweł, dobrze nadziany informacyami, siadł na bryczkę i ruszył do Strumienia.

Cicho i smutno było we dworku Hieronimostwa, do których żadna wieść o śmierci nie doszła; tam płynęły godziny jednostajnie, nieznacznie, jak płynąć musi to życie, by się stało znośnym, życie będące podróżą do innego celu. Z dniem każdym powiększał się smutek po Zosi, po chłopakach; i milczenie domku, ożywianego wesołą gromadką, stawało się coraz nieznosniejszém dla rodziców. Pozostałe dziewczę,

acz dobre, przywiązane, i ukochane jak inne, niemo-
gło zastąpić oddalonych, a czuło się osierocone bez
nich. Często wyglądając listu z Żytkowa od synów,
oboje liczyli dnie i godziny, a gdy przyszło co od
Zosi, matka chowała drogą pamiątką w książkę od
nabożeństwa i codziennie po cichu ją całowała. Hiero-
nim i ona pracowali w pocie czoła zarabiając na chleb
powszedni i nie lepiej się im wiodło. Zawsze pra-
wie najpiękniejsze ich nadzieje jakaś niespodziana
wywróciła burza, i przyszło już do tego, że nie
śmieli nic przewidywać, przesądliwie obawiając się,
by trochę pociechy nie opłacili gorzkim zawodem.
Hieronimowi nie zbywało jednak na męztwie, tej
cnocie nie wielu, która w zapasach długich z losem,
rzadszą jest od chwilowej odwagi zapału; żonie jego
miłość dla męża zastępowała wszystko; zbroiła ją
w cierpliwość, osuszała łzy, dawała wejrzenie we-
sołe i tchnęła pocieszające wyrazy... Oboje na odda-
leniu swych dzieci srodze cierpieli, a oboje nie chcieli
tego pokazać po sobie; by niedodawać męczarni,
uśmiechali się, rozrywali. Ale z tych piersi poczi-
wych często ciche wyrwało się westchnienie, z oczu
łza pociekła tajemna.

Błogosławili los i ludzi co im pomogli, ale w du-

szy narzekali na konieczną potrzebę straty chwil nie-
powróconych, których z dziećmi przepędzić nie wol-
no im było. Z Pawłem i jego żoną zawsze trwał
rozbrat, którego trochę powodzenia uczyniło jeszcze
wyraźniejszym, bo zazdrość oddaliła od nich brata.
Ani Paweł, ani jego żona nie widywali się z Hiero-
nimami; czasem raczyli po coś przysłać do nich, żą-
dać posługi, której nigdy nie odmawiano, ale się nie
czuli do żadnej wdzięczności. Paweł coraz mocniej
w mówił w siebie że był dobroczyńcą brata, że wszel-
kiego rodzaju czynił dla niego ofiary, że się dla nie-
go poświęcał. Julia w bratowej nie widziała równiej
sobie istoty i obchodziła się z nią, gdy była zmuszo-
na spotkać, okazując jej wyraziście wyższość swoją.
Hieronimowa zносиła to z niewyczerpaną cierpliwo-
ścią, z uśmiechem łagodnym, z poddaniem się loso-
wi chrześcijańskiem. Mąż jej, który wszystko bratu
przebacał, jednego tylko poniżenia swjej żony wy-
rażnego darować mu nie mógł; w sercu miał żal głą-
boki, ale nigdy go nie objawił.

Takie były stosunki dworu i dworku w Horosz-
kach, gdy Julia po odjeździe pana Pawła, ciągle nie-
spokojna odebraną wiadomością, zesłała się z panną
Hiacynthą, dla rozmowy, której w razach podobnych

nieodbicie potrzebowała. Jak wszystkich nie przywykłych do samotnego myślenia, męczyła ją rozważa, zrywał się wątek, jeśli go nie podbudzała rozmowa.

Usiadłszy tedy z nogami na kanapie. Julia zwróciła się do wyprostowanej Hiacynty, która teraz starała się jej jeszcze bardziej przypodobać, i nadomysławszy się głośno najdziwniejszych rzeczy, odezwała nareście:

— Jak ci się zdaje, mnie się widzi, że teraz pora trochę się zbliżyć do Hieronimostwa.

— Zbliżyć? — spytała nie dając znaku ani współczucia ani sprzeciwienia towarzysza.

— Tak jest — głęboko się zamyślając, ciągnęła dalej Julia — kto wie jak się złożą interesa nasze teraz — możemy potrzebować układać się z bratem; lepiejby było zawczasu ich ukołysać, bośmy na bakier. Kto wie!

— Prawdziwie! pani masz rozum i przebiegłość Meternichowską! — zawołała Hiacynta z uśmiechem — nigdybym nie podobnego wydumać nie zdołała! Niemogłam nawet odgadnąć celu tego pomysłu!

— Dziś wieczór trzeba pierwszy krok zrobić; pójdziemy do nich....

— I Petra?

— Wszyscy! przynajmniej jak nas więcej pójdzie — uśmiechając się dodała Julia — będziemy mogli mówić z sobą, bo z niemi jak nie o kurach, nie o jajach, o czémże rozmowa?

— A! to są ludzie tak poziomi! tak prości!

W tych kilku słowach ważne postanowienie zbliżenia się do Hieronimostwa zamknięte zostało; reszta dnia spłynęła na spoczynku po wieczorze i niespokojnych domysłach względem testamentu. Petra nadzwyczajnie zdziwioną została, gdy jej matka oznajmiła że do Hieronimów pójść mają, i nie mogła zrozumieć tych odwiedzin po wczorajszym baliku, na który ich nie proszono. Potrząsła głową, zrobiła minkę wzgardliwą, ale że dla niej obojętném było pójść lub nie, zezwoliła. Około godziny piątej, trzy damy skierowały się ku skromnemu dworkowi szlacheckiemu, i już we wrota wchodziły, gdy gospodarze jeszcze oczom swoim wierzyć nie chcieli, poznawając gości.

— Wszak to pani Pawłowa! — odezwał się Hieronim....

— A! dalibóg ona! ona! Hiacynta! i Petra! cóż to znaczy!

Hieronim uśmiechnął się gorzko.

— Prawdziwie niepojęta rzecz — rzekł powolnie — nie żyjemy z sobą wcale; wczoraj zaprosili mnóstwo osób z sąsiedztwa nas opuściwszy, a dziś przychodzą pierwsi....

— Moja duszko — szybko przerwała żona całując go w czoło — co było to było, a kiedy oni pierwsi; choć późno ku nam się garną, nie odpychajmy ich — proszę.

— Bądź spokojna — odpowiedział Hieronim — znasz mnie: wiele umiem przebaczyć, wiele zapomnieć dla świętego spokoju! Pierwszy niechcę się do nich cisnąć, lecz pewnie drzwi przed nimi nie zamknę....

Właśnie tych słów domawiał, gdy majestatyczna Julia, z nadzwyczajnym na ustach uśmiechem i powitaniem słodczy pełnym, ukazała się w progu.

Podawała nawet rękę zdziwionej bratowej, i poczęła, nie bez rumieńca:

— Przyszliśmy dowiedzieć się, jak braterstwo się macie... czemuż to nie byli łaskawi do nas wczoraj... mieliśmy trochę gości.

Hieronimowie spojrzeli po sobie.

— Wszakże przysyłałam prosić!

— Nikt nie był! — odpowiedziała Hieronimowa po cichu, nie przypuszczając kłamstwa — musiała zająć jakaś omyłka....

— Jakto? nikt nie był? — doskonale zdziwienie odgrywając zawołała pani Pawłowa.... posyłałam Kasię.... ale to wisus dziewczyna! Muszę też jęj dobrze uszy natrzeć. I prawdziwie mi szkoda żeście u nas nie byli, bośmy się bawili wyśmienicie.

— Dziękujemy za pamięć — przerwał Hieronim — ale my nie dotych zabaw, szanowna pani — czasu na to mamy mało. Człek się spracuje we dnie, wieczorem spocząć musi.

— Właśnie to rozrywka i spoczynek razem — dodała siadając Julia, która nadzwyczaj miłą i grzeczną być chciała. — A! i nam na pracy nie zbywa — ot, Paweł ledwie miał czas się zdrzymnąć i ojciec po niego przysłał w jakimś ważnym interesie; musiał lecieć do miasteczka.

— Ojciec! byłżeby uchowaj Boże nie zdrów?

— Ale nie! Żmura tam przyjechał, niewiem jakiegoś narady potrzebowali.... Żał mi było Pawelka, ale każdy ma swoje kłopoty i obowiązki.

To mówiąc westchnęła, dobrowolnie ze swęj zwykłej roli Junony przechodząc na prostą ludzką kondycyą.

Zaczęła się pozioma rozmowa o gospodarstwie, o dzieciach, do której tylko żywiołu poetycznego dolewała kiedy niekiedy panna Hiacynta, zdobiąca ją wkwiaty wymowy; Petra z oczyma wlepionemi w sufit siedziała przepyszna, ukazując swą suknię materialną, i świeżo sprawione bransolety zdumionym oczom mieszkańców ubogiego dworku.

Wszystko co Julia grzecznego i pokornego powiedziała, za dobrą wzięła monetę pocziwa gospoia, ale nie Hieronim, który już do niej zrażony od dawna, tym greckim darom jedwabnych słówek wiary nie dawał; lękając się ich więcej niżeli się cieszył niemi. Zdziwiony i niespokojny, szukał w swęj głowie powodu tych przymień, kombinował nagły wyjazd Pawła z niespodziewanemi odwiedzinami bratowej i usiłował nadaremnie odgadnąć, co to wszystko znaczyło.

Nieszczęściem dla Julii, traf chciał, żeby posłaniec który miał list do Hieronima, oznajmujący mu wraz z Pawłem o śmierci Kasztelanica — dopiero w drodze opatrzył się, odprawiony szybko z Horo-

szek, że go nie oddał. Powrócił on zaraz nazad i że nie było nikogo w sieni, komuby się on oznajmił, a szlachecki dworek podobny do jego chaty, ośmiewał, wszedł do pokoju właśnie wśród najkwiecistszego rozwoju poetycznych wyrażen panny Hiacynty, opisując balik wczorajszy.

To poufale wejście wieśniaka zmieszało nie po mału gospodarstwo oboje, i uśmiech szyderski wywołało na usta matki i córki, które ukradkiem spojrzały po sobie. Hieronim pobiegł do progu.

— Czego tu chcesz? — zapytał.

— To list do was, dobrodzieju! — odezwał się posłaniec dobywając z torby i szmatek kawałek papieru.

Julia na wpół odgadując, zaczerwieniła się, ale nie straciła przytomności, ni odwagi.

Hieronim pochwycił, rozpieczętował i głośno zawołał — Wiecie Państwo! Kasztelanic umarł.

— Co pan mówisz! umarł! Kasztelanic umarł? — powtórzyła zdziwiona niby i przelekła bratowa.

— Ale wszak był list i do Pawła.... — dodał od czytując dalej pismo Hieronim.

Julii tak łatwo nie można było zmieszać lada czém; przyzwyczajona do drobnych intryżek, które ją

obdarzyły szczególną przytomnością umysłu, porwała się niby zdziwiona:

— Patrzcie! — zawołała — Paweł mi nic nie powiedział! skomponował jakiś interes — nie pokazał listu i.... nic dotąd niewiedziałam.

— To dziwna — rzekł zimno i niedowierzająco Hieronim — boć nie było się czego tać.

Hiacyntha przysła w pomoc swęj pani i przyjaciółce.

— O ja! — rzekła — doskonale pojmuję powody które pana do milczenia skłoniły..... serce jego zna czulość i drażliwość pani, wie jak każde wrażenie silniejsze działa na nią; chciał zapewne powolnie ją przygotować do téj wstrząsającej wiadomości.

— Proszę cię — po cichu zbliżając się do męża spytała gospodyni.... — cóż to się stało biednemu Kasztelanicowi! Tak się zdawał zdrow! tak jeszcze był silny....

— Zdaje się że to być musiała apopleksya! — odpowiedział Hieronim — bo zmarł nie chorując, prawie nagle....

— Nieszczęśliwy! — westchnęła Hieronimowa — bez przygotowania, bez modlitwy!

Julia tymczasem, chcąc usprawiedliwić twierdzenie swęj przyjaciółki i drażliwości swych nerwów, powoli przybierała się do mdłości, źle się jęj już robiło; musiano posłać po konie, dobyto kolońskiej wódki, a Hieronimowa uwierzywszy święcie téj komedyi, krzątała się niezmiernie niespokojna.

— Pan jedziesz? — spytała mdlejąca, niezapominając jednak badać....

— Ja? a ja tam po co? — obojętnie rzekł Hieronim — ojcu potrzebny nie jestem, kiedy już Paweł, do interesów odemnie wprawniejszy, pojechał; sam nadziei na tym spadku nie mam żadnej, mało mnie to obchodzi; po co darmo mam się kłopotać, niewiedzieć czego?

Te wyrazy wyrzeczone zimno, wlały otuchę nową w serce pani Julii; zapewniały ją bowiem coraz bardziej, że Hieronim w razie potrzeby do wszelkiej roboty będzie łatwy, nie wiele sobie waząc ten spadek.

Wtém żona posłyszawszy z drugiej izdebki co mówił Hieronim, spytała go żywo:

— Jaktó? Hieronimie, ty nawet jechać nie myślisz?

— Nie myślę, kochanie moje, i nie pojedę — po

co? do czego? Jeśli nam co przyjdzie to z ojca; niech on rozporządzi jak mu się podoba. Co do mnie, nie wierzę w to, żeby się nam co po Kasztelanicy dostało! Nie naszém to szczęściem! Chyba—dodał uśmiechając się—pociągnie i nas z sobą dola pana Pawła.

— Al pan myślisz —odezwała się Julia—żeśmy tak bardzo szczęśliwi! Mylisz się, mylisz.

— Niech pani wierzy, że jakkolwiek mi się los Pawła wydaje, więcej mu jeszcze dobrego życzę niżeli ma, i bynajmniej nie zazdroszczę. Ale to pewna, że pracowałem, że dobrowolnie nie traciłem, żeśmy mieli równo, że ja dziś mam ledwie piątą część tego co on....

Julia zamilkła, mdłości ciągle uwalniały ją poniekąd od odpowiedzi; konie właśnie przybyły ze dworu i cała gromadka gości, pod pozorem osłabienia pani Pawłowej, wyruszyła nie czekając herbaty.

Sami zostawszy po odjeździe gości, Hieronimostwo usiedli przy kominku, Frania postawiła swój kołowrotek przy nich i cicha, przerywana poczęła się rozmowa.

Mniej niż gdziekolwiek robiła tu wrażenia nadzieja—tyle ich zawiodło! tyle uleciało, zostawując po sobie tylko opalonych skrzydeł szczątki. Hieronim

już w powodzenie nie wierzył i uzbroił się na życie niedostatku, przygotował do nieustannej walki, którą mu pożycie z jego Kostusią słodziło. Ona czepiała się jeszcze często słodkich nadziei, ale się także nie przyznawała do tej słabości. Rozmawiali po cichu o Kasztelanicy, o sobie, a Hieronim gorzko się w końcu uśmiechnął.

— Wiesz serce—rzekł do żony....—Julia chciała nas oszukać, ale się jej nie udało.... Pan Bóg ją skarał i list szyki pomieszał.

— Co ty mówisz? w czym oszukać? — naiwnie spytała go żona—tyś zbyt podejrzliwy.

— Ale to jasne jak na dłoni... Paweł w nocy poleciał; nie jużby jej nie powiedział po co i dokąd, kiedy, jak wiesz, swojej woli nie ma za trzy grosze! Ona ukryła się z wiadomością, i chcąc się niby bez interesu do nas zbliżyć, tu przysła.

— Serce moje, posądzasz!

— Nie podejrzewam, ale widzę! to oczewiste!

— Cóżby mieli za interes nas sobie jednać teraz?

— Oczewiście, spodziewają się spadku, chcą zapewne frymarczyć zaraz i nabywać; nie wypada im

będąc zle z nami, dopiero dla interesu przybyć, ułożyli więc zrzecznie....

— Może ty to lepiej wiesz, mój drogi — łagodnie odpowiedziała Hieronimowa — ale co ja to ich za tak złych i przewrotnych nie mam. Są tylko trochę dumni.... I przyznam ci się — dodała po cichu — gdyby tak nam za ten spadek dali całe Horoszkil! a! toby było wielkie szczęście! Ja przynajmniej tak do tego kątki przywykłam, tak mi on miły, żebym go na pałace nie zamieniła! Wystaw sobie, żebyśmy byli panami całej wioski! na miejscu gdzie nasz dworek....

— Kostusiu! Kostusiu! — przerwał jej mąż — na co te sny! na co te marzenia, z których ci się obudzić przykrzej będzie jeszcze. O! i ja nie raz sobie w duchu myślałem, gdyby mi ta wioseczka tylko, więcéjby od Boga nie żądał.... ale co to marzyć!... I mnie serce wiąże do téj chatki, do tego cichego kątki. Z całego świata Bożego wybrałbym go pewnie; posiałem go potem i pracą daremną i wspomnieniami chwil nieopłaconych naszego szczęścia.

— Mój drogi! Jam tu była szczęśliwą — odezwiała się kobieta — ale ty! ty! nie! tyś się pocziwie dla mnie poświęcił. Gdyby nie ja com ci przyniosła kło-

pot, konieczność ciężkiej pracy, żyłbyś swobodny, bo ci dla ciebie nie wiele potrzeba. Zawsze też ubolewam — dodała wzdychając — żem posłuchała serca i nie miała odwagi ci odmówić. Tybyś był beze mnie szczęśliwy!

— Kostusiu! Kostusiu moja! — porwał się popędliwie pan Hieronim — nie bluźńże proszę! Tyś mi otworzyła życie.... gdyby nie ty, ja bym szczęścia nie znał! Co ty mówisz? A na cóżby mi ta swoboda sierocie, samotnikowi, i jakież to szczęście jednemu?

Mówił i szczerze łzy miał w oczach, a w głosie tyle było uczucia, że Hieronimowa, której już także łzy polały się z oczów, pochwyliła zamuloną jego rękę i do ust ją przycisnęła. Pan Hieronim uściśnął ją w czoło pocałował.

— Niechże ci, moja duszo — rzekł siadając — nigdy te myśli nie przychodzą. Uczyłem cię nieraz życie pojmować jak ja, a w tém jedném, mój kotku, nie umiesz się zastosować do mnie. Wszyscy błędzą co szukają szczęścia wielką bryłą całkowitą, jedyne szczęście ziemi składa się z czystych a krótkich chwil, jak dzisiejsza — ze wzruszeń pocziwych, z uczuć szlachetnych, ze łzy co wytrysnie z serca, z uśmiechu, który zrodzi przelotny błysk radości,

z uścisku dłoni... a wreszcie, z tych wejrzeń na świat, dzieło Boże, którego piękności zachwycają duszę.... Ci, co szukają większego szczęścia, skarbiąc sobie zapasy grosza, aby je kupować, nie obrachowali się że tylko to, co Bóg dał wszystkim darmo, szczęście istotne stanowi. Doprawdy, ja pojawiając się tak życie, ani pragnę wiele, ani się skarżę na los. Niéma tak nędznego bytu, na któryby, jak rosy na poziome trawki, nie zlewał Bóg chwil szczęścia... trzeba je tylko umieć przyjąć. A są rośliny co nie biorą rosy i ludzie niezdolni do szczęścia. Oni chcą się kąpać w tém co zlatuje z niebios kropelką i wpadają w kałużę.

— O mój Boże, jak ty to ślicznie powiedziałaś — odezwiała się przejęta Konstancya. — Czemuż to tego ktoś inny nie słyszy, tylko ja jedna, com tego nie warta! Obwiniaj mnie jak chcesz, alem zawsze dla ciebie, Bóg widzi! nie sobie więcej pragnęła. Tyś wart być wyżej...

— A co to wyżej? — spytał powolnie Hieronim, wszyscyśmy ludźmi, wszyscy pod okiem Bożém; to co świat zowie wyższością, jest, po chrześcijańsku, prawdziwie, tylko ciężarem i pętami. Wyższość nie daje praw więcej do szczęścia, pomnaża tylko obo-

wiązki. Jużem ci powiedział co u mnie szczęściem, to właśnie, czego nie daje żadne położenie wyłączenie, czego kupić nie można, co jest dla wszystkich. Stojący wyżej, odpowiedzialni są straszniej przed Bogiem, sobą i ludźmi, a cóż zyskują?

— A, mój drogi — odpowiedziała szybko kobieta — pomyśl tylko? zyskują to, że więcej uczynić mogą!

— Prawda, prawda — rzekł mąż — ale sił po temu potrzeba, a ja ich w sobie nie czuję. Nie pragnę też nic więcej, tylko spokoju w cichym naszym kątku, i doczekania się z powrotem dzieci naszych. O! pusto bo bez nich, pusto!

I westchnęli oboje, a myśli ich poleciały w tę stronę, gdzie codziennie odwiedzały dzieci, spoczęły nad ich główkami i zatrzymały się nad Zosią, która w téj chwili może płakała i modliła się za rodziców, i jak oni tęskniła.

Frani także kołowrotek się zatrzymał i niedostrzeżona lza spadła na szarą nitkę....



VI.

Wiadomość o nagłej śmierci Kasztelanica wszystkich jego krewnych zelektryzowała, nie wyjmując nikogo może, prócz pana Hieronima, nieżyczącego sobie nawet pojechać do Strumienia, i Samuela, który zbyt cierpiał na swoim wygnaniu z tego miejsca, by drugi raz tam wrócił.

Każdemu mniej więcej zdawało się, że miał słuszne powody spodziewania się jeśli nie całego spadku, to przynajmniej większej jego części. Grzeczność nieboszczyka dla krewnych, dary któremi go obsypywali w ostatnich czasach, na które, choć się wściekał, odpisywał jednak w wyrazach najwyszukańszej

wdzięczności, były główną podwaliną tej budowy nadziei. Nikt się do nich nie przyznawał głośno, choć wszyscy uśmiechali się po troszę z drugich, posądzając ich o myśli podobne. Jeden Samuel się nie mylił, twierdząc w duszy, że albo testamentu nie będzie, lub znajdzie się taki co ich wydziedziczy; obawiał się też instynktowo Jaśka. Inni jak pan Piotr nawet, Pobiałowie wszyscy, Antoni, rachowali na uczucie, którego w Kasztelanicy nie było nigdy.

Jasiek tymczasem pokornego i smutnego udawał, a Sobocki zacierając ręce uśmiechał się po cichu. Co najspieszniej poczęła się zjeżdżać cała familia do Strumienia, tak, że dwóch tylko wyjąwszy, nikogo nie brakło. Każdy w drodze rachował się z sobą i wynajdował powody, dla których Kasztelanicy nie komu innemu, jak jemu powinien był niemal wszystko zapisać.

— Jakkolwiebądź — mówił w duszy pan Piotr — Stanisław umiał mnie ocenić; uważałem z jakim uczuciem przyjmował moje uwagi ostatnią razą, z jaką czułością prawie na kilka listów moich odpisał. Jest w nich coś nawet, co mi nieplonną czynić może nadzieję, że zostanę głównym spadkobiercą; w takim razie będę się tylko uważał za plenipotentą niebo-

szczyka i rozdzielię pozostałość najsluszniej, wedle potrzeby każdego z członków rodziny....

August Pobiałą, wybierając się z Suchoboru myślał także o ostatniej odpowiedzi jaką odebrał od Kasztelanica, na trzy dni przed jego śmiercią, gdy mu posłał ananasy i konserwy jakieś.

— To pewna, że we mnie poznał człowieka tego świata, téj strefy towarzyskiej do której sam należał. Nie wątpię, że musiał pamiętać o mnie! Kto wie, jeśli mi wszystko zapisał, niepospolity kłopot mnie czeka! Familia rzuci się na mnie, nie obejdzie się bez udziałów!....

Tomasz rachował na dowcip, który ocenić miał Kasztelanica, Józef na swoją gospodarność i oszczędność; oba w duchu przemyślali, jak sobie postąpią, jeśli nieboszyk im zostawi swoją fortunę. Nie jedna nadzieja próżna, nie jeden daremny frasunek, przeleciały przez ich zakłopotane głowy.

Najskromniej, najciszej i najpokorniej znajdowali się Sobocki i Jasiak, a na twarzach ich tylko jakiś niepokój widzieć się dawał. Zaraz po śmierci Kasztelanica, gdy się zajęto przygotowaniami do pogrzebu, przezorny Jaś usiłował wszelkimi sposobami wniknąć do pokojów, i nieczekając testamentu, po-

chwycić coby się dało na schedę swoją. Stał mu jednak na zawadzie Puślikowski, który stróżował około domu niezmordowany, i widać przestrzeżony przez Sobockiego, a nawet Bulwę, lękający się odpowiedzialności przed resztą spadkobierców. Pomimo znajomości miejsca, posiadania klucza od pokoju tajemniczego i dwóch dni zupełnej prawie samotności w Strumieniu, Jaś nic zrobić nie mógł. Ile razy wymknął się z oficyny do dworu, znajdował tam nieodstępного Puślikowskiego, który wartował około okien i drzwi. Probował chłopak przez strychy dostać się do zakłętogo pokoju, ale zmiarkowawszy że wdarcie się takie, zbyt widoczne zostawiłoby po sobie ślady, wyrzec się go musiał. Puślikowski, z doświadczeniem starego sługi, pozamykał co tylko było kosztowniejszego, ustanowił warty, i nawet groźbom Jasia się opierał, nie pozwalając mu nad miarę gospodarzyć. Bulwa tymczasem korzystał z pory i uwijał się na bokach, gdzie go nikt dopilnować nie mógł.

Jaś za przybyciem delegowanych od sądu, pod pozorem nowego opieczętowania, chciał chociażby wpaść tylko do zamkniętych pokojów, ale i tu Puślikowski dając sobie radę, uparł się żeby nowe przyłożono pieczęci, nie wchodząc do środka, gdyż prze-

zenie i spisanie pozostałości w tej chwili do sądu nie należało. Jaś tylko nie zapomniał opieczętowania kantorka, do którego włożył testament.

Ciało nieboszczyka, już po uczynionej sekcji, która okazała wyraźne ślady apopleksyi, po nabalsowaniu, wzniesione zostało na wspaniały katafalk. Pogrzeb naturalnie miał być przepyszny i naokoło zaproszono wszystkich księży; proboszcza tylko nie było, bo wyjechał właśnie do familii i wikary go zastąpić musiał. Trzeciego dnia już cała niemal familia zgromadziła się w Strumieniu, i w jej asystencji, przy blasku tysiąca świec, pochodni i smolnych beczek, eksportowano ciało do cmentarzowej kaplicy parafialnego kościołka.

Dziwny to był pogrzeb, na którym w jednej twarzy szczerzego nie czytałeś żalu, który łyzy jednej nie wycisnął. Z oczu wszystkich patrzyła tylko ciekawość i niepokój.

Bulwa sam trochę się roztkliwiał, przewidując zapewne ściślejsze obrachunki, kto wie może wygnanie z raj! Jaś silił się na łyzy i wydobyć ich nie umiał, zakrywał więc oczy chustką, żeby nie pokazać że są suche.

Z ludzi nikt nie pożegnał pana z tym uczuciem,

które mimowolnie pamięć dobrodziejstw wyrывa z piersi; zimnemi, obojętnemi oczyma patrzeli na świecącą trumnę i tłum spadkobierców, w których się domyślali panów nowych.

Ruszył się karawan z przed ganku dworu, jak gdyby nie niósł na sobie ostatnich szczątków tego, co był duszą miejsca, które opuszczał.... zaśpiewali księża, zajaśniały pochodnie, zahuczały powozy, a za chwilę pustką niemą stał dworzec, i na gościńcu tylko widać było sznur świateł, daleko wyciągnięny ku cmentarzowi miasteczka.

Od pół drogi zawrócił się Jasiek, obawiając się szkody we dworze, bo wszystkich posądzął, i nie spokojny, czuwać chciał nad tem co za swe dobro uważał wcześniej; zasiadł w oniemiałej salce, gdzie tylekroć przegrał w warcaby z Kasztelanicem, podpierał się na łokciu i zadumał. Serce mu biło na myśl o testamencie. A nuż go za nieważny uznają? nuż się podrobienia domyślą? Gdyby nawet się utrzymał, jakie krzyki, jakie żale.... jaki gniew całej familii wywołał! Może raz pierwszy w tej chwili uroczystej, Jaś instynktowo poczuł, że zrobił niegodziwie, że pieniąż nie potrafi opłacić zgryzoty. Ale ta myśl przelotna, którą anioł stróż opromienił jego czoło na

chwilę, zaraz ustąpiła miejsca gorącym pragnieniom życia, co się złotemi wroty przed nim otworzyć miało. I mar tysiące, wywołanych namiętnościami, przesuwało się przed oczyma rozgniewanego chłopaka, aż potem zimnym oblało się spracowane czoło jego.

Głęboka cisza panowała we dworze, tylko gdzieś puszczyk krzyczał na ogrodach i strażę werda powtarzały w oddaleniu: zegar, co tyle godzin wymierzyl zmarłemu, szedł zwykłym krokiem licząc mu chwile wieczności poczetęj.

W tém drzwi skrzypnęły od jadalnej sali i zamysłony Jasiek porwał się przelekły; skrzywiona twarz Sobockiego ukazała się ostrożnie.... wszedł chwiejącym się krokiem, zastanowił na środku, obejrzał, nie powitał nawet Jasia, chociaż go zobaczył.

Rysy jego malowały walkę w duszy, obawę jakąś... wzrok miał obłąkany, oczy osowiałe, a rękę gryzł do krwi jak upiór, którego grzech czy wspomnienie na świat wywołało. Nie uszedł oka Jasia ten niezwykajny wyraz twarzy Sobockiego, i obawa z obliza przybyłego przeszła na rysy brata.

— Co ci jest? — zawołał zbliżając się — co ci jest? mieliżbyśmy obawiać się czego?

Sobocki zaciął usta i cicho wyszepnął:

— Testament? testament włożony?

— Włożyłem go, ale masz jaką wątpliwość? mów, możemy złamać pieczęci, wykraść go i złożyć to na ludzi.... w ten sposób weźmiemy cokolwiek.

— Nie! nie! nie powinienem mieć wątpliwości.... a jednak — dodał Sobocki — nie wiem czemu, pierwszy raz w życiu własnego dzieła się boję! Wolalbym był tego nie robić.

Jaś z przestachem spojrzał na niego.

— Myślisz, że mogą się poznać na fałszerstwie?

— A któż to wie — jakby naumyślnie dodał Sobocki. — Zdaje mi się, że wszelkie formy są zachowane, ale jedna drobna, niepostrzeżona okoliczność, może obalić wszystko. Ja nie wiem....

— Zdaje mi się, że sam dla siebie pracując, nie mogłem dobrowolnie źle zrobić — uśmiechając się szatańsko zawołał Sobocki.

— Dla nas, chcesz mówić — poprawił Jaś.

Obudwom słów zabrakło, w milczeniu przeszli po sali, z chmurnemi czołami, czytając niekiedy myśli swoje w wejrzeniach przelekłych. Im bardziej zbliżała się chwila, tém okrutniej strach każdemu towarzyszący występкови ich ogarniał. Sobocki, któremu ten stan był niezwykajny, przypisywał go po

części zbytniej swojej od rana trzeźwości i zażądał wina.

Posłano do piwnicy, przyniesioną spleśniałą butelkę i dwaj wspólnicy zasiedli przy niej za stołem, czerpiąc odwagę, której obu zabrakło, w upojeniu i szale.

Tak zszedł ten pierwszy wieczór w opustoszałym dworze, a scena w sali powtórzyła się z małemi odmianami, po wszystkich kątach Strumieniowskiej siedziby.... Na folwarku, Bułwa ponczykiem przyjmował pisarzy i ekonomów, w kredensie pocieszano się piwem i wódką. W oficynach stały flasze na stołach.

Tymczasem ciało doszło do cmentarzowej kaplicy i familia nieboszczyka zanocowała w miasteczku, czekając jutrzejszego pogrzebu. Z sąsiedztwa ciekawość widzenia wspianiałego obrzędu sprowadziła także osób mnóstwo.

Natłok był ogromny, wystawność wielka, księży mnóstwo i nabożeństwo poczęło się od rana. Wielkiem jednak zadaniem były mowy, któremi należało przeprowadzić zmarłego do mogiły; cóż o nim powiedzieć i w czym go pochwalić? Musiano uciec się

do ogólników i mówić o śmierci. Nareszcie, po przemowach, po śpiewach, trumna spuściła się do murowanego grobu i przytomni rzucili na nią garścią piasku, ostatnim z modlitwą podarkiem dla duszy i ciała. Przygotowano stypę w obszernym budynku, który ledwie ciekawych i głodnych mógł pomieścić, a biesiada ta wystawiała obraz najobojetniejszego ścisku. Kupkami rozdzieleni goście, rozmawiali po cichu o życiu nieboszczyka, sądzili go surowo, powtarzali o nim dziwne baśnie, które dawniej jeszcze krążyły; jedli, pili i rozjechali się jedni utrzymując że karawan nie dość był przepyszny, drudzy, że świec u katafalku postawiono oszczędnie, inni że wino którym częstowano nie było najlepsze; dziadowie pod kościołem piszczeli, że im nie dość sutą dano jałmużnę.

Z południa, rodzina Kasztelanica poczęła powoli powracać do Strumienia, i nad wieczorem salonik pelen był już gości, na których twarzach występowały wszystkie uczucia niepokoju, oczekiwania i ciekawości, znamionujące podobne zebrania. Rozprawiano głośno o możliwości znalezienia testamentu i ogólnem zdaniem było, że Kasztelaniec nie miał czasu go zrobić; każdy jednak po cichu się go spo-

dziewał. Otwarcie pokoiów i rozpieczętowanie oddano wszakże do jutra.

Sobocki i Jasiak drżeli wyczekując chwili stanowczej, ale pierwszy nadrabiał miną jeszcze, gdy drugi zaszywał się w pokorę.

O południu nikogo w salonie nie brakowało; urzędnik przysłany dla zdjęcia pieczęci oczekiwał tylko hasła, którego nikt dać nie śmiał. Zbliżała się godzina rozwiązania wszystkich nadziei i obaw. Pan Piotr, który wiekiem i powagą przodkował, odezwał się że przystępują do rozpatrzenia pozostałości i poszukiwania testamentu. W téjże chwili Sobocki, który najwięcej mówił i krzątał się, nagle zniknął; Jaś zobaczył to, ale że użyty został za przewodnika, choć go to niepokoiło, odstąpić nie mógł.

Pierwsze drzwi do pokoju, oddzielającego salon od sypialni, zostały otworzone i biuro w którym znajdował się testament wpadło naprzód w oczy wszystkim. Złamano pieczęci... poczęto poszukiwanie, i szufladka po szufladce rozpatrywano nagromadzone papiery, po większej części mniej ważne. Były to listy i kopie odpowiedzi, rachunki, notatki, rejestra; już ostatnią kryjówkę pominąć nawet mieli, sądząc ze znalezione, że tu nic więcej oczekiwać nie można, gdy pan Piotr wysunął się i zawołał:

— Co to jest!

— Testament! — krzyknął ktoś spojrzawszy na napis i pieczęci.

— Testament! — powtórzyło kilka głosów, między którymi pana Pawła górował...

Oczy wszystkich zwróciły się na plik, i serca zażyły, pomieszanie rozlało się po twarzach.

— Stary zrobił testament! zrobił testament! — odzywali się niektórzy wyciągając szyje i usiłując przybliżyć do biura, — to rzecz dziwna!

— Nietylko że go zrobił, — dodał pan Piotr z uwagą mu się przypatrując — ale że go złożył w przechodnim pokoju, w biurze widocznie przeznaczonem na skład najmniej ważnych papierzyków.

— Może właśnie — przerwał urzędnik uśmiechając się — tam gdzie wiedział, że się go najmniej spodziewać można...

— Prosimy o odczytanie! — krzyknął niecierpliwy pan Paweł, myśląc już zaraz o wyrwaniu się do domu, i traktacjach z Hieronimem, jeśliby było o co.

— Za pozwoleniem — wstrzymał pan Piotr, — naprzód, obejdźmy wszystko, przekonajmy się że pieczęci nienaruszone... później przystąpimy do czytania ostatniej woli zmarłego.

Milczeniem wszyscy na to zezwolili; testament zatrzymał urzędnik, biuro zostało zamknięte, poszli dalej.

W sypialnym pokoju wszystko jeszcze przypominało niedawno ztąd odbiegłe życie, tylko zegarki nie ponakręcane stały; krzesło, z którego spadł uderzony apopleksją Kasztelaniec, jeszcze stało na środku, obok na stolicku szklanka z lemoniadą, przyniesiona przez panią Tryze. Oczy spadkobierców chciwie się zwracały na wszystkie strony, szukając kosztowności, o których tyle prawiono, ale ich nie było wiele na wierzchu. Wzmogła się ciekawość gdy przyszli do drzwi tajemniczego pokoju, w którym po kilka godzin na dzień trawił starzec. Jaś przystąpił z kluczem; drzwi, których progu nie przeszedł oddawna nikt obcy, otwały się dla cizby. Nic nie wyróżna zajęcia, z jakim się tu cisnęli wszyscy....

Pokój ten widziany przez Jasia, jużesmy powierchoinnie opisali; w pośrodku był stół z fotelem i krzesłem, na którym leżały rachunki jakieś niezrozumiałe i kilka talii kart, kałamarz i ołówki. Na ścianach parę obrazów, nędznych kopij z włoskiej szkoły, wystawiały szkaradne sceny rozpusty.... Niektórzy uśmiechnęli się spojrzawszy na nie, inni od-

wrócili oczy. Szafy i kufry pozamykane były szczelnie; dziedzice nie śmieli ich jeszcze przetrząsać, odemknęto tylko jedną i znaleziono stosy kart, flaszek, proszków, pigulek i znowu rachunki....

Każdy rad był się dowiedzieć, co się tam działo w tych okutych skrzyniach, które do koła pokój otaczały, w szkatułach i szafeczkach poustawianych po kątach; nikt nie śmiał proponować oglądu. Rzuciwszy więc tylko okiem poizbie do czasu zrobienia inventarza, wysunęli się po jednym dziedzice i znowu przyłożono pieczęci.... a urzędnik zabrał klucze.

Każdemu spieszo było do testamentu, i gęstym kołem stanęli wszyscy przy urzędniku, który powoli rozpatrując stan koperty, nienaruszoność pieczęci rozpostarł arkusz.

Na nim było tylko kilka wierszy.

Jaś drżał jak liść; cisza głęboka panowała w sali..., oczekiwanie wyrażało się posępnym, głuchym milczeniem. Ostatnia wola zmarłego, zamknięta była w kilku słowach, zapisywał cały swój majątek dobrokowcy Antoninie córce Józefa Zawilskiego i mężowi jej Sobockiemu, oddając wszystko pod zarząd męża, a Jasiowi i Michałowi Zawilskim, zostawując po 50,000 złotych; resztę familii usuwał zupełnie.

Jaś jakby piorunem rażony, zbladł, usta zaciął i gdyby nie to że był oparty o stół, upadłby może, tak silnie uczuł cios, który go raził. Wszyscy zdziwieni, osłupieli prawie, spojrzeli po sobie, nie rozumiejąc ani powodu, ani znaczenia tak dziwnego testamentu.

— Cóż to jest? — zawołał nareście pan Piotr biorąc do ręki papier, na którym znalazł podpisy świadków zmarłych i datę dwuletnią. — Co to jest? co to znaczy, dlaczego zmarły zapisał wszystko jój jednój?

Na to zapytanie naiwnie rzucone, nikt nieodpowiedział, bo wszyscy je właśnie zdumieni sobie samym zdawali, nie umiając rozwiązać. W twarzach przytomnych malował się zawód doznany, boleść, niepokój, niepewność; z kolei brali do rąk testament, rozpatrywali go i nie wiedzieli co począć. Sobockiego jeszcze nie było.... Wszedł właśnie niezgrabnie udając obojętność, gdy pan Antoni włożywszy na nos okulary, po raz trzeci odczytywał wolę zmarłego, kiwając głową i czmychając nad każdym wyrazem.

— Winszuję państwu — odezwał się poważnie do przybyłego pan Piotr, wskazując ręką na kartę —

żona i pan jesteście spadkobiercami zmarłego wyłącznemi. Pan Jan i Michał biorą tylko po pięćdziesiąt tysięcy. Nie pojmuje z nas nikt tego rozporządzenia, to pewna, ale je szanować będziemy....

Sobocki, zapomniawszy odegrać zdziwienia i radości, jak wypadało, podniósł głowę na obietnicę szanowania woli nieboszczyka z uśmiechem prawie szyderskim, mogącym znaczyć: — Chcielibyście ukąsić, ale nie potraficie.

Kilku uważniejszych uderzeni zostali wyrazem jego twarzy, dziwnie z okolicznościami niezgodnym.... Sobocki ukośnie spojrzał na Jasia, którego okiem szukał, i zadrżał czytając w nim złość, jaką wyrażały rozpalone oczy, chmurne czoło i zacięte do krwi wargi, z których kropla ciekła czerwona.

— Pan Piotr — odezwał się powolnie Antoni, wznosząc oczy ku Sobockiemu. — Pan Piotr mówi to w swoim imieniu, gdyż my, pozostali spadkobiercy nieboszczyka, nie myślimy przyjmować testamentu, dopóki go ścisły rozbiór nie okaże prawomocnym.

— Jakto? — obruszył się Kancelista. — Państwo byście śmieli mu zaprzeczyć?

— Naprzód — powolnie dodał August Pobiałą

z wysokości spoglądając na Sobockiego, — nie dowodzi, że późniejszego testamentu nie ma! Są tu formy! ale rzucony był do biurka między śmiecie, w przechodnim pokoju, datowany od lat dwóch; trochę osobliwsza i to, że świadkowie podpisani oba umarli! Prosimy o złożenie oryginału w sądzie....

Zadrzał Sobocki, widocznie zmieszał się, chciał ująć, wstrzymał, odwaga go opuszczała. Nie spodziewał się widać żadnej opozycji, i ta go nie przygotowanym schwyciła. Wzruszył ramionami, jak mógł zdobył na umiarkowanie i po chwili wybąknął:

— Anim wiedział o takiej woli zmarłego, anim się o nią starał.... zresztą, jeśli do prawa uciec się będzie potrzeba, z obowiązku męża, muszę bronić majątku żony mojej i dziecięcia.

— Ciekawym — syknął Jaś z kątką nagle, — jak opiekę Antosi i jej jedynaka powierzyć można człowiekowi, który ją zmusił do ucieczki z własnego domu?

Śmiech szyderski towarzyszył tym kilku wyrazom z pogardą wyrzeczonym. Sobocki spuścił głowę.

— Wszystko to — rzekł gniew tłumiąc — prawo rozstrzygnie; ja, jako jedyny spadkobierca proszę

o zdanie mi majątku.... Ci panowie niech się procesują kiedy chcą.

— Powoli! powoli! — przerwali Pobiałowie i pan Piotr — my żądamy pieczęci, administracyi i procesu!

Nikt nie zważał, jak wśród zamieszania zrodzonego tą sceną, Paweł, który nie wiedział co z sobą zrobić, a miał wyraźny rozkaz od żony przybycia dla narady natychmiast po odczytaniu testamentu, wysunął się z pokoju, dopadł swojej bryczki i poleciał do domu.

Byłby rozpacział zaprawdę, gdyby opór pana Piotra, Antoniego i Pobiałów, nie czynił mu nadziei złamania testamentu i unieważnienia go; wszakże szalenie bolała go głowa, rzucał się zjadły, zaciskał pięści i zmieniony udręczeniem do niepoznania, wpadł do dworu w Horoszkach. Przez chwilę nikt się słowa od niego dopytać nie mógł.... Hiacynta trzeźwiła go, żona niecierpliwiła się, córka ruszała ramionami z politowaniem.

— Cóż się stało? Był testament!

— Był! był!

— Komuż zapisał? komu zapisał?

— Antosi Sobockiej....

— Ale to nie może być! Cóż jej zapisał?

— Wszystko!

— Wszystko! — krzyknęła Julia łamiąc ręce i spoglądając na Petrę. — Rozumiem — dodała z gorzkim uśmiechem. — Pawle! Pawle, czy ci się nie śni, czyż to być może?....

— Tak jest.

— I wy na to zezwalacie!

— My, to jest Piotr, ojciec i inni, nie chcą na to pozwolić, będzie proces.... możnaby w ciągu sprawy, widząc jak to pójdzie, ponabywać pretensye.... Właśnie przyjechałem się z tobą poradzić.... ojciec postąpi jak ja go namówię.... Czy się mamy łączyć do procesu?

— Do procesu! do ostatniej koszuli! — odezwała się Julia — to się ma rozumieć! tu nie ma nad czém myśleć. Waćpan odmień konie, siadaj i jedź napowrót... będziemy się procesować musimy! Całą fortunę jęj jednę, to się nie utrzyma! to być nie może.

Nie dano nawet wytchnąć Pawłowi, który napojony naprędce fusami zamiast kawy, musiał wsiąść na bryczkę znowu, z poleceniem żony aby się procesowano do upadłego, i ruszył nazad do Strumienia.

Chciał on wstąpić do Hieronima i oznajmić mu o testamencie, ale Julia teraz mniej o braterstwo dbająca, powiedziała mu że do nich z tém poszle, i czém prędzej wyprawiła napowrót.

Hieronim, wróciwszy z pola późnym wieczorem, znalazł karteczkę, odczytał ją, nie zdziwił się wcale, ruszył ramionami i do żony się tylko odezwał:

— Widzisz kochanie, otóż i po Horoszkach i po naszych nadziejach! Antosia bierze owe miliony! Cha! cha! niechże ja, to ja.... niewielem się i niedługo spodziewał; ale inni, co za zawód okrutny!.... Doprawdy żal mi ich serdecznie.

Konstancya z westchnieniem spuściła głowę: — Wola Boża — rzekła — szczęściem że cię to nie trapi!

Bryczka pana Pawła, wpadająca na dziedziniec z jednej strony, zetknęła się prawie z drugą, od parafialnego miasteczka wiozącą księdza proboszcza Bakałowskiego. Z nim razem weszli do salki na dole, w której niemal całe wczorajsze zgromadzenie znajdowało się jeszcze, miano rozpoczynać spisywanie inwentarzy i ścisły przegląd papierów, gdyż wielu z familli oczekiwali w nich czegoś jeszcze....

Na progu ukazujący się proboszcz, zwabił naprzeciwno siebie pana Piotra, Antoniego i Augusta — podeszli ku niemu witając go uprzejmie.

— Darujcie mi panowie Dobrodzieje — odezwał się kapłan — alem opóźnieniu nie winien...

byłem u krewnych, nie przewidywałem nigdy tak nagłej śmierci Kasztelanica....

— Któżby się był mógł spodziewać tego — odparł pan August. — Wszakże dziękujemy panu Dobrodziejowi za starania jego wikaryusza; wszystko co się tycze pogrzebu odbyło się jak najprzystojniej....

Ksiądz skłonił głowę.

— Ja bo mam względem Waćpanów Dobrodziejów inny jeszcze obowiązek.

— Obowiązek? — podchwycił pan Piotr.

— A tak jest, nieboszyk powierzył mi testament! — rzekł ksiądz Bakałowski.

Sobocki, który odepchnięty od wszystkich, stał w kącie z wyrazem wyzywu na twarzy, dosłyszał z cicha wymówione słowa, porwał się z miejsca i zdrętwiał.

— Testament! — powtórzyli wszyscy! — drugi testament! drugi testament! I odżywione na twarzach nadzieje błysnęły, a co żyło skupiło się do księdza.

— Jakto drugi? — zapytał proboszcz — alboż był jaki inny? ja wiem z pewnością, że zmarły ten jeden tylko przygotował....

Głuchym milczeniem przyjęto te wyrazy i oczy zwróciły się na Sobockiego, który zdawał się chcieć

a niemódz uciekać. Stał jak obwiniony, potępiając się swoim przestępstwem.

— Tak jest — kończył ksiądz Bakałowski — nieboszyk, którego raz tylko widziałem, na krótko przed śmiercią swoją, wezwał mnie do siebie pod pozorem układu o dziesięć. Przybyłem, ale mi nie dał mówić o nich, i począwszy się uskarżać na tych co go otaczali, niemogąc nikomu zaufać, oddał mi swoją wolę ostatnią, wyraźnie nadmieniwszy, że to był jedyny jaki zrobił testament.

To mówiąc proboszcz wydobył kopertę starannie opieczętowaną i ukazał ją przytomnym.

— Za pozwoleniem — rzekł wymownie pan August — ponieważ charakter kapłana i osoby jego ręczy za rzetelność tego co Waćpan Dobrodziej nam powiadasz, cóż znaczy pierwszy testament? Były to więc rzeczy podrobione.... Stary axiomat, *is fecit cui protest*, zniewala nas naprzód upewnić się o osobie tego, którego mamy prawo uważać za szalbierza....

Obrócił się do urzędnika, wzywając go żeby Sobockiego aresztowano, gdy Kancelista nagle przecisnął się przez ciżbę stojących i gnany strachem panicznym, począł uciekać. Ruszył się wprawdzie dla formy urzędnik, ale nikt nie chciał więcej łapać obwinionego, który szczęśliwie umknąć potrafił.

Teraz większa jeszcze ciekawość podbudzała do odczytania testamentu, a pan Paweł, docisnąwszy się do stolika przy którym otwarty został, uchem ciekawem chwycił następujące dobitnie odczytane wyrazy:

„Nie miałem myśli i zamiaru majątkiem moim rozporządzać, bo mi to zupełnie obojętne, kto go po mnie weźmie; dla nikogo z krewnych moich nie mam szczególnego afektu, ani wdzięczności. Ostatniemi czasy nadskakiwania jednych, zdrady drugich osób do rodziny należących, poddały mi myśl zawiedzenia nadziei wszystkich. Tyle mi dokuczali i ci których miałem przy sobie, i ci którzy się naciskali, obsypując grzecznościami i interesowanemi nadskakiwaniami, że powziąłem niezłamaną wolę zostawienia majątku komuś całkiem mi nieznajomemu. A że z całej rodziny mojej, jeden tylko pan Hieronim Zawilski nigdy u mnie nie był, nic mi nigdy nie przysłał, listów do mnie nie pisywał, i z tego wnoszę, że więcej wart od innych, których miałem szczęście poznać; przeto temuż JMP. Hieronimowi Zawilskiemu, synowi brata mojego Antoniego, przelewam, zapisuję, zostawiam, daję i darowuję, wszystko co w dniu śmierci mojej, w majątku ruchomym i nieruchomym

mieć będę, nic nie wyjmując i nie ekscypując. Ażeby zaś ta wola moja najmniejszej nie ulegała wątpliwości, drugi podobnie co do słowa spisany testament, przesyłam do sądu głównego. Co własnoręcznie, przytomny na ciele i umyśle zupełnie zdrow, podpisuję.

Stanisław z Zawila Zawilski

Kasztelanie Pr....mp.

Paweł mało nie oszalał słysząc te słowa, nastawiał uszy, usiłował zrozumieć, w głowie mu się mieszało, nie pojmował.

Pan Piotr mimowolnie się rozśmiał, a za nim pan August choć kwaśno, ale dla dobrego tonu poklasnął.

— A to pocieszna historia! — zawołał stary pan Antoni zrywając się z krzeselka — Hieronim sukcesuje! Hieronim! to żarty chyba!

— Wcale nie żarty — odparł ksiądz Bakałowski — najmniejszej nie ma kwestyi; testament jest jak być może najważniejszym, a jakkolwiek powody dziwne, wie podobno Bóg co robi.

Reszta współdziedziców stała, poglądając wzajemnie na kwaśne swe twarze, aż wielkim chórem wybuchło oburzenie.

— To szaleniec! — wołał pan Józef kulą stuka-

jąc o podłogę — patrzcie! odpisywał ślicznie! dziękował, wdzięczny się a figla chciał splatać za nasze dobre chęci. Niech żeby był powiedział, że mu te grzeczności nie w smak, bylibyśmy się chętnie od nich uwolnili....

— Taki testament — dodał pan Paweł — w pierwszym serworze, może być zwalony, bo w nim jest widoczny ślad pomieszania!

Inni tę myśl pochwycili za nim.

— Tak, tak! to dowód nieprzytomności! to wyraźne pomieszanie.

— Za pozwoleniem — przerwał proboszcz żywo — mówiłem z nim prawie całą godzinę, i poświadczę, że pisząc to był najzupełniej przytomny. Obowiązkiem jest moim uczynić to zeznanie, a obowiązkowi nie uchybię.

Zawstydził się trochę pan Paweł, zamilkli żwawsi, pospuszczali głowy....

— Nie! nie! — zawołał pan Piotr — nie mamy i nie możemy nic przeciwko temu testamentowi; ja pierwszy bronić go będę. — Hieronim zasłużył na tę łaskę losu; zresztą, któż z nas dorobkowym majątkiem rozporządzić prawa mu odmówi? Ktokol-

wiek myśli o procesie niech będzie pewien, że dar-moby się nań naraził — testament się utrzyma.

— Nie ma najmniejszej wątpliwości — rzekł ksiądz.

— I ja tak myślę — dodał pan Antoni.

— To pewna! — potwierdził urzędnik.

Inni milczeniem się zgadzali. W istocie, nie było powodu oponowania; Paweł zwąchał że nie ma in-niej rady jak zawczasu sobie brata zaskarbić; znowu więc z pokoju się cichaczem wymknął, siadł na le-dwie wyprężoną bryczkę, i choćby konie popadać miały, poleciał nazad.

Całą noc tak tłukł się po najgorszej drodze, usi-łując wyprzedzić umyślnego, którego do Hieronima z oznajmieniem wyprawić miano. Nad rankiem, nie-popasając nigdzie, ochwaciwszy parę koni, stanął przed zamkniętym dworkiem, a że pilno mu było zobaczyć się z żoną, począł stukać do drzwi i budzić w najlepsze usypiających jeszcze.

Julia przeleżała się spostrzegłszy go przybywają-cego o tak niezwykłej godzinie, a miarkując z tego jak ważne przyznać go musiały okoliczności, dostała palpitacyi serca. Panna Hiacynta wbiegła w nocnym dezalbiku, przerażająca swą kościstą fizyognomią, ale

tak ciekawa, że ją nawet od napadu na pokój sympialny, przytomność pana Pawła nie mogła powstrzymać.

Ocucono serdecznym śmiechem zagrożoną Julię, i Paweł, widząc jaki skutek wywarło na nią same jego przybycie, nie wiedział już czy dalej mówić czy milczeć; łatwo mu się było domyslić, co za wrażenie zrobić może wiadomość o drugim testamencie, ne korzystać Hieronima.

Wahał się jeszcze co począć, gdy Julia wpadła nań z gniewem prawie.

— Mówże, czegoś tak wleciał i mnie przeraził; co się znowu stało z tą przeklętą sukcesją?

— O prawda że przeklęta! — westchnął pan Paweł, zbolale czując już w sobie kości od nieustannych przejażdżek — ale tu znowu całkiem nowe historye!

— Cóż nowego! co nowego?

— Oto naprzód, że pierwszy testament był podrobiony i pokazał się fałszywy; pisał go widać i podrzucił Sobocki, jak? nikt nie wie. Kasztelanic zrobił wprawdzie testament, ale go powierzył do schowania księdzu Bakałowskiemu. Proboszcza nie było gdy umarł, dopiero teraz powrócił i zjechał z testa-

mentem. Sobocki, jak się tylko dowiedział o tém, drapnął.

— Ale cóż w nowym testamencie, na miłość Boga? — krzyknęła Julia — czy go czytali?

— Czytali — dodał smutnie pan Paweł — ale i drugi nie rozumniejszy od pierwszego.

— I komuż znowu zapisał? Jasiowi?

— Gdzież tam!

— Faworytom?

— O! nigdy nie zgadniesz.... To był szalony starzec, pisze że tyle mu familia dokuczyła, iż jednemu temu zapisuje, którego w życiu na oczy nie widział to jest Hieronimowi!

Julia krzyknęła przeraźliwie, w jednej koszuli porwała się z łóżka i poczęła biegać, wołając:

— Proces! proces! to być nie może!

— Ani sposobu zważyć testamentu! — odparł skłopotany pan Paweł — wszyscy tam nad tém myśleli, ale darmo.... Teraz wszyscyśmy na łasce Hieronima.

— A! Jezu! — zawołała żona — czyż można było doczekać takiego upokorzenia! My, ubożsi od niego! my! na jego łasce! a! to umrzeć potrzeba... Słyszysz, Hiacynto, słyszysz to! pojeźdź to rzecz!

— Niechże się pani uspokoi — przerwała usiłując dogonić latającą po pokoju panna Hiacynta. — Pani się rozchorujesz.

— Tak! a tu potrzeba radzić! — dodał Paweł, dość stoicznie znosząc fochy żony.

Julia usiadła przecie, ale strapiona, złamana, i zadumała się mocno, głęboko; westchnienie po westchnieniu burzliwie wydobywały się z jej piersi.... chciała płakać i złość nie puszczała łzów.

— Co tu począć! — mrużyć zaczęła — co zrobić! upokorzenie! nieszczęście! — Czy Hieronim wie już o tém.

— Właśnie jeszcze nie dotąd nie wie, a ja mało karku nie skręciłem po nocy lecąc tu, chcąc wyprzedzić posłańców.... Możemy jeszcze powtórnie się zbliżyć do niego; on nie wiele dba o miliony, kto wie, moglibyśmy piękny zrobić interes!

Julia żywo się uśmiechnęła.

— Trzeba próbować — rzekła spokojnie, — pójdziesz do niego jutro rano, jak gdybyś nic o drugim testamencie nie wiedział, będziesz serdecznym.... musisz się starać go sobie zjednać.

— Pójdę — odpowiedział Paweł — poprobuję, ale mnie inna myśl przychodziła....

— Otóżem ciekawa.

— Na co jemu taki majątek! — odparł mąż po cichu, trochę się wstydząc przed sobą myśli, z którą się musiał wynurzyć.... On o to nie dba i zająć się taką fortuną nie potrafi. Dalibyśmy mu Horoszki, niby na niewidziane schedę jego targując.... kto wie, mnie się zdaje, że za nie rzekłby się wszystkiego....

Julia pomyślała chwilę, kiwając głową.

— A! zapewne — rzekła — pięknieby to było, ale czy się uda.... Dowiedzą się ludzie, że na pewno traktowałeś.... będą cię palcami wytykać za brata.

— O! moja pani! — odważył się powiedzieć pan Paweł — milionowych nie wytykają palcami....

— Upokarzająca to dla ludzkości, ale pełna rzeczywistości prawda! — powiedziała panna Hiacynta.

— Nie! nie — szepnęła Julia.... to by się utrzymać nie mogło.... to niepodobna!

— Hieronim jak raz da słowo, dla milionów go nie złamie — rzekł Paweł.

— Myślisz?

— Jestem tego najpewniejszy.

— Ale tobą pogardzać będzie jak oszustem.... Uśmiechnął się pan Paweł.

— Miliony Julko, to wielka rzecz; warto coś dla

nich przycierpieć, a w sumieniu będę spokojny, bo Hieronimowi to niepotrzebne — naiwnie dokończył brat.

— Róbże sobie co chcesz, kiedyś tak rozumny — odpowiedziała kładąc się w łóżko Julia — ale to już nie będzie ani moją radą, ani moją głową; coś z niego skorzystać, nie mówię; tak go podejść znowu! to się choć wynosić z kraju...

— No! to się wyniesiemy! — zawołał pan Paweł — ja z tym majątkiem znajdę wszędzie kraj i przyjaciół i stosunki...

Julia pomiarkowała, że szlachetnego zapалу męża wstrzymać nie potrafi, wołała ustąpić mu, zostawując sobie w zapasie swobodę wyrzucania mu jego postępków, jeśliby się nie udał.

Pan Paweł, jakkolwiek przymęczony mocno drogą, nie położył się spać, konie kazał schować i z niecierpliwością dnia i godziny wyglądał żeby do Hieronima przystąpić. Dziwne a coraz zuchwalsze projekta przechodziły mu przez głowę — a zasadą wszystkich było oszukanie brata.

Nareście, niecierpliwie oczekiwany raneek zaświtał, rozedniało, pogodny zimowy dzionek, ze słońcem tak w naszej chmurnej zimie drogiem, wesołe liczko pokazał.

Później nieco można było Hieronima nie zastać, mógł nadbiedzić posłaniec, potrzeba się było spieszyć i choć godzina nie ze wszystkiém się godziła do odwiedzin, pan Paweł pospieszył do dworku. A idąc dumał i dumał.

— Do czego to jemu! do czego! ani użyć, ani się tém pocieszyć nawet nie potrafi!

Sumienie gryzło trochę, usprawiedliwiał się jak mógł przed samym sobą.

— Tak! tak! — mówił — on tego ani pożałuje... dosyć mu bardzo Horoszek... a już mu całe oddam i ustąpię... remanent tylko mógłbym wyeksypować... Ale nie! powiedzą żem zbyt rachunkowy! oddam mu je z remanentem, jak są!

Przed bramą spotkali się z Hieronimem, który ze strzelbą na ramieniu, wesół i uśmiechnięty, wychodził na polowanie.

— A! dzień dobry.

— Dzień dobry ci bracie.

— Cóż to, na polowanko?

— Jak widzisz, trochę ponowy, szadz przytém, psy dobrze pójda, może się zajaczek jaki zastrzeli. Kostusia lubi zwierzynę.

— A ja, panie Hieronimie, jak widzisz, gdyby

z krzyża zdjęty; powróciłem ze Strumienia, darmo kości nabiwszy. Właściem ci przyszedł zwiastować... wszak to....

— Ale ja wiem o wszystkiém.

— Jakto! — z przestachem spytał Paweł.

— Sobocki tedy sukceduje; wygramy na tém, bo z kancelaryi wyleci i da nam pokój. — To mówiąc rozśmiał się Hieronim i chciał iść dalej, bo mu pilno było użyć pięknego ranka; gdy Paweł, który nie bardzo rad był go puścić, wstrzymał go nieco.

— Chciałem się z bratem rozmówić trochę, — rzekł — bo to jednak rzeczy nieskończone! Kto wie! będziemy się procesowali, może co i wygramy!

— A! to się sobie procesujcie i wygrywajcie — odparł obojętnie ruszając ramionami myśliwy, — mnie szkoda ranka, idę do lasu....

— No! to przejdziemy się trochę razem, bo i ja chciałem użyć świeżego powietrza, — dodał szybko Paweł nie chcąc wypuścić brata.

— Ale ci to nieprzywykłem może zaszkodzić? — rzekł Hieronim — ty rzadko w takiej porze się przechadzasz.

— I owszem! i owszem; ale w którą idziesz stronę.

— Ku Zahalemu, jak widzisz!

— To dobrze; ja chcę moją sienną stertę zobaczyć to będzie po drodze..... pójdziemy razem.

— Niewiem tylko czy ty się ze mną zejdziesz?

— O! ja tak szybko chodzę! nie uwierzysz! — prędko podchwycił Paweł. Otóż, o czém to mówiliśmy! a! o tej przeklętej sukcesyi! Wystaw sobie, wszyscy są za procesem.....

Hieronim powtórnie ramionami ruszył.

— Jeśli chcą, niech probują szczęścia....

— I ojciec nawet....

— Szanuję wolę jego, niepodzielam zdania....

— A więc, ty, tobyś się gotów i rzec co by na ciebie przypadło! — podchwycił niby śmiejąc się Paweł.

— Zrzec się, nie — rzekł Hieronim — mam dzieci, panie Pawle; ale że należyć do procesu nie mogę to pewna..... pieniędzy nie mam, głowy do niego weale..... do czegożbym się zdał?

— Wszyscy mówią, że coś wygrać możemy!....

— Dalby to Bóg, ja w to niewierzę!

Rozmowa toczyła się tak obojętnie i do propozycji nie było jakoś zreczności; choć się Paweł usiłował zbliżyć do nich, szło mu oporem, język koło-

waciał w ustach..... a tu strach jeszcze by posłaniec nie nadbiegł..... Szczęściem byli w polu, gdzie ich odszukać było nie łatwo.

— Co do mnie — powoli rzekł po chwili — ja muszę ojcu do procesu dopomagać..... nawet miałem tę myśl, żeby wszystkich co o to nie bardzo dbają schedy ponabywać i samemu już parać się z panem Sobockim.

Hieronim spojrzał na niego, ale pan Paweł oczy miał spuszczone, minę niewinną.

— A! nabywasz — uśmiechnął się Hieronim. (Teraz to rozumiem — dodał w duchu — po co ze mną ku Zahalemu poszedł). Cóżbyś na przykład dał za moje nadzieje? jam ci je gotów bardzo odstąpić.

Paweł aż zadrżał, ale pomyślał sobie; jak mu dam od razu całe Horoszki, pomiarkuje że coś jest, będą się powoli targować: — więc zaczął:

— Na przykład, a cożbyś ty chciał?

— Ja? — rzekł Hieronim — toby potrzeba pomyśleć co to może być warto; słuszną jest żebyś zarobił, bo cię proces i kłopotu i pieniędzy siła będzie kosztował: nie zechcesz jednak zapewne żebym znowu wiele tracił.

Paweł tylko pomruczał coś pod nosem:

— W najszcześniejszym razie — dodał pierwszy, licząc spadek po Kasztelanicy do trzech milionów, na schedę ojca wypadłoby do sześciukroć, a że nas jest troje, po dwakroć na każdą głowę. Trzeba naturalnie żebyś coś zyskał. Mówił i uśmiechał się Hieronim, mając to wszystko za żarty; Paweł słuchał bardzo uważnie.

— Ho! ho! wysoko bo widzę cenisz to co jeszcze wydobyć z niczego potrzeba — rzekł seryo — ale ja, gdyby co do czego przyszło, ryzykuję.

— To też mówimy tylko aby mówić — odparł młodszy.....

— No, ale gdyby się to na seryo traktowało? — począł Paweł znowu.

— Zdaje mi się, że to być nie może — odpowiedział pierwszy — bałbym się ciebie oszukać a ty mnie takżebyś niechciał zapewne.

Gdy to mówił, wołanie jakieś za niemi słyszeć się dało; Paweł zadrżał i pobladł, Hieronim się odwrócił; ode dworku szybkim krokiem ktoś ku nim pędził. Oba poznać nie mogli kto to był taki, tylko poły szarą kapotę wiatr mu podnosił, a na głowie żółciała stara lisia kapuza.

— Zaczekajmy, ktoś goni! — wstrzymał się Hie-

ronim — choć doprawdy nie rad jestem gościowi ran-nemu, co mnie polowania pozbawi.

Postrzegł Paweł że nie było ratunku, i że dalsze upieranie się w traktowaniu zgubić go mogło; obawiał się żeby Hieronimowi nie powiedziano później iż był przytomny czytaniu drugiego testamentu, ruszył tedy konceptem i poznawszy iż goniący za niemi był dziadunio Dymitr, rozśmiał się serdecznie, rzucając w objęcia Hieronima, który zdumiony, niepojmował co się tak nagle bratu stało.

— Widzisz, jakby to cię łatwo podejść i oszukać można, chciałem ci dać nauczkę!

— Co to jest?

— Nic..... tylko masz wiedzieć że Kasztelanica cały majątek tobie zapisała!

— Dosyć żartów! — chmurno rzekł młodszy brat, co to ma znaczyć!

— Przysięgam ci, że tak jest! Cały, cały majątek!

Hieronim zupełnie nie zrozumiał, a już i dziadunio nadchodził coraz żywszym krokiem, wołając z daleka:

— *Szczasliwomu szczęście* (1). Jak się masz kochany dziedzicu! Stój! niech ci powinszuję!

(1) Szczęśliwemu szczęście.

— Państwoście się zmówili żeby mi głowę zawrócić! odezwał się Hieronim.

— Ale jak mi Bóg miły tak jest! tak jest! jak mówię, kochany braciszku! — krzyknął Paweł — Kasztelanica zrobił cię jedynym sukcesorem wszystkiego.

— Cóż mu się stało? za co? jak?

— Za to żeś nigdy u niego nogą nie postąpił! — dodał zdyszany dziadunio, nadbiegając z oczyma pełnemi łez, które i mróz i rozczulenie wyciskały. *Stryjna, wujna, bis ne rodyna!* (1) powiadają, a tobie właśnie stryjasek się przysłużył! Oj! nie małego będziesz miał kłopotu!

I zacierał ręce i śmiał się.

— A i pan Paweł tu? — dodał obracając się ku niemu.

— Właśnie go powoli przygotowując do jego szczęścia, oznajmowałem o tém, ale nie chce wierzyć.

— To rozumiem — odparł pan Dymitr Palucki — łatwiej będzie niż szczęściu dać wiarę, ale tymczasem tak jest. *Tiahny kobyło, хочz tia ne myło* (2). Cóż ty na to, panie Hieronimie?

(1) Stryj—wuj—szatan nie krewny.

(2) Ciągnij kobyło, choć ci nie miło.

Hieronim zupełnie nieprzytomny prawie, wodził ręką po czole, jakby sen jakiś dziwny chciał z niego odpędzić; zamiast radości twarz jego wyrażała zamyślenie głębokie, zawrócił się ku domowi.

— To być nie może! — powtórzył raz jeszcze — mnie zapisał! mnie! którego nie zna!

— Właśnie dlatego żeś mu się nie naprzykrzał, śmiejąc się dodał dziadunio. Lubie go teraz! szalony dziad, ale mu Pan Bóg raz w życiu rozum dał! Ale taki zawsze po przysłowiu prawda, że *swyjj koły ne ukusyť, to uszczypne* (1), bo testament nie słodki! Het! nas wszystkich obrzydził!

— Ale jakże to było? to sen chyba! — rzekł Hieronim — jeszcze nic nie rozumiem.

— Ot jak było — rzekł Dymitr — o Sobockim Waściesz, że próbował testamencik sobie sporządzić, może z Jasiem na wspólną. *Płut na płucie jediet i płutom pohaniujut* (2). Tymczasem prawdziwy testament był u księdza Bakałowskiego; nadjechał z nim kiedyśmy jeszcze byli tam wszyscy, i z wielkiem podziwieniem wyczytaliśmy co słyszysz. Wyraźnie pisze, że dlatego i za to ci zapisał, iż u niego ani razu nie byłeś?

(1) Swój jak nie ukąsi—to uszczypnie.

(2) Łotr na łotrze jedzie, łotrem poganiają.

— Jakto? wszystko a wszystko! — wykrzyknął Hieronim.

— Co do grosza! witam cię milionowy chłopie, dodał dziadunio. A co? *ťažko nesty a žal pokinuty?* (1)—roześmiał się staruszek.

Odurzonego tym wypadkiem pana Hieronima wiedli tak do dworu pan Paweł uśmiechający się gorzko i wesoły dziadunio, a już naprzeciw niego szła Konstancya żywo, obawiając się nie bez przyczyny wrażenia, jakie wiadomość nagła mogła sprawić na mężu.

Milcząc spotkali się małżonkowie.

— Słyszałaś? — spytał Hieronim.

— Wiem! wiem! Bóg nad miarę na nas łaskaw! a! serce mi pęka! dzieci nasze będą szczęśliwe!

Hieronim dziwnie się uśmiechnął.

— Kobięto — rzekł — alboż to pieniądz daje szczęście!

— Daj ci Boże zdrowie, żeś to miał siłę w takiej chwili powiedzieć! — wykrzyknął dziadunio — nie oszalejesz od bogactwa!

Paweł to się uśmiechał, to krzywił i nie wiedział co począć z sobą, a odejść niechciał, czując potrzebę zasługiwania się bratu.

(1) Ciężko nieść, a żal porzucić.

— Potrzeba żebyś zaraz jechał do Strumienia — szepnął dziadunio — cała familia mnie tu po ciebie przysłała, czekając tam Jegomości.

— Pozwólcie mi myśli zebrać, opamiętać się, rozmyślić, wytrzeźwić — odparł zbogacony — przyjść jeszcze do siebie nie mogę. Boję się żeby te skarby głowy mi nie zawróciły.

— Panie Pawle — cicho szepnął Dymitr — dajmy im trochę pokój, niech się z sobą poradzą i pocieszą, bo wielka radość jest jak wielkie strapienie, nie bardzo zdrowa. Ja do Waści na śniadanie.

Jakkolwiek Pawłowi niechciało się odchodzić, gdy go pod rękę ujął dziadunio, musiał z nim ruszyć do dworu. Hieronim usiadł na ławce z żoną i głęboko się zadumał.

W większym dworze tymczasem oczekiwano niecierpliwie powrotu pana Pawła, a Julia powtarzała, chodząc z panną Hiacyntą po pokoju: — Na co to tym ludziom! do czego to tój sroczce! prawdziwie, zawszem myślała że los głupi, ale nie myślałam żeby do tego stopnia się omylił!

Po twarzy pana Pawła poznać było łatwo, że nie nie zrobił; nos miała czerwony od przymrozku

i spuszczonej na kwintę, ale przy dziaduniu opowiedzieć nie nie mógł. Westchnął tylko.

— Jakże to Hieronim przyjął? — spytała Julia.

— Zachciałaś Asindzka — odparł stary — to dziwny człowiek — *dosyt z Lacha kurki* (1), jemu to nie tyle radości co kłopotu narobiło!

— Zawsze się dostanie takiemu co nawet się nie ucieszy! — szepnęła Julia.

— Ale że użyć potrafi pocziwie, — to ręczę — rzekł Dymitr.

Rozmawiano długo i żywo, a było bo o czém! Tak nagle zmiana położenia, to niespodziane wzniesienie się Hieronima, konieczność przypochlebiania się tym, któremi się gardziło, w głowie obojga państwa Pawłów pomieścić się nie mogły; chmurno poglądali, wzdychali i gdyby nie staruszek, mieli wielką ochotę jedno drugiemu wymawiać niepowodzenie, którego doznali.

W parę godzin, dawszy Hieronimowi wypocząć po wrażeniu, dziadunio ruszył do niego; ale pan Paweł nie puścił go samego, pociągnął także za nim.

Zastali oboje Hieronimstwo w pierwszej izdebce, zupełnie spokojnych i rozmawiających swobodnie;

(1) *Dosyt z Lacha kurki.*

czoło milionowego spadkobiercy już się było wypo-
godziło, znać tylko na powiece żony jeszcze nie za-
schłą łzę jakąś. Dziadunio pilnie obejrzał twarze
i wyraz ich go ucieszył.

— No! kochany Hieronimie — rzekł — *Czas na
czasu ne stoi* (1), potrzeba ci do Strumienia jechać
bo tam czekają na ciebie.

— Już kazałem zaprzęgać! — odpowiedział po-
wolnie gospodarz.

— A i mnie weźmiesz z sobą; moja szkapą zmę-
czona — dodał Dymitr — pojedę z Waszmością.

— Dobrze, z całego serca.

— Ja także za bratem pośpieszę — odezwał się
Paweł — ale czy nie lepiejby było koczem mojej żo-
ny..... pojechalibyśmy razem.

— A mnie kocz na co? — ze śmiechem zapytał
Hieronim.

— Juściż tak wózkiem zajechać?

— Cóż to szkodzi?

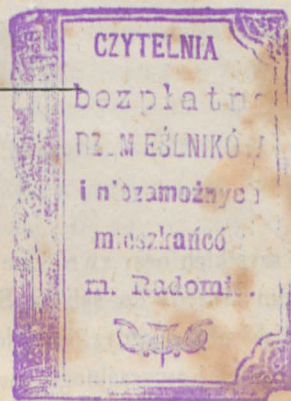
— Śmiać się będą.

— Niech się śmieją!

Paweł polecał wydać rozkazy zaprzęgnięcia swojej

(1) Czas na czasie nie stoi.

najdyczanki; dziadunio sam został z obojgiem Hiero-
nimostwem, ale o nic ich nie spytał, nic im nie radził.
Hieronim też o spadku nie zagadał, chodził po izdeb-
ce zamysłony. Żona jego krzątała się około wyboru
do drogi.



Wszystkich oczy zwrócone były na drzwi, gdy Hieronim wszedł do sali w Strumieniu. Jego prosty wiejski ubiór, gdyż dziedzic milionów Kasztelanica, nie zmienił zwyczajnego swego stroju z szarego sukna, twarz ogorzała, czoło zorane pracą i niedostatkiem, dziwnie odbiły się wśród wytworniejszych ubiorów i białych lic familli, z nadskakującą witającą go grzecznością.

On tu raz pierwszy w życiu był główną figurą, ogniskiem. Niektórzy spojrzeli po sobie i widać było myśl przelatującą po twarzach. Do czego to jemu! co on z tém zrobi!

Każdy jednak pospieszył uścisnąć zamuloną dłoń wieśniaka, i starał się już pozyskać go sobie, wyrazem oczu, ust lub słówkiem słodczy pełnem. Jakoś gorzko to przyjmował Hieronim, którego dusza oburzała się może na te hołdy i cześć oddawane bożkowi grosza.

Pomimo prostoty ubioru, rubasznych ruchów i wieśniaczego układu, oko postrzegacza byłoby zawsze wyróżniło tę postać, na której malował się nawet bogactwy nie zatruty spokój, szlachetność i wesele pocziwój duszy. Nikt z przytomnych nie miał tego pogodnego spojrzenia, téj siły w sobie co on. Nie zmieszali go ludzie, nie wbiły w dumę pokłony, nie upoiła woń kadzideł,— pozostał czém był.

Pierwszy pan Piotr, przystąpił do niego.

— Hieronimie,— rzekł,— szczerze ci powiadam, że się cieszę twojém szczęściem; tyś na nie zasłużył... Daj Boże, żebyś użyć umiał na dobre tego, co ci los daje.

W milczeniu dłoń pocziwą uściskał przybyły; za Piotrem zbliżać się poczęli wszyscy i witać i winiszować i kłaniać. Szmer głuchy panował w salce.

— Patrzcie,— mówił pan August Pobiałą do Tomasza,— jako czarodziejski ten pieniądz ludzi formu-

je... ten Jegomość tak już pewien siebie, tak śmiały, jakby się nieustannie o ludzi ocierał, a jednak ledwie pierwszy raz wylazł ze swojej skorupki.

— Ale wszyscy się zgadzają na to, że bardzo uczciwy człowiek!

— Wszyscy co biorą i mają miliony, są nadzwyczaj uczciwi ludzie, — z uśmiechem dowcipnym, dodał pan August.

— I czyto potrafi utrzymać, zarządzić, gospodarować, — przerwał kulawy Józef, — wątpię! wątpię!

Stary ojciec z rozrzwinięciem przystąpił do syna.

— Widzisz Hieronimku, rzekł ze łzami, — ja zawsze ci prorokowałem, że się to złe, na któreście boleli, odmienić musi. Chwała Bogu, winszuję, błogosławię ci! Nie wątpię że użyjesz dobrze i o rodzinie, nie zapomnisz...

Rotmistrz, że to nie był wcale gadatliwy człowiek, a serce miał dobre, przyszedł tylko do Hieronima i pocałował go z obu stron w twarz, ale słowa nie rzekł.

— Nikt ci spadku nie zaprzecza — dodał po namyśle pan Piotr; prawo za tobą — a zatem chcieliśmy ci tylko powinszować...

Hieronim wciąż stał milczący.

— Za pozwoleniem — odezwał się po chwili — wiem co jest moim obowiązkiem — chcecie mnie posłuchać.

Cisza głęboka przeleciała salę i szmer tylko cisnących się krewnych do koła Hieronima niekiedy ją przerywał. On spojrzał na dziadunia, i odezwał się śmielęj:

— Nigdy w życiu nie pragnął majątku, ani posiadania jego ceniał wysoko; byłem ubogi i nauczyłem się, że ubóstwo nie jest tak wielkim złem. W spadku, który mi testament nieboszczyka przekazuje, widzę tylko zlecenie zmarłego; — powierzył mi majątek, nie mogąc go sam podzielić. Oświadczam więc, że nie chcę dziedzictwa wyłącznego, nie przyjmuję go, i do podziału równego, przypuszczam całą moją rodzinę!

Trudno odmalować wrażenie, jakie słowa te zrobiły na wszystkich. Paweł pochwycił się za głowę, ojciec Hieronima syknął i wstrząsł się tylko; inni oklaskiem i wykrzykiem zapału, powitali oświadczenie Hieronima; Piotr tylko chwytając go za rękę zawołał:

— To nie słuszna — rzekł — powinieneś i musisz mieć więcej od innych, choćby dlatego, żeś wię-

cój cierpiał i okazał gotowość do ofiary, na którą, śmiało rzec moge, nikt z nas zdobyćby się nie potrafił.

— Co pan Piotr mówi! co to jest! na co psuć dobry uczynek! — odezwały się głosy zewsząd. Kiedy nie chce, pocóż mu zadawać gwałt!

Hieronim aż się uśmiechnął.

— To co na mnie wypadnie — rzekł powolnie — będzie dla mnie bardzo dostatecznym.

— Zostaw sobie Strumień przynajmniej — przerwał pan Piotr — dość będzie reszty dla nas.

— Ja zostanę w Horoszkach! — odpowiedział cicho Hieronim.

— Ja ci odstąpię Horoszek za małą cenę! — pospiesznie dorzucił Paweł — to prawda, że lubię naszą wioseczkę bardzo, bo to i dobra i mi miła siedzibka, ale dla brata uczynię wszystko — oddam tanio.

— Bardzo dobrze, potem o tём! — rzekł Hieronim.

— To jakiś Cyncynnat! — szydersko dodał Pobiała — filozof! patrzcie! co za wspaniałość!...

— Ślicznie się spisał, niema co mówić! — z radością powtarzali inni. — Co to za człowiek! I po-

szli go szukać kolejną, chcąc podziękowaniem przepięczętować ofiarę.

Wszakże pomimo uwielbień powszechnych, przysłuchujący się baczniej, byłby w nich nie jeden charakterystyczny znalazł wykrzyknik. Wielu powtarzali po cichu: — Pstro w głowie! dobra dusza, ale mając czworo dzieci i zrzucać się majątku, to coś niewidzianego!

Dziadunio zbliżył się z kolei, rozczulony, wesół, szczęśliwy.

— *A szczo? zbuw sia Tato łycha, vse żyto zmołotyw* (1). Dobrześ Wasan zrobił, ślicznie, pięknie i sprawiedliwie, pozwól niech cię uścisnę. — Ja tam nic nie potrzebuje, ale mi aż miło posłyszeć, że przecież znalazł się człowiek, co umiał swe żądania umiarkować i nie oszaleć od pieniędzy! Pozwól sobie jednak na niezabudź kochany Hieronimie, podarować jedno wyśmienite ruskie przysłowie; jesteś może do zbytku dobry, ono ci nie zaszkodzi, gdy je pamiętać będziesz: *Nie bud' solodkij, bo tia rozłyżul, nie bud' hirkij, bo rozplujut* (2). O rozplucie się nie boje, ale o rozlizanie bardzo!

(1) A co? zbył się ojciec licha, wszystko żyto zmłócił.

(2) Nie bądź słodki, bo cię rozliżą, ani gorzki, bo rozplują.

Teraz winniśmy jeszcze cierpliwym czytelnikom naszym zakończenie, a z tak liczną familią jak Zawilskich, to nie mała robota; trzebać przecię o losie ich choć kilką słowy wspomnieć. Dopełnim tego cierpliwie i nudnie.

Naprzód, dla pokazania jak się piszą nekrologi, i ile w nich bywa prawdy, mieścim tu całowitą biografią Kasztelanica, ułożoną przez pana Augusta Pobiałę, i drukowaną w gazetach.

„W tych dniach prowincya nasza, bolesną poniosła stratę; śmierć porwała nam jednego z rzadkich ludzi, co był świadkiem najważniejszych w kraju wypadków i w ciszy wiejskiej dożywał spokojnie ostatka dni, poczętych na świetnym dworze Stanisława Augusta. Bieżącego roku, dnia... umarł w dobrach swoich Strumieniu, Stanisław syn Jana (niegdys Kasztelana Pr...) Zawilski, były Paź a później Szambelan dworu Stanisława Poniatowskiego. Śmierć jego, wielką pustką pozostawiła znany z gościnności i dostatku, zawsze dla wszystkich otwarty, stary dwór w Strumieniu, a przeraziła nas tém bardziej, że stan zdrowia nieboszczyka, jego wstrętność i dziwnie regularnie życie, długie mu jeszcze dni rokować się zdawały. Uderzenie krwi do głowy, przecięło pasmo pięknego życia jego.

Urodzony z Paluckiej, Stanisław Zawilski zawczasu oddany został na dwór królewski, gdzie wkrótce dowcip jego, piękna postawa, miły charakter, uczyniły go ulubieńcem wszystkich. Później mianowany Szambelanem, był ozdobą towarzystw, które się on ubiegały. Smutne wypadki krajowe téj pełnej uczucia duszy, nie dozwoliły być świadkiem klęsk, na które zaradzić nie mogła; długa podróż za granicą, do reszty wykształciła go i nadała mu dojrzałość, wytworność obyczajów, doświadczenie, jakeimi świetniał dla nas po powrocie. Bolesnie czując ciągle każde wstrząśnienie krajowe, Kasztelanica usunął się na wieś, oddając samotności, rozmyślanu i skupiając słodyczą charakteru i dowcipem niezrównanym wszystkich co mieli szczęście być do jego towarzystwa przypuszczeni. Zgon jego życiu społecznemu okolicy zadał cios nie nagrodzony. Zgasły Kasztelanica Zawilski, zostawia znaczne dobra i kapitały, które testamentem zapisał najukochańszemu z krewnych, panu Hieronimowi Zawilskiemu, ale ten dziedzic zmarłego, odziedziczył po nim wspaniałomyślność rzadką i niechcąc sam z daru korzystać, do działu całą liczną rodzinę przypuścił. Jest to piękny i rzadki przykład bezinteresowności.“

Co do samego interesu, zaraz po oświadczeniu Hieronima, którego nie kosztować nie zdawało się, porządną zrobiono inwentarz pozostałości po Kasztelanicy. To co znaleziono w pokoju zakłętym i w sypialni, po różnych kątkach, w remanentach, srebrach, klejnotach i wszelkiego rodzaju kosztownościach, przechodziło ze Strumieniem, po najskromniejszym ocenieniu ziemi, trzy miliony kilka kroć sto tysięcy. Owe skrzynie i szafy tajemnicze, w istocie pełne były pieniędzy: a szkatułki pierścieni i klejnotów, zapewne niegdyś w karty powygrzanych.

Z registrów w szafach i na stoliku leżących okazało się, po baczniejszym ich rozpatrzeniu, że Kasztelanica dawszy słowo, iż z nikim grać nie będzie, a nie mogąc go dotrzymać, grywał codziennie z samym sobą, w godzinach przez ciąg których w swoim pokoju się zamykał. Rachunki gry tej od kilkunastu lat najporządniej były utrzymane, i Kasztelanica zwał się w nich Kasztelanicem, a przeciwnik jego Diabłem. Tak tedy z diabłem grając, po ogólném obrachowaniu, przegrał mu pięć tysięcy dukatów, które oddano na kościół. Hieronima zmusił pan Piotr i Antoni, że oprócz dwóć kilkudziesiąt tysięcy wypadających na jego schedę, zatrzymał dla

córek srebra i kosztowności niektóre, i wszystkie remanenta gospodarskie ze Strumienia. W skutek układu z panem Pawłem, który był zawsze gotów do nabywania i układów, bo na każdym coś zarobić musiał, Horoszki w całości dostały się Hieronimowi, a do nich dokupił jeszcze wieś drugą przyległą, posagi córkom skromne zostawując w gotowiznie.

Pan Samuel, z razu dowiedziawszy się od byłego Rotmistrza o wszystkich wypadkach zaszłych w Strumieniu, i zrzeczeniu się Hieronima, wierzyć nie chciał takiej bezinteresowności; nareszcie upewniwszy się że tak było w istocie, zakrzyknął: że piechotę warto pójść takiego człowieka zobaczyć. Na uspokojenie jego starości trzeba było, żeby Rotmistrz, jednak, wzięwszy całą schedę do sześciukroć wynoszącą, znalazł sobie z półtorakroć posagu, bardzo miłą i przyzwoitą panienkę, która za niego wyjść przyrzekła. Samuel w obawie śmierci, zajął się zaraz wyuczaniem przyszłej żony, jak ma nieznacznie pana Wincentego prowadzić i nim kierować. Trzeba też wyznać, że pieniądź nie zaszkodził Rotmistrzowi, któremu nawet usta otworzył nieco i język rozwiązał.

Pobiałowie także wzięli po dwakroć każdy, gdyż

siostra ich swojego się zrzekła; pan August z wielką pociechą żony, dokupił zaraz wioskę za swoje i Tomasza pieniądze, od których tylko procent płacić się zobowiązał. Józef, że gotówkę swoją odebrał, a ziemię bardzo ostrożnie chciał nabywać i trzymał w kufku grosz, wielkiej sobie biedy napytał, bo go dniem i nocą męczył ten skarb, o którym się niesłychanie obawiał. Przyszło do tego nareszcie, że go zmienił na bilety bankowe, a że się gdzieś przytrafiło, iż podobne myszy pojadły, a drugie się spaliły, ognia i myszów znowu począł się lękać niesłychanie. Troskliwość przesadzona o ten nabytek, ażeby go nie utracić, doprowadziła go niemal do choroby; pospieszył się z kupnem ziemi i przepłacił ją trochę, co znowu nabawiło go zgryzoty, tak, że w końcu sukcesyę życiem przypłacił. Bracia odziedziczyli jego majątność.

Nie się zresztą nie zmieniło w rodzinie Pobiałów, bo pan Tomasz się nie ożenił, a piękna Domicella, za mąż pójść nie chciała. Przebąkiwano, że to postanowienie obojga spowodowane było przywiązaniem, jakiego przykład mieliśmy w historii Oświecimów: to pewna, że wielkie były podobieństwa.

Co się tycze dzieci Józefa, a naprzód Jaśka, który

nie był szczęściem posądzony o współnictwo z Sobockim, bo oszukaństwo jego zakryło winę chłopca, której się nie domyślano, pan Piotr zaopiekował się nim w początku. Później gdy nie było sposobu nic już z niego zrobić, musiano pełnoletniego wypuścić na wolę. Złe ję użył Jasiek, rozpasawszy się na wszelką rozpustę i marnie zmarł, prawie wszystko wprzód straciwszy w karty lub na najniegodniejsze istoty.

Michał, brat jego, umarł w szpitalu na Bessarabii z moldawskiej febry, którą skomplikowały stare grzechy.

Sobockiego długo słyhać nie było, gdyż obawiając się kryminalnego procesu, choć go nie wnoszono, drapnął daleko, ledwie mając czas jakiś temu nadać pozór. Antosia żona jego, która ukrywała się dotąd w miasteczku, objęła naprzód swoją, potem resztki sched braci, i dosyć smutne wiodła życie. Jedyń ję pociechą była dziecina, do której namiętnie się przywiązała. W lat kilka, z dalekich stron, powrócił odarty, zestarzały, wyniszczony Sobocki, ale po cichu; wstąpił on znowu w służbę i odezwał się do żony, która odkupując się od niego, pensyjkę mu tylko wyznaczyła. Małżonkowie nie widywali

się, choć upokorzony kilka razy próbował zakolać do serca Antosi, serce to nieskore było do przebaczenia i zbyt ciężko zranione, by darować miało.

Pan Samuel raz zamieszkawszy w klasztorze, już się potem z niego wynosić niechciał, oddając się coraz bardziej nabożeństwu, a Rotmistrza poleciwszy jego żonie, kilka razy w rok tylko, na imieniny i święta, przyjeżdżał do Borszczówki, do pana Wincentego, żeby się jego szczęściem pocieszyć i znowu do miasteczka powracał.

Pan Antoni w początku chciał koniecznie pomagać w gospodarstwie to Pawłowi, to Hieronimowi; wyniósł się był nawet na wieś w tym celu, ale sprzykrzył sobie, że, jak powiadał, najlepsze jego rozporządzenia zawsze przeciwne okoliczności najgorzej obracały. Z pensyjką więc swoją, powrócił znowu do znajomego nam dworku, a że i pan Samuel mieszkał w miasteczku, bracia żyli ciągle z sobą. Samuel stołował się nawet u pana Antoniego, i codziennie będąc świadkiem scen małżeńskich między bratem i bratową, napróżno starał się ich godzić. Najczęściej wysiliwszy się na daremną wymowę, zatuliwszy uszy czapką, uciekał i z wielkim podziwieniem swoim, gdy nazajutrz przyszedł na

obiad, spodziewając się zastać bój od wczoraj przeciągniony i gniewy niepohamowane, znajdował albo czułości lub spory z nową już beczki zaczęte. Przywykł nareszcie do tej stopy wojennej, ale niemniej w każdej wrzawie brał udział pojednawczy, nigdy się tego nie domyśliwszy, że jego najlepsze chęci, cał przeciwny robiły skutek, podsycając wojnę.

Wielki to był tryumf dla pana Antoniego, że rodzina jego zbogaciła się z ojca głowy, co trapiło niezmiernie znowu z domu Judzkę, która się żadnego spadku doczekać nie mogła. W tych walkach i cierpieniach zakończyła ona życie, a nikt jej pewnie szczerzej nie żałował nad męża, co kilkadziesiąt lat się z nią nieustannie kłócił.

Od jej śmierci pan Antoni widocznie podupadł umysłowo i cielesnie, posmutniał, stał się milczący, i nie mogąc znieść mieszkania w dworku, który mu nieboszczkę zbyt żywo przypominał, przeniósł się do klasztoru, zajmując celkę obok Samuela. Bracia byli odtąd nierozdzielni, a że powoli pan Samuel przekonał się, iż gniewy Antoniego były mu koniecznie potrzebne, pozwolił mu się nawet z sobą kłócić, pewien, że ta zabawka nie za sobą nie pociągnie.

Hieronim u jednych swoim postępkami pozyskał szacunek, u drugich uchodził za dziwaka; byli tacy co go wyśmiewali, skorzystawszy z jego pocziwości. W ogólności, obcy poglądali na niego z jakimś podziwem, jak się patrzy na karła, potwora lub dziwne z daleka przywiezione zwierzę. Na to się jednak wszyscy godzili, że pocziwszego człowieka trudno znaleźć było.

Obok starego dworku w Horoszkach, w którym lat tyle przecierpiał niedostatek Hieronimostwo, wy-murował Hieronim dwór porządny, na starszela-checką formę, ale jak relikwii nie tknął tej małej chałupki, do której z żoną na starość chciał się przenieść; podparli ją, wyrestaurowali, i codzień modlić się tam chodziła Konstancya. Teraz już wychowanie dzieci nie było dla nich ciężkiem; Zosia powróciła do domu, wesola, szczęśliwa, piękniejsza jeszcze jeśli być mogła. Znowu jej szczebiotanie ozwało się po kątkach, znów brzęk jej kluczyków i szmer jej modlitwy rozweselił stęsknionych. Kiedy przybyła do Horoszek, co było ludu, sług, znajomych ze wsi się zbiegło, powitać swoją panienkę... i ściskali ją ze łzami, czując że przybycie jej było jakby zleceniem anioła Bożego, bo się z nią zrobiło jaśniej, weseliej, spokojniej.

Hieronim bynajmniej trybu swojego życia nie zmienił, pozostał sobą, dając wielki przykład niezawisłości od pieniędzy. Swobodniejszy co do czasu, więcej tylko myślał, czytał i patrzył na ten świat, w którym duszą wznioślejszą upatrywał cuda piękności i mądrości Bożej. Poważany powszechnie, chwytny gdzie tylko o osądzenie pośrednicze chodziło, stał się wkrótce wyrocznią powietników i jednym z tych ludzi, bez których żadna się sprawa nie kończy, w których wierzą ci nawet, co w nie więcej wiary nie mają.

Biednej pani Hieronimowej, czy zbytek szczęścia, jak ona go nazywała, czy inne jakie przyczyny, wcale odjęły zdrowie. Jednym strapieniem w domu było jej cierpienie, którego jednak domyślać się musiano, bo się z nim kryła, twarzą się uśmiechając do swoich drogich, usta nigdy nie przyznając do bólesci.

Potrzebaż dodać, że Staś, powróciwszy z zagranicy, ledwie dwa dni zabawił w Zrębach i do Horoszek poleciał? Ani pan Piotr ani matka nie sprzeciwiali mu się; poznanie bliższe pocziwój i ślicznej Zosi wybrało ją za synową oddawna; jedno pokrewieństwo stawalo na przeszkodzie i młodość Stasia, chociaż na to dziadunio powtarzał panu Piotrowi

przysłowie: *Nebojsia rano wstały, młodo ożeniyty, kupyty chaty ukryty, a sukniu uszyty* (1).

Wstrzymano trochę to ożenienie, ale nareszcie pobłogosławiono. Zosia, jakkolwiek szalenie przywiązana do męża, rodziców opuścić nie chciała; musiano z jej posagu i pieniędzy pana Piotra kupić wioskę niedaleko Horoszek, a Stasiostwo więc u rodziców niż u siebie bawili.

Na cóż głębiej zaglądać mamy, co się później stało? Później zawsze straszne, zawsze grozi mogiłami; nie zwracajmy na nie oczu.

Chłopcy Hieronima poszli dobrze; serce matki, rozum ojca, przykład obojga ich prowadził i rośli na ludzi użytecznych, bo zawczasu powiedział im Hieronim:

— Musicie na chleb pracować i mieć go w rękach, majątek zawczasu dany rozleniwia i psuje: każdy się powinien dorabiać, choćby dlatego żeby praca siły w nim duszy rozwinęła....

Pan Paweł wyniósł się z Horoszek bez żalu i wziął część z klucza Strumińskiego, a nawet główne fundum. Zamieszkali więc państwo w owym dworze

(1) Nie obawiaj się rano wstać, młodo się ożenić, kupić chatę pokrytą, i suknię uszytą.

Kasztelanicowskim i niepomalu w dumę się tém podnieśli. Julia się roztyła, Petra do reszty skwaśniała, a panna Hiacynta próżno coś wyglądająca żeby jej posag dano, wymownie uskarżała się na skamieniałość serc ludzkich.

W dworcu starym, z powodu Petry, którą za mąż wydać chciano, bojąc się żeby do reszty nie straciła humoru, bawiono się ciągle a szumno. Choć panna jedynaczka wcale piękny miała posażek, nikt się po nią bardzo nie kwapił. Julia nie mogła znów przebaczyć Hieronimostwu, że Zosię wydali za Stasia, i Piotrowi że raczej ich córki za synowę nie wybrał. Na zabawy do Strumienia zjeżdżało się osób mnóstwo, ale już tych, których przyjmowano w Horoszkach, nie bardzo zapraszano tutaj. Innego chciało towarzystwa, innych związków, a to czego pragnęli nie przybywało. W ostatku, jakiś hrabia z Ukrainy zjawił się w zapusty, paradnym ekwipażem, poczał bywać, niesłychanie się podobał, nawet pannie Hiacyncie, której talenta głośno uwielbiał, i dosyć chyżo się oświadczył. Naturalnie przyjęto go chciwie, ślub został o ile możliwości przyspieszony, a Petra ani patrzeć na ludzi nie chciała, zostawszy hrabiną.

Nieszczęściem, pokazało się nieco później, że majątności wielkie tego przybylca zdaleka, zbliżone kończyły się na sześciu chłopkach, po dwóch we trzech wioskach rozłożonych. Były to resztki jakiegoś pokrytej kusym fartuszkami eksdywizji. Hrabstwo także należało do owych, co to się niesłychanie rozmnożyły w ostatnich czasach z łaski fabrykantów guzików i powozów. Dziad pana Puciatowicza, był pewnie murgrabią u Ogińskich, ale niezawodnie nie hrabią.

W podziale między spadkobierców, Hieronim nikogo tém mniej siostry pominąć nie mógł. Żmura wziął swoją część, wycalaował szwagra, zaprzysiągł się na wszystko co mu na myśl przyszło, że gotów bić się i strzelać za niego, i pojechał polować i rządzić się na Rohoży. Radzono mu kupić majątek woliński, ale polesiuk przywykły do tego kąta, uwięził swój kapitał w drugiej wiosce okolicznej, na której pnie smolne najwięcej rachował, i począł na wielką skalę wyrabianie smoły, reszty belek i potażu. Trafił na lata dobrej ceny i nieźle mu się ta spekulacja powiodła, odebrał bowiem połowę kapitału i chodził odtąd od jednego do drugiego ze znajomych, dowodząc im że nie ma jak Polesie.

W Zrębach, u pana Piotra, także spadek po Kasztelanu wiele się przyczynił do dalszych losów rodziny; Marya wydała nareście najstarszą córkę Józefę za zamożnego obywatela, a jak to najczęściej bywa, kiedy jedną kto weźmie i drugie idą za nią, starających się o Maryę i Hortensyę napłynęło zaraz podobieństwem. Było więc w czem wybierać i matka o ten wybór teraz modliła się tylko. Pan Piotr napróżno starał się jej dowieść, że do zbytku posuwa macierzyńską swą troskliwość, turbując się o mężów, gdy ich nie było, turbując o starających, gdy ich Pan Bóg dał do syta, martwiąc nareście przedwcześnie już o wnuczki, których jeszcze nie miała. Są takie serca jak pani Piotrowej, którym frasunek o drugich jest konieczną potrzebą, jak panu Antoniemu kłótnia z żoną, którą kochał.

Na to nigdy nie pomoże cudza rada, przestroga i cudze myśli, które dla zwyciężenia się, z siebie wyczerpnąć potrzeba.

Dziadunio najwięcej zawsze bawił u Hieronimów, których dzieci nawet przysłowiów ruskich powyucał; nie mógł jednak usiedzieć stale na miejscu i co kilka tygodni, choć mu w Horoszkach dobrze było

jak u Boga za piecem, zaprzęgał konika i ruszał na wędrowną, z której nigdy nie powracał bez gościńców dla dzieci i zapasu dobrego humoru. Jakoś pod koniec pierwszego roku zaraz szkapa jego, pomimo największych starań o nią, zachorowała, a że krwi w porę nie puszczono, zdechła. Było to wielkie strapienie dla Dziadunia, który pochowawszy pocziwe stworzenie z honorami, to jest ze skórą i podkowami, stracił humor zupełnie, dowodząc że nigdy już sobie drugiego takiego konia dobrać nie potrafi. Pan Hieronim kazał mu zaraz najeżdżać spokojnego siwosza, i przyzwyczajono go do wózka pana Dymitra, ale stary powtarzał:

— Ej nie to co było! *Tedot ale nie to!* (1), już mi się mój towarzysz nie wróci, co mój głos rozumiał i wszystkie moje drogi wiedział. Poczém zawsze dawał z westchnieniem: *Rosty psu trawa, koły mojego konia nema* (2). Wszakże siwosz woził go jeszcze i coraz lepiej lat kilka. Jakoś zimą przywłókł się stary do Horoszek z ziębieniem i widocznie nie zdrów.

— Żle panie Hieronimie — rzekł na wstępie do

(1) Teodozy, ale nie ten.

(2) Rośnij psu trawa, kiedy mojego konia nie ma.

niego — nie chciałbym wam kłopotu, ale mi widzę czas. Czuję się bardzo czegoś niedobrze... *Skaczy wraże, jak pan każe* (1), nie ma tu co w bawelnę obwijać: do góry wołają.

— Ale zmiłuj się Dziaduniu kochany!... nie puszczaj tej myśli.

— Ot, Waśc pošlij po księdza, a sam przyjdź do mnie zaraz, bo to nie żarty — odezwał się stary kładąc się na łóżko — *Radab dusza do raj, ta hrychi ne puszkajut!* (2). Na to nie ma rady, panie Hieronimie. *Kruty ne weriy, treba umerty!* (3) Posyłaj po księdza, a sam do mnie przychodź.

Wielki się stał rozruch w domu; po proboszcza wysłano konie natychmiast, gospodarz przybiegł z żoną do łóżka starego.

— *Pop ludej chowaje, schowajut i popa!* (4) — rzekł wstając trochę stary, którego wesołość nie opuszczała — wielum ja przeżył, ale przyszła i na mnie godzina. Co wy myślicie, dziewięćdziesiąt

(1) Skacz wraże, jak pan każe.

(2) Radaby dusza do raj, grzechy nie puszczają.

(3) Kręć się, wierć, przyjdzie śmierć.

(4) Chowa ksiądz ludzi, schowają i księdza.

osiem! dziewięćdziesiąt osiem! Ale naprzód o interesie, panie Hieronimie.

— Jakiż interes zechcesz nam polecić?

— Oto żebyście nie wzgardzili moją chudą prostacką pozostałością, którą dla waszych dzieci zostawię. *Czem chata maje, tom i prynimaje!* (1). W dębowej szkatułce, która zawsze ze mną jeździła, znajdziecie tam tę odrobinę, tylko słowo twoje panie Hieronimie, że się już dzielić nie będziesz! Kostusiu! — zawołał do rozplakanój Hieronimowój, — niech mi da słowo!

— Ale po cóż to wszystko! — zawołali oboje.

— Ot, po to żebym umarł spokojnie; chcesz mi zatruć ostatnią godzinę! to się nie godzi! Daj Waś rękę.

Hieronim musiał rękę wyciągnąć.

— *Whurti i kasza zjstia!* (2), — dodał padając na łóżko stary, — czworo dzieci, nie zaszkodzi i ten grosz co przybędzie; testament mój za rękami i w sądzie, biedy żadnej mieć nie będziecie.... Ot zaraz, żeby później kto z zamętu nie korzystał, szkatułkę mi odnieść do pana Hieronima. *Mensze na*

(1) *Czem chata bogata tém rada.*

(2) W hurcie i kasza się zje.

dwori, łeksze hołowi! (1), — dodał przymusiwszy do posłuszeństwa. Ruszajcie sobie, bo mnie czas z Panem Bogiem się rozmówić, nim ksiądz przyjdzie, do najstarszego Pana, trzeba duszę ubrać w co stanie najlepszego!

Nadjechał ksiądz; wypowiadał się pan Dymitr, zdawało się nawet że mu jest lepiej, spać się położył, wszystkich pożegnawszy i dzieci pobłogosławiwszy, i w nocy, spokojniuteńko życie zakończył. Wszyscy, licząc w to ogłédnego pana Pawła, rachowali zawsze Dziadunia na jakie kilkadziesiąt, najwyżej pięćdziesiąt tysięcy; testament jego i szkatulka, wskazywały w depozytach po klasztorach, w gotówce przeszło półtorakroć oszczędnością nagromadzonych. Pawłowie, którzy usilnie o pozyskanie sobie staruszka starali się, znowu o mało się nie pokłócili z zazdrości, wymawiając jedno drugiemu, że byli powodem niełaski Dziadunia. Julii mąż choć delikatnie zarzucał dumę, ona Pawłowi zbyt oczywistą chciwość; kwestya została nierozwiązaną, a panna Hiacynta zręcznie dziwactwu starca tylko, niepojętój ludzkiej głupocie i uprzedzeniu dla pana Hieronima, przypisała wypadek tak niespodziewany.

(1) Mniej na dworze, łej głowie.

Pani Tryze wkrótce potem skończyła życie w domu obłąkanych. Jeden Żmura kosztem ją swoim utrzymywał, a ludzie mówili nawet po cichu, że przez pamięć dawniej jakiejś a bliskiej z nią znajomości, ale zdaje się że to były potwarze. Panna Aniela wyszła za mąż do Ołoneckiej gubernii; Terminiński skończył o torbie i kiju, a Puślikowski, cudem odzyskawszy zapis swój i wynagrodzony przez Hieronima i spadkobierców, gospodaruje na małej cząstce w Polesiu.

Na tém się kończy długa, pospolita powieść nasza, pospolita jak życie, jak ono nauczająca i jak wszelki przykład zapewne na nic nieprzydatna. Przykłady to mają do siebie, że się z nich ludzie budują dopiero po czasie.

KONIEC TOMU CZWARTEGO I OSTATNIEGO.

CZYTELNIA
bezpłatna
dla
dla
i niezamężnych
mieszkańców
m. Radomia.

OLSKA WAGIERZ
Kolej miasta Radomia

Eisenstrasse Trebenstochan
WERKSTATTEN

5925

